



SERIA PODRÓŻNICZA
OBIEŻYŚWIAT

ANDRZEJ WRÓBLEWSKI

PRZEJAZDŹKA PO ROSJI



Prószyński i S-ka

PRZEJAZDZKA PO ROSJI

ANDRZEJ WRÓBLEWSKI

Na kanwie opowieści Marka Z.

Ruskaja awiacja

Jeśli ktoś twierdzi, że Aeroflot to najgorsze na świecie linie lotnicze, bo kilka razy poleciał do Moskwy i nie smakowały mu podawane na pokładzie przekąski, samolotem trzęsło, a stewardesy nie wzbudzały pożądania, to należy go uznać za człowieka mało poważnego. Skąd taki surowy osąd? Zdarzyło mi się, dla przykładu, że w ciągu jednego tylko tygodnia odbyłem podróż na trasie Moskwa - Taszkient - Ałma Ata - Nowosybirsk - Czita - Nowosybirsk - Kujbyszew - Wołgograd - Moskwa - Mińsk białoruski. Nawiasem mówiąc, któż wie, że istnieje takie miasto jak Czita i że liczy ono prawie milion mieszkańców? W każdym razie podróż, choć męcząca, przebiegła bez żadnych zakłóceń. Tyle tylko, że w piątkowy wieczór nie było w Mińsku samolotu do Polski, więc chcąc spędzić weekend na łonie rodziny, musiałem dojechać taksówką do granicy, a stamtąd pociągiem do Warszawy.

Gdybym skrupulatnie, tydzień po tygodniu, podliczył wszystkie rejsy, to mogłoby się okazać, że nie ma w Rosji takiego samolotu, którym bym nie leciał. A nawet jeśli jest w tej hipotezie lekka przesada, to i tak z całą odpowiedzialnością mogę dzisiaj stwierdzić, że najlepsze linie lotnicze na świecie to Aeroflot. Oczywiście nie chodzi o to, że posiadają one najlepsze samoloty, ale o to, że zawsze polecisz. Niezależnie od tego, czy są bilety, i niezależnie od tego, czy są miejsca.

Dla jasności zaznaczę, że nigdy nie byłem płatnym agentem reklamowym tych linii. Mało tego, jestem pewien, że Aeroflot nie ma zielonego pojęcia, iż od niego właśnie rozpoczynam te swoje wspomnienia. Może zresztą „wspomnienia! to za dużo powiedziane. Nazwijmy je raczej wspominkami albo opowieściami.

Pewnego zimowego poranka tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego któregoś roku w barze hotelu Rasiya w Moskwie spotkało się pięciu ludzi. Jean-Michel, Francuz, uważający się za wielkiego spryciarza, specjalizujący się w handlu kawiozem. William, Anglik, doświadczony przez życie milczek, specjalizujący się w handlu kawiozem. Ingvar, Szwed, czerstwy i odporny na trudy człowiek północy, specjalizujący się w handlu kawiozem. Kazimierz, Polak, handlujący kawiozem, ale na innych rynkach niż cała reszta, łącznie ze mną. No i ja, specjalizujący się w zasadzie we wszystkim, a więc w handlu kawiozem również.

Przyjechali oni wszyscy do Moskwy pociągiem, z prośbą, abym zawiózł ich nad Morze Kaspijskie, do zakładów kawiorowych w Astrachaniu. Chodziło im o bezpośrednie uzgodnienie normatywów jakościowych, przedstawienie ogólnych, czyli zachodnich norm w kwestii pakowania, transportu, chłodzenia i przechowywania. Chcieli też, z ciekawości, poznać miejscowe prawo, a zwłaszcza zwyczaje, jeśli chodzi o opłaty graniczne, cła, wysokość łapówek i sposoby ich wręczania. Nie znając ani Rosji, ani rosyjskiego, poprosili mnie o załatwienie biletów na wewnętrznych liniach Aeroftotu. Zaproponowali równocześnie, bo inaczej nie wypadało, abym został ich przewodnikiem.

Oczywiste było dla mnie, że ich przyjazd to próba wyeliminowania mojej osoby jako dotychczasowego pośrednika. Tak samo oczywiste jednakże było to, że jest to próba całkowicie skazana na niepowodzenie.

- No cóż - odpowiedziałem - nie ma problemu. - Tym bardziej że dotychczas widywałem niezliczone ilości puszek tego produktu, ale nigdy nie widziałem z bliska, jak się go tak naprawdę produkuje. Sam byłem ciekawy.

Wszyscy, patrząc mi prosto w oczy, stwierdzili zgodnie, że wyprawa jeszcze bardziej zacieśni naszą wzajemnie korzystną współpracę. Wypiliśmy więc po dużej lampce koniaku i wyszliśmy z hotelu. Ich

uśmiechnięte twarze świadczyły, że sytuacja rozwija się nader pomyślnie. Jean-Michel zaczął już nawet zacierać rączki, ale szybko się zmytygował i powiedział, że to z zimna.

Za dwie taksówki na lotnisko zapłaciliśmy trzydzieści dolarów. Gdyby moi podopieczni byli turystami, powiedzieliby, że to taniutko, bo w końcu przejechalibyśmy kawałek drogi. Ponieważ jednak uważali się za stare wygi, orzekli, że takiej drożyzny się nie spodziewali. Tym sposobem chcieli mi dać do zrozumienia, że nie tylko mam załatwić bilety do Astrachania, ale jeszcze mam je załatwić tanio. Można by zapytać, cóż to dla nich, ludzi obracających tysiącami kilogramów kawioru, te kilka czy kilkanaście dolarów w tę czy w tamtą stronę. Tacy skąpi? To pewnie też, ale generalnie chodzi o to, że dla prawdziwych krezusów szastanie pieniędzmi tylko wtedy ma sens, jeśli są pewni, że przyniesie to jeszcze większe pieniądze.

Dla zachowania rytuału podszedłem do istniejącej jeszcze wtedy kasy dla obcokrajowców.

- Bilety? - zdziwiła się kasjerka. - Nie ma.

- A kiedy będą?

- Nie wiem.

Za kasami, przy wejściu do strefy odlotów stoi kobieta w mundurze. Jej podstawowe zadanie to przystawienie pieczętki w paszporcie i na bilecie. Podszedłem do niej i uprzejmie zagadnąłem, że jesteśmy grupą zorganizowaną, a nasz przewodnik czeka na nas z biletami w strefie odlotów.

- Chętnie bym po niego poszła - uśmiechnęła się bileterka - ale przecież w żadnym wypadku nie mogę opuszczać swojego stanowiska.

Będąc z góry przygotowanym, a czekając tylko na ten uśmiech porozumienia, bez żadnych obaw wręczyłem jej torbę plastikową. Wiedziała oczywiście z doświadczenia, że w torbie jest wódka, czekolada, papierosy i być może jakieś perfumy, bo nawet do niej nie zaglądając, przepuściła nas do strefy odlotów. Stojący kilka metrów dalej dwaj milicjanci uszanowali decyzję swej współpracowniczką i również się rozstąpili.

Jeśli przeszedłeś tę pierwszą przeszkodę, to na pięćdziesiąt procent siedzisz już w samolocie.

Po drugiej stronie hangaru widać już za szybą samoloty. W wąskich drzwiach stoi kolejny milicjant, którego w kilka sekund pokonuję za pomocą dwudziestu dolarów. Wychodzimy na płytę. Zbliżam się do kierowcy autobusu, który podwozi grupy zorganizowane do samolotów. Pięć dolarów przekonuje go, że jesteśmy spóźnioną częścią takiej grupy, a nasz przewodnik siedzi już w samolocie i czeka z naszymi biletami,

Często się zdarza, że pod samolotem stoi już kilka osób, które znalazły się tam w taki sam sposób jak my. Jeśli nadprogramowych pasażerów jest więcej, niż samolot może udźwignąć, kapitan przeprowadza coś w rodzaju licytacji. Polecą jednak nie tylko najhojniejsi, ale również ci, którym właśnie umarła babcia, żona, córka i syn, a oni koniecznie muszą być na pogrzebie. W ten sposób, przydzielając skromną pulę biednym i nieszczęśliwym, kapitanowie utwierdzają wszystkich w przekonaniu, że nie chodzi im tylko o pieniądze. Dzięki temu są lubiani i ich decyzje o tym, kto i za ile polecą, przyjmowane są bez żadnych hałaśliwych protestów. Tym bardziej że w ramach ogólnego, milczącego porozumienia ci, którzy nie polecą, mogą liczyć na zwrot gotówki wydatkowanej po drodze do samolotu. Toreb z prezentami się nie odbiera, bo to nie przystoi.

Tym razem pod samolotem nie było nikogo, ale kłopot polegał na czymś innym. Przypomnę, że miał to być lot na liniach wewnętrznych, na których obcokrajowiec jest jak znaleziona perła. Nie mogłem jednak zostawić moich wycieczkowiczów trochę z boczku i udając, żeśmy Rosjanie, pertraktować z kapitanem jak gdyby nigdy nic. W tym wypadku taki fortel nie miał szans powodzenia z bardzo prostego powodu: William ubrany był w jasny prochowiec, który do rosyjskiej zimy pasował jak pięść do nosa, Jean-Michel płaszcz miał co prawda cieplejszy, ale za to jaskrawoczerwonego koloru, tymczasem Ingvar ciągnął za sobą żółtą walizkę.

Kapitan popatrzył na nas przez chwilę, po czym cmoknął z zadowoleniem. Znaczyło to, że dobrze wie, z kim ma do czynienia, i spodziewa się dużo więcej, niż my zamierzamy mu dać.

- Dwieście - mówię.

- Trzysta - odpowiada kapitan.

- W porządku - zgadzam się, bo a nuż trafimy na niego w drodze powrotnej, a chętnych będzie dużo więcej.

Moim biznesmenom rzędy nieco miny, gdy po wejściu do samolotu zobaczyliśmy, że nie tylko zajęte są wszystkie fotele, ale co poniektórzy siedzą na tobołach w przejściach. Kapitan miał jednak dla nas miłą niespodziankę. Zaprowadził nas na tył samolotu, gdzie w tego typu, jakach” znajduje się luk bagażowy. Było tam dosyć przestronnie, gdyż walizy i torby poukładano w taki sposób, żeby tych kilku ludzi mogło przycupnąć i od czasu do czasu rozprostować nogi. Jedyną wadą tego pomieszczenia był brak dźwiękochłonnej obudowy, więc huk silników utrudniał prowadzenie towarzyskich rozmów. W pomieszczeniu bez okien trudno też wyczuć rzeczywiste ruchy samolotu. Dopiero kilkanaście minut po starcie, które upłynęły nam w pełnym powagi milczeniu, zaczęliśmy snuć nieśmiało rozważania na temat prędkości, pułapu i przyczyn turbulencji. A ponieważ było piekielnie zimno, wyciągnąłem butelkę koniaku, który definitywnie rozluźnił atmosferę i poprawił samopoczucie tym, którzy mogli czuć się nieswojo.

Każdy postronny obserwator na lotnisku w Astrachaniu bez trudu mógł zauważyć dysproporcję między wielkością samolotu a liczbą wysiadających z niego pasażerów. Nawet moi towarzysze z ciekawością wyczekiwali, co też z tego faktu wyniknie. Nikt się jednak takim banalnym przypadkiem nie zainteresował, bo dla wszystkich było oczywiste, że skoro skądś ten samolot wystartował, to widocznie za zgodą odpowiednich władz. Co najwyżej ten i ów pracownik naziemnej obsługi z zazdrością wyobraził sobie plik banknotów, które zainkasowali piloci.

Udane lądowanie spowodowało, że w moją ekipę wstąpił bojowy duch. Bez żadnego odpoczynku, prosto w lotniska pojechaliśmy taksówkami do fabryki kawioru. Nie byliśmy zapowiedzianymi gośćmi, więc strażnicy zatrzymali nasze paszporty i lojalnie uprzedzili, że skoro akurat wypada jakieś tatarskie święto, kierownictwo może nie znaleźć dla nas czasu. Chwilę później okazało się, że jest jeszcze gorzej, gdyż kierownictwa w ogóle nie ma. Jeden dyrektor pojechał do Tokio, drugi do Genewy, a z trzecim się minęliśmy, bo poleciał do Moskwy.

- Czekać nie ma sensu - recytowała dalej sekretarka - ponieważ i tak cała tegoroczna produkcja została już sprzedana. Proszę przyjechać w przyszłym roku.

Z moich towarzyszy w mgnieniu oka uszło całe powietrze. Aby jednak zachować przede mną pozory, William napomknął, że interesują nas przede wszystkim różnorakie zagadnienia techniczne.

Zdziwiona sekretarka odparła, że nie bardzo rozumie jakie, bo przecież kawior pakuje się tak, jak się pakuje, chłodzi, jak chłodzi, i wysyła, jak wysyła. Tak było i tak będzie, więc w zasadzie nie ma o czym mówić. I pochylając się nad swoimi szpargałami, dała nam do zrozumienia, że nasza wizyta dobiegła końca.

Ostupałe milczenie wśród moich wycieczkowiczów trwało chyba z pół godziny. Dopiero gdy zajechaliśmy pod hotel, spróbował je przerwać Jean-Michel:

- Jeszcze mi się nie zdarzyło przejechać pół świata, narażając po drodze życie, tylko po to, żeby pięć minut porozmawiać z kobietą. Nie sądziłem, że ze mnie taki Romeo...

Przy kolacji, gdy już cała ekipa odzyskała równowagę psychiczną, postanowiono zgodnie, że pozostaniemy w Astrachaniu tak długo, jak było to w planie, czyli trzy dni. W przygotowanym naprędce programie kulturalnym umieściliśmy tylko jeden punkt: szeroko pojęte zwiedzanie miasta. O dziwo, mimo różnych narodowości występujących w naszej grupce, interpretacja tego hasła nie nastręczyła w praktyce żadnych problemów. Przez trzy dni i trzy noce chodziliśmy po knajpach, restauracjach i barach, próbując przeróżnych - i całkiem niezłych, i podłych - trunków. Im więcej ich piliśmy, tym bardziej zachwycaliśmy się urodą Tatarów, które zresztą nie pozostawały nam dłużne i na różne sposoby starały się umilić nam czas.

Wszystko pięknie i upojnie, ale trzeba w końcu wracać do Moskwy i dalej, bo koledzy prowadzą uregulowany tryb życia i interesów.

Pojechaliśmy na lotnisko i, jak zwykle, podszedłem najpierw do kas, żeby się upewnić, że biletów dla inostrąców, niestety, nie ma i nie wiadomo, kiedy będą. Gdy rozejrzałem się po hali, stwierdziłem, że wykorzystanie wariantu „grupa zorganizowana szuka swego przewodnika” nie wchodzi w rachubę. O ile w Moskwie uszliśmy jakoś w tłumie, to tutaj wszystkie oczy zwrócone były na nas i kobieta z przejścia nie zaryzykowałaby takiej ostentacji. Nakazałem więc swojej drużynie przy sięć na ławeczce, a sam wyszedłem przed halę. Niewiele się zastanawiając, zaczęłem pierwszego z brzegu milicjanta i przedstawiłem mu z grubsza nasz problem. Milicjant, wyraźnie zadowolony, że okazałem

mu zaufanie, przywołał jakiegoś cywila i po krótkiej z nim naradzie powiedział, żebym spokojnie poczekał.

Pół godziny później ów znajomy milicjanta wręczył mi pięć świeżutkich biletów. Tyle tylko, że nie były to bilety dla inostraićców, ale dla Ruskich.

- No, widać przecież, że wy ruskie ludzie - uspokoił mnie z uśmiechem i kazał wywołać współtowarzyszy przed halę, po czym jakimś bocznym wejściem i korytarzami doprowadził nas na zaplecze strefy odlotów. Tam czekała już kobieta z trójkątną pieczętką. Po dokonaniu formalności i rozliczeń mieliśmy już tylko przed sobą milicjanta, który wpuszcza na płytę lotniska. Czułem jednak, że nie wzbudzimy w nim żadnych podejrzeń. I po chwili okazało się, że miałem rację. Zajęliśmy swoje miejsca w samolocie i zadowoleni, że wszystko tak gładko poszło, szykujemy sobie pierwszego drinka. Patrzymy na zegarki i z wyrozumiałością darujemy piętnastominutowe już opóźnienie startu.

Raptem do kabiny pasażerskiej wchodzi trzech kolesiów. Dwóch mundurowych i cywil o zawziętym wyrazie twarzy. Podchodzą od razu do nas i żądają okazania papierów.

- No tak - mówi cywil, rzucając na nie okiem - bilety ruskie, a paszporty zagraniczne. Wychadit'e - nakazuje tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Zaprowadzili nas do małego, obskurnego raczej pomieszczenia pełnego jakichś szafek i szpargałów. Siedzący za biurkiem osobnik w mundurze wojsk lotniczych, jak się później dowiedziałem - zastępca dyrektora lotniska, wyprosił moją czwórkę, a mnie oświadczył na osobności i prosto z mostu, że zaraz tu będzie prokurator, ale mogę jeszcze zdążyć i powiedzieć mu, kto nam sprzedał ruskie bilety.

- No skąd mogłem je mieć - odpowiadam - przecież nie z kasy. Odsprzedał mi je jakiś człowiek, który nie mógł lecieć. I to wszystko. Cóż to za przestupienie?

- Jak nie chcecie mówić, to poczekacie - zawyrokował, wskazując mi drzwi.

No tak - pomyślałem ze skruczą, wychodząc - wszystko to, niestety, moja wina. Od początku dobrze wiedziałem, że w całej hali zainstalowane są kamery, a mimo to nie zastosowałem żadnej zasłony dymnej. Ale, z drugiej strony, kto by przypuszczał, że akurat nie są zepsute.

Ni to zatrzymani, ni to aresztowani, próbowaliśmy dowcipkować, popalaliśmy, coś tam popijaliśmy i snuliśmy się wokół naszej ławeczki. Co jakiś czas, podjudzany przez kolegów biznesmenów, którzy po kilku drinkach wykazywali się coraz większą odwagą, wchodziłem do kanciapy wojskowego dyrektora i pytałem, co z nami. A on ciągle swoje: kto nam sprzedał bilety i kto przystawił na nich pieczętkę. No to ja też swoje: że jesteśmy tu pierwszy raz, że kupiłem od kogoś bilety, że to normalne na świecie i żadnego przestępstwa tu nie ma. I tak w kółko, kto kogo przetrzyma.

Gdy przymuszony udałem się w którymś momencie do toalety, czekał tam na mnie milicjant, którego prosiłem przed halą o pomoc w załatwieniu biletów.

- No cóż - powiedział zasmucony - nie udało się. - I oddał mi pięćdziesiąt dolarów, które dostał jego znajomy cywil, i pięćdziesiąt dolarów, które dostała kobieta od pieczętek.

Jak to zwykle przy takim jałowym czekaniu bywa, ogarniały nas na przemian stany podniecenia i apatii. Gdy w końcu, po trzech godzinach, dyrektor wyszedł ze swojej pakamery i zobaczył pięciu milczących i oklapniętych gości, odezwał się tonem niemal dobrotliwym:

- No dobrze, prokuratora nie będzie.

I nie czując się zobowiązanym do żadnych wyjaśnień, oddał nam paszporty i ruble za nie wykorzystane bilety. Odchodząc, rzucił, jakby mu się naraz przypomniało:

- A kobieta, która przystawiła wam pieczętki, i tak będzie zwolniona z pracy.

- A skąd wiecie, która to? - obruszyłem się.

- Bo tylko jedna ma taką pieczętkę - odparł z nie ukrywaną satysfakcją i oddalił się do swych obowiązków.

Nie wiedzieliśmy, czy to blef, czy rzeczywiście zamierza spełnić swoją groźbę, więc na wszelki wypadek przez jakiegoś pracownika postaliśmy tej kobiecie dwieście dolarów, co było wtedy w Rosji sumą dość znaczną.

Gdy już mieliśmy pewność, że sprawa została załatwiona, poszliśmy do hali kasowej, żeby przestudiować rozkład lotów. Jedyłą, kombinowaną szansą znalezienia się jeszcze tego wieczoru w Moskwie był lot do Baku. Ku mojemu zdumieniu okazało się, że bilety do Baku, owszem, są, również

dla inostraków. Już chciałem wyjąć pieniądze, ale coś mnie tknęło i zapytałem, skąd nagle taki dostatek biletów.

-Bo w Baku podobno strzelanina - odparła obojętnie kasjerka.

Przypomniało mi się od razu Tbilisi, do którego kiedyś poleciałem, mimo że dochodziły stamtąd różne niepewne wieści. Teraz jednak nie byłem sam i wypadało decyzję skonsultować.

Kiedy przedstawiłem swojej wycieczce sytuację, podszedł do nas - bo widocznie wysłedził na monitorach, że kręcimy się jeszcze po hali - wojskowy dyrektor lotniska.

- Riebiata - rzekł tym swoim jowialno-złowieszczym tonem - wy niczego nie zrozumieliście. Muszę wam wyznać -zwrócił się do mnie & że moja babuszka była Polką. Ale nic to - wrócił natychmiast do rzeczywistości - wy stąd i tak nigdzie nie polecicie, zapomnijcie o tym, zapomnijcie o lotnisku w Astrachaniu.

Gdy wychodziliśmy przed halę, małowówny Ingvar skonstatował ni stąd, ni zowąd, że Rosja jest krajem bardziej skomplikowanym od Szwecji, co wydaje się dziwne, bo przecież i to, i tam zimy są równie surowe. Nikt z nas nie podtrzymał jednak tego wątku, gdyż trzeba było zająć się sprawami bardziej przyziemnymi.

Pociągów już tego dnia nie było, a taksówkarze, których trochę dla żartu zapytałem o kurs do Moskwy, odmówili, nie pytając nawet o ewentualną zapłatę. Za duże ryzyko. Nie pozostawało więc nic innego, jak wrócić do hotelu.

Po krótkim odpoczynku poprosiłem moich towarzyszy, aby samodzielnie kontynuowali program kulturalny. Ja ruszyłem z powrotem na lotnisko.

Wiedziałem, że wieczorem przylatuje samolot z Moskwy i wraca wczesnym rankiem. Musiałem zlokalizować pilotów, to znaczy stwierdzić, w którym hotelu będą nocować. Panience z okienka wręczyłem drobny suvenir i opowiedziałem, jaką to ważną przesyłkę medyczną mieli dla mnie piloci z Moskwy, a ja się spóźniłem i teraz nie wiem, gdzie ich szukać. Przejęta informatorka podała mi nie tylko nazwę hotelu, ale i numer pokoju. Pół godziny później, zaopatrzony w butelkę koniaku, zastukałem do ich drzwi.

Jeden rzut oka wystarczył, żeby stwierdzić, iż mam do czynienia z dwoma najbardziej typowymi przedstawicielami rosyjskich pilotów. Cholernie przystojni czterdziestolatki o szczerym spojrzeniu, którzy wzbudzają sympatię i zaufanie nawet wtedy, gdy w podkoszulkach siedzą przy obskurnym stoliku. Poprosili, żebym zajął wolne krzesło, i zapytali, w czym problem. Przedstawiłem pokrótce sytuację mojej grupy, a głównie to, że na lotnisku jesteśmy spaleni. Wysłuchali mnie uważnie, po czym zgodnie orzekli: mhmm, mhmm... Wypiliśmy po kieliszeczku i rozmowa zesłała na temat ogólnie panującej nieumiejętności dobierania odpowiednich do trunków zakąsek. Trwało to z piętnaście minut, aż w końcu jeden z nich, widząc moje wyczekiwanie, wrócił do tematu zasadniczego:

- No cóż, Marek, jak jest problem, to trzeba pomóc.

- Spróbujemy - zapewnił drugi, wstając i szykując się do wyjścia.

Co moskwiczanin, to moskwiczanin. No i co piloci, to piloci - pomyślałem, podniesiony na duchu. Poszliśmy razem na spacer wzdłuż muru otaczającego lotnisko, które wielkością przypomina warszawskie Okęcie. Był luty, więc wszystko wokół było oblodzone i ośnieżone. Po przejściu chyba półtora kilometra, mimo ciemności i braku jakichkolwiek znaków orientacyjnych, piloci zatrzymali się, mówiąc:

- Dokładnie w tym miejscu masz czekać o trzeciej nad ranem. Jak się pomylisz, może być niedobrze.

W drodze powrotnej dogadaliśmy się co do ceny, wręczyłem im zaliczkę i wróciłem do hotelu. Z przykrością przerwałem moim chłopcom program kulturalny, który realizowali w hotelowej restauracji, i nakazałem przygotowanie do podróży. Szumiało już im nieco w głowach, więc było im w zasadzie wszystko jedno, co, gdzie i jak, i dlaczego w nocy.

Wsiadając do taksówki, poleciłem jechać „gdzieś obok lotniska”, żeby na wszelki wypadek nie wystawiać mojej malowniczej wycieczki na widok publiczny. Dojazd i marsz wzdłuż muru przebiegły bez żadnych zakłóceń, a i z odszukaniem właściwego miejsca nie miałem problemów, bo będąc tam z pilotami, zapobiegliwie wbiłem w śnieg dwa patyki: jeden niższy, drugi wyższy.

Mamy jeszcze piętnaście minut, a ponieważ mróz jest siarczysty, więc nalewamy sobie po kieliszku,

popalamy, przytupujemy i dyskutujemy o tym, co nas czeka, jeśli piloci nie dotrzymają umowy. Pięciu ekstrawagancko ubranych facetów na kompletnym białym pustkowiu.

Dokładnie siedem po trzeciej zza muru dobiega nas jakiś hałas, a chwilę później widzimy wysuwającą się między drutami kolczastymi drabinę, czy raczej pozbijane deskami dwa drągi, w każdym razie coś w rodzaju trapu. Przechodzimy pokracznie na drugą stronę, a tam jakiś osobnik, czyli Wania, każe nam się pochylić i prowadzi nas niczym oddziałek partyzancki wzdłuż muru, na tyłach jakichś baraków. Za jednym z nich stoi otwarty autobus. Wskakujemy.

W środku breja po kostki, ale od razu czuć, że trochę cieplej. - Padnij! - słyszymy ściszony głos Wani. Kucamy, jak najniżej kto może, i autobus rusza jako zupełnie pusty. Podjeżdżamy pod prawdziwy tym razem trap. Wania wchodzi pierwszy, otwiera kluczem samolot i po chwili cała wycieczka melduje się na pokładzie.

Zaciekawieni rozglądamy się po wnętrzu, gdy tymczasem Wania ściąga wykładzinę podłogową tuż za kabiną pilotów, odkręca jakieś śruby, podnosi klapę i zwraca się do nas zachęcająco: - No, co się gapicie? Włażcie!

No to włazimy. Kłapa się zamyka i po kilku minutach zapada kompletna cisza.

Tym razem znaleźliśmy się w luku technicznym. Na ścianie mizerna lampka, dookoła mnóstwo przewodów hydraulicznych i elektrycznych, czyli cały tak zwany układ nerwowy samolotu. Jest piekielnie zimno, chyba minus trzydzieści, a do startu mamy prawie trzy godziny. Musimy to jakoś przetrwać, więc skuleni przytulamy się do siebie. Już po kwadransie stwierdzamy, że dwie butelki koniaku to na tyłu chłopa ilość znikoma. Dla podtrzymania ducha opowiadamy sobie różne wesołe historie, a Jean-Michel przyznaje się dopiero teraz, że ma licencję pilota szybowcowego, więc się zna na rzeczy i nie mamy się co martwić. Potem robi się coraz ciszej, choć od czasu do czasu przypomina się komuś jakiś dowcip.

Mija szósta, czyli godzina planowego odlotu, a wokół nic się nie dzieje. Dobrze wiem, że może to być normalne, zwykłe opóźnienie, a jednak tym razem myśli mam naprawdę niewesołe.

Dopiero o siódmej zbudził nas z letargu tupot nóg. Zaraz potem potężny huk i przeciągły łoskot.

Znaczy - ruszamy na pas startowy. Robi nam się od razu cieplej na duszy i szybko odzyskujemy właściwy sobie wigor. Chyba jeszcze samolot nie nabrał odpowiedniej wysokości, gdy nad głowami słyszymy puk! puk! i chrzęst odkręcanych śrub. Wychodzimy po drabinie, a wokół tłum ludzi. Między kabiną pasażerską a kabiną pilotów jest przedział dla stewardes i mały przedział bagażowy - wszystko pełne ludzi. Siadamy na jakichś skrzynkach, a uśmiechnięte stewardesy podają nam gorącą herbatę. Jedna z nich zwraca się do koleżanki:

- No to ilu w końcu dzisiaj mamy, Luba?

- Chyba szesnastu.

- No, to nic takiego, przedwczoraj mieliśmy dwudziestu dwóch.

Przepisowi pasażerowie widzą oczywiście, że w przodzie samolotu kręcą się jacyś ludzie, ale nikt się tym nie niepokoi; raczej każdy jest zadowolony, że przypadło mu w udziale lepsze miejsce. Zdziwić się taką sytuacją można dwa, trzy razy, ale później nie ma innego wyjścia - trzeba się przyzwyczaić. Dla pilotów jest to duże ryzyko, które polega jednak głównie na tym, że jakiś służbista gotów oskarżyć ich o lewe dochody. Ale skoro na jednym takim locie zarabiają oni kilkakrotnie więcej, niż wynosi ich miesięczna pensja, to o czym tu mówić. Nie jest to wszakże, trzeba zaznaczyć, jakieś dzikie i pazerne bezhołowie. Wbrew pozorom normy bezpieczeństwa są ściśle przestrzegane. Jeśli jest mniej bagaży, to może być więcej pasażerów i na odwrót. Wiadomo też skądinąd, że komplet przepisowych pasażerów to dopiero połowa tego, co może udźwignąć samolot. Zresztą, prawdę mówiąc, nikt specjalnie nie wnika w detale wagowe - wystarczy powszechne przekonanie, że rosyjscy piloci nie są samobójcami.

Ponieważ moi inostracy byli w tej materii nowicjuszami, więc miny mieli lekko wystraszone, choć bardzo starali się swój strach ukryć. Prawdziwe odprężenie przyszło dopiero wtedy, gdy wyszliśmy przed halę moskiewskiego lotniska. Kupili szampana, z hukiem go otworzyli i okrzyknęli mnie najlepszym organizatorem wycieczek, jakiego kiedykolwiek widzieli. A widzieli ponoć niemało. Mieliśmy wolne popołudnie i wieczór, więc znajomy Rosjanin, Borka, przygotował nam prawdziwy program kulturalny: wyjazd do podmoskiewskiego Suzdału, jednego z piękniejszych rosyjskich

miasteczek, przy którym Moskwa ze swoją nuworyszowską atmosferą to ohydztwo. Wyruszyliśmy w dwie taksówki: w jednej ja z kawiorowcami, w drugiej Borka z koleżankami. Fatalna pogoda spowodowała jednak, że już kilka kilometrów za rogatkami straciliśmy ich z oczu. Potem wpadaliśmy albo w zaspy, albo w zamieć, albo trafialiśmy na taką ślizgawicę, że w ogóle nie dało się jechać. Kiedy wreszcie dotarliśmy na miejsce, Suzdał pogrążony był w ciemnościach i o podziwianiu jego piękna nie było mowy. Weszliśmy do pierwszego z brzegu pensjonatu, zbudziliśmy szatniarza i poprosiliśmy o chwilę ciepłego wypoczynku. Zanim zdążyliśmy zdjąć kurtki i płaszcze, na stole pojawiły się jabłka, cebula, chleb i flaszka wódki. Dla moich wycieczkowiczów szok kulinarny. Zaczęli w związku z tym rozprawiać o rosyjskich zwyczajach i rosyjskiej niezbadanej duszy. Cały czas wpatrywali się przy tym w szatniarza, jakby się spodziewali, że zaraz w kilku zrozumiałych słowach wyjaśni, na czym ta dusza polega. A on, Bogu ducha winny, napełniał tylko kieliszki i namawiał do zakąszania.

Po godzinie, nie doczekawszy się drugiej taksówki, wróciliśmy do Moskwy. Wycieczka może nieudana, ale przecież nie Marek ją organizował - pocieszali się moi kompani.

Rano spotkaliśmy się na pożegnalnym koniaku. Wszyscy zgodnie stwierdzili, że rosyjska działka naszej wzajemnie korzystnej współpracy kawiorowej pozostaje wyłącznie w mojej gestii.

Odwiedzałem ich później. Jean-Michel mieszka w przepięknym zameczku pod Marsylią. Żona zabroniła mu raz na zawsze jakichkolwiek wyjazdów do Rosji. William, który podczas całej naszej wyprawy był raczej oschły, zwierzył mi się przy następnym spotkaniu, że jeśli się kiedyś ożeni, to wesele na pewno wyprawi u szatniarza w Suzdalu...

Przeleciałem Związek Radziecki, Wspólnotę Niepodległych Państw i nową Rosję, jak to się mówi, wzdłuż i wszerz. Dziesiątki, a może setki razy słyszałem na tamtejszych lotniskach komunikat, że lot został odwołany albo będzie opóźniony, gdyż na trasie wystąpiła „nielotnaja pagoda”. Początkowo myślałem, że to normalne, bo gdzie się przecież w Rosji nie ruszysz, to przelatujesz przez kilka stref klimatycznych. Później jednak przekonałem się, że określenie „nielotnaja pagoda” ma również sens symboliczny.

Zdarzyło mi się kiedyś bez żadnych problemów kupić bilet dla inostrąców na lotnisku w białoruskim Mińsku. W grupie obcokrajowców było też dwóch Hindusów, niemiecki muzyk i czeski profesor. Wszyscy z właściwymi, jak Pan Bóg przykazał, biletami. I wszystkim bardzo się spieszyło do Petersburga.

Weszliśmy do samolotu, zajęliśmy przypisane nam miejsca i psychicznie przygotowujemy się do startu. Mija jednak pora odlotu, a nic się nie dzieje. Dowcipny czeski profesor wyraża przypuszczenie, że w kabinie pilotów podłożono seks-bombę. Inni też snują domysły, choć jest widoczne, że niepokój wkraść się tylko w grono inostrąców. Reszta pasażerów jakby w ogóle opóźnienia nie zauważała. Wreszcie, po półgodzinie, słychać w głośnikach chrzęst, ale pilot z przykrością ogłasza, że w Petersburgu nielotnaja pagoda, że to trochę potrwa, więc możemy wrócić do hali odlotów i spokojnie się odprężyć.

Każdy, kto dużo lata, zdaje sobie sprawę, co to znaczy czekać na lotnisku nie wiadomo ile. Czyta się gazetę, nie czytając, rozmawia, nie słuchając, i przygląda się innym, nic nie widząc. Wezwano nas jednak do samolotu już po godzinie, więc każdy był skłonny o tym czekaniu zapomnieć. Uśmiechnięci zasiadamy w fotelach i po raz drugi wygłaszamy w myślach różne modły i zaklęcia. Tymczasem włącza się głośnik i pilot oznajmia, że właśnie dostał komunikat o przedłużaniu się nielotnej pagody nad Petersburgiem. I zaprasza do poczekalni w celu ponownego odprężenia się. Po następnej jałowej godzinie sytuacja się powtarza: wezwanie do samolotu, zapinanie pasów, komunikat o złej pogodzie, przeprosiny i powrót do poczekalni.

Pierwszy nie wytrzymał niemiecki muzyk. Chyba nieczęsto latał po Rosji, bo zrywając się nagle, oświadczył głośno i dobitnie, że cierpliwość ma swoje granice. Gdyby latał częściej, to takiego głupstwa nigdy by przecież nie palnął.

Pomogłem mu kupić żetony i po wielu próbach udało mu się dodzwonić do Petersburga, żeby usprawiedliwić swoją nieobecność. Przy okazji jednak dowiedział się, że tam, w Petersburgu, pogoda jak marzenie i nie widać na niebie ani jednej chmurki. Zgodziłem się zostać jego tłumaczem i razem udaliśmy się do naczelnika lotniska.

- No, jakże to tak? - pytamy. - W Mińsku piękna pogoda, a w Petersburgu, chociaż to niedaleko, oberwanie chmury?

Naczelnik nieco się skonfundował, bo to przecież inostracy i do tego nie wiadomo kto. Zaczął coś mówić o zmiennych komunikatach meteorologicznych, ale mu przerwałem i powiedziałem, co wiemy.

- No dobrze - mówi naczelnik z rezygnacją w głosie, staje przy oknie i zwraca się do nas: - Podejdźcie tu i sami zobaczcie.

Przez okno ujrzałem całe lotnisko jak na dłoni. Nasz samolot przyczepiony był sztywnym holem do ciężarówki marki Ził. Problem w tym, że kierowca, który miał klucze od kłódki, poprzedniego dnia wyprawiał swego plemiannika, czyli bratanka, do armii. A to jest duża sprawa i święty obyczaj. Zbiera się cała rodzina i biesiaduje. W tych niespokojnych czasach, kiedy Rosja bije się na tyłu frontach, może to być przecież ostatnie spotkanie. Biesiadowali chyba do rana i kierowca musiał się przespać, żeby przyjść do roboty w dobrej formie.

- To porządny człowiek - zakończył naczelnik - z pewnością już jedzie.

Cóż mogliśmy odpowiedzieć? Podziękowaliśmy za informacje, a naczelnik, podając nam rękę, poprosił, abyśmy nic nie mówili reszcie pasażerów, bo jeśli wieść się rozejdzie, to człowieka zwolnią z pracy. W zamian za to obiecał, że osobiście zwróci się do naszego pilota, żeby poleciał szybciej, to chociaż trochę nadrobimy to fatalne opóźnienie.

Gdy wracaliśmy do hali odlotów, niemiecki muzyk, który przejawiał duże zacięcie intelektualne, zapytał na głos sam siebie: - No i niech mi ktoś powie, czy to wszystko to rosyjskość, czy sowieckość? - Nic mu nie odpowiedziałem, bo nie lubię banałów. Wiadomo przecież, że i jedno, i drugie. Inaczej po prostu być nie może.

Godzinę później, gdy ruszyliśmy w końcu na pas startowy, zrobiło się ciemno, zaczęło lać i wiać. Ale dla naszego pilota była to jak najbardziej lotnaja pagoda.

Dowcipny czeski profesor, chcąc odwrócić naszą uwagę od niemiłosiernie skrzypiącego i trzęsącego się samolotu, opowiedział nam anegdotkę o tym, jak to starsza pani spotyka w sklepie na lotnisku pilota, z którym ma za chwilę lecieć, a ten kupuje kilka butelek alkoholu. - Mam nadzieję, że nie będzie pan tego popijał w czasie lotu - powiada sarkastycznie starsza pani. - A czy łaskawa pani sądzi, że tym gratem można lecieć na trzeźwo?

Przypuszczam, że gdyby w rosyjskiej telewizji pokazano reklamę według tej anegdotki, to nikogo by ona nie zniechęciła. Wręcz przeciwnie, wzbudziłaby ogólną sympatię do pilota, a tym samym do reklamowanych linii lotniczych.

Rzeczywiście, sprzęt, który widuje się na rosyjskich liniach wewnętrznych, budzi nieraz uczucie grozy. Po jakimś czasie to uczucie ulega jednak stępieniu, bo powoli zaczyna się przyjmować rosyjski punkt widzenia. A dla Rosjan samolot to taksówka, całkowicie banalny środek lokomocji. I dla wszystkich jest jasne, że jeśli coś się w taksówce zepsuje, to się to reperuje, a nie robi się generalnego przeglądu technicznego. Jak coś się telepie, to nie wymienia się podzespołu, tylko ocenia fachowym okiem, ile to coś może jeszcze wytrzymać. A samolot ma jeszcze tę przewagę, że nie stoi za nim jakiś pojedynczy osobnik, ale całe państwo i armia najświetniejszych inżynierów, którzy najlepiej wiedzą, co może latać, a co nie. Mając do wyboru prywatny, niech będzie wygodny, odrzutowiec i podstarzały samolot Aerofłotu, większość Rosjan wybrałaby Unie państwowe. I takie nastawienie jest trwalsze, niż mogłoby się na pozór wydawać. Zbyt wielka jest siłą przyzwyczajenia.

To prawda, że od początku lat dziewięćdziesiątych powstało w Rosji chyba kilkaset prywatnych lotniczych firm przewozowych. Brzmi to dumnie, ale, prawdę mówiąc, niewiele się zmieniło.

Większość bowiem tych firm po prostu przejęła, wydzierzała, podjęła, czy też pożyczła od Aerofłotu zaawansowane wiekiem samoloty, nadała sobie jakieś szumnie brzmiące nazwy, które nawet czasami, jeśli była odpowiednia farba pod ręką, wymalowano na kadłubach, choć potem myślano, że niepotrzebnie, bo po co mieszać ludziom w głowach. Z kolei pasażerowie, też nie w ciemną bici, dobrze wiedzą, że to wszystko to i tak Aeroflot, tyle tylko, że ktoś inny bierze pieniądze, co jest zresztą denerwujące, bo niby z jakiej racji. Denerwujące jest również to, że te nowe towarzystwa lotnicze właściwie robią, co chcą.

Umówiłem się kiedyś na rozmowy handlowe w malutkim miasteczku na Syberii, tuż za Uralem. Pani z

okienka na lotnisku w Moskwie, gdy pokazałem jej mapę i, zakreślając kolko, powiedziałem, że to gdzieś tutaj, poradziła, żebym poleciał najpierw do Permu, bo to jedyne miasto w tym rejonie, do którego latają samoloty Aeroflotu.

- Jak dalej, to się zorientujecie na miejscu. Coś tam musi przecież latać - zapewniła mnie, zamykając swój gruby zeszyt.

Z mapy wynikało, że będę miał do pokonania jeszcze jakieś czterysta kilometrów.

W Permie dowiedziałem się, że najlepiej zrobię, jak polecę do Solikamska i Bierieznikowa. A dokładniej rzecz biorąc, to nie dolecę ani do samego Solikamska, ani do samego Bierieznikowa, bo to miasta oddalone od siebie o pięćdziesiąt kilometrów, a lotnisko położone jest w połowie drogi między nimi i samo w sobie nie ma żadnej nazwy. Musiałem uwierzyć na słowo, bo na mojej mapie żadnego z tych miast nie było. Linie, którymi miałem polecieć, też nie miały swojej nazwy. Gdy kupowałem w kasie bilet, powiedziano mi, że „to ci, którzy latają na tej trasie”.

Przyszedłem na lotnisko odpowiednio wcześniej, czekam i czekam, ale jakoś nikt nie ogłasza, gdzie mają się stawić pasażerowie do Solikamska, czy też do Bierieznikowa. Na piętnaście minut przed planowanym startem sam zacząłem się dopytywać, co z moim samolotem. Odpowiadano mi jedynie znamionującym niewiedzę wzruszaniem ramion. Kiedy w końcu trafiłem na osobę kompetentną, okazało się, że nie mam po co czekać, ponieważ samolot z Solikamska nie przyleciał. A skoro nie przyleciał, to i nie odleci.

- A co się stało? - zapytałem odruchowo.

- Nielotnaja pagoda.

Poradono mi, żebym przyszedł następnego dnia, tak około dziesiątej, to może już coś będzie wiadomo.

Na wszelki wypadek przyszedłem nieco wcześniej i dobrze zrobiłem, bo od razu się dowiedziałem, że mój samolot już od pół godziny stoi i czeka. Spojrzałem we wskazanym kierunku i zobaczyłem dość znacznie porzewiałego „antka”, a właściwie można powiedzieć, że cały był koloru rdzawego. Dołączyłem do zbitych w gromadkę nieopodał samolotu kilkunastu ludzi, moich współpasażerów, którzy stali tam, bo ktoś im powiedział, żeby stali i czekali. Mimo trzaskającego mrozu nikt się nie oddalał, bo nikt nie był taki głupi.

Po kwadransie zjawili się dwaj piloci-cywile i stwierdzili na przywitanie, że dwie osoby nie polecą, bo trzeba załadować na pokład beczkę oleju, a jedno wyklucza drugie. Żadnej uczciwej licytacji jednak nie przeprowadzili.

- Ci dwaj polecą jutro - zawyrokował arbitralnie starszy wiekiem pilot.

Protestów ze strony wytkniętych palcem nie było, bo jeden dzień różnicy to w końcu żadna różnica. Pozostali natychmiast ruszyli w stronę samolotu, ale natychmiast też zostali powstrzymani przez pilotów, którzy oznajmili, że odlot nastąpi za godzinę, bo mają jeszcze kilka spraw do załatwienia. Trochę zawiedzeni, ale bez żadnych już obaw, poszliśmy do poczekalni. Sprawa zaklepana, więc można się w ciepłe odprężyć.

Po godzinie przyszedł do nas jeden z pilotów, mówiąc, że wystąpiły pewne trudności i nie wiadomo, czy w ogóle polecimy. Nie podał żadnych szczegółów, więc zaniepokojeni i podenerwowani zaczęliśmy snuć różne domysły. Po następnych dziesięciu minutach podszedł drugi pilot i bardziej jakby prywatnie potwierdził, że owszem, są pewne trudności, ale można by, ewentualnie, przy dobrej woli, jakoś je przezwyciężyć.

- Mówcie konkretniej - przynaglił go pucułowaty sierżant wojsk lądowych.

- W porządku - odparł pilot. - Trzeba zrobić zrzutkę na paliwo.

Nikt oczywiście nie zapytał, ile ono kosztuje, bo dobrze wiedzieliśmy, że żadnej cysterny i tak nie zobaczymy. Zebraną po uważaniu sumę przekazaliśmy pilotom i pięć minut później siedzieliśmy już w samolocie. Najgorzej mieli ci, którzy usiedli obok anonsowanej wcześniej beczki z olejem.

Przywiązana była ona co prawda drutem, ale w czasie chybotliwego lotu okazało się, że niezbyt dokładnie jest zamknięta.

Solikamsk i Bierieznikowo to miasta zsyłki. W jednym mieszkają kobiety, w drugim mężczyźni. W sumie chyba kilkanaście, a może kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Pracują w pobliskich, kiedyś tu skrywanym, fabrykach chemicznych.

Lotnisko, na którym wylądowaliśmy, przypominało dworzec autobusowy w Grójcu w latach sześćdziesiątych. Zwykle klepisko, kilka baraków, w tym jeden z napisem „Bar”, jakiś maszt radiowy, podupadłe magazyny i ogólne wrażenie, że się jest na końcu świata. Szybko dogadałem się z wąsatym kierowcą ciężarówki i wijącą się dróżką ruszyliśmy w stronę horyzontu.

Moi kontrahenci okazali się ludźmi poważnymi i po trzech dniach udanych negocjacji zapowiedzieli, że zawsze, ilekroć znajdę się w tych okolicach, będę miał do dyspozycji samolot. Zabrzmiało to niewiarygodnie nowocześnie, a mało tego, od razu zapytali, o której chcę rano odlecieć. Przewidując konieczność długiego snu po planowanym na wieczór podsumowaniu rozmów, uzgodniliśmy, że będzie to dwunasta w południe.

Kiedy kierowca czarnej wołgi, który podrzucił mnie na lotnisko, zniknął za horyzontem, poczułem się trochę nieswojo. Widzę, że stoją jakieś dwa samoloty, ale wokoło żadnego ruchu. Cisza, pustka i potworny mróz, a do tego wiatr tak przenikliwy, że na samą myśl o nim uszy odpadają. Zacząłem się przechadzać, a raczej truchtać między opustoszałymi barakami. Nagle, za jednym z baraków, natknąłem się na trzech osobników, którzy w zwartej grupce wyglądali na ukrywających się przestępców. Podeszedłem bliżej i zobaczyłem wielkie twarze prawdziwych, zdrowych łobuzów. Chyba mnie zarzną - przemknęło mi przez głowę. Ale podejść musiałem. Gdybym tego nie zrobił, oni podeszliby do mnie.

- No, rzebiata - mówię - trochę zimno, to może po kieliszeczku.

- A nie widzisz, chłopie, że bar zamknięty? - słyszę w odpowiedzi badawcze warknięcie.

- A na cóż nam bar - odpowiadam i wyciągam butelkę koniaku, którą zawsze noszę przy sobie, bo to lepsza broń niż dwa złote colty. Po pierwszej kolejce przeszliśmy na „ty”, ale to jeszcze nie był ten moment, w którym możesz być pewien, że nagle coś nie strzeli im do głowy i nie poproszą cię, żebyś pokazał, jaki masz ładny portfel. I następne kolejki nic tu nie zmieniają. Dzięki nim zyskujesz jedynie na czasie. Zanim skończy się butelka, a nie masz drugiej, muszą cię polubić. A polubią cię, jeśli zaproponujesz im coś, czego oni nie mają, a chcieliby mieć, i ta propozycja nie zabrzmi jak prośba o łaskę.

Chłopcy potrzebowali dostać się do Permu. Gdy powiedziałem, że mam samolot do dyspozycji i że mogę ich zabrać, zostałem od razu swoim chłopem, choć muszę zaznaczyć, że nie takim, którego bez potrzeby klepie się po ramieniu.

Nie byli to, jak początkowo myślałem, kryminalni zesłańcy, którzy odzyskali swobodę podróżowania. Byli to trzej mistrzowie sportu: bokser i dwóch zapaśników, którzy, wynajęci przez fabrykę spirytusową, konwojowali wagon wódki z Permu do Solikamska i Bierieznikowa. Podróż trwała tydzień, więc chłopcy byli brudni i zarośnięci. Pociąg krążył po wioskach, bocznicach i miasteczkach, a każdy postój to mniejsza lub większa bijatyka z miejscowymi, którzy najpierw chcą te kilka flaszek kupić, a jak się nie da, to zabrać.

- Stłuczek mieliśmy dokładnie tyle, ile przewidują normy - ryknęli śmiechem sportsmeni. - Zresztą, cóż to za wódka. Zwykła siwucha. W Permie posmakujesz prawdziwej gorzały.

Pilot przyjechał z dwugodzinnym opóźnieniem. Spojrzał krytycznym okiem na moich towarzyszy, ale zastrzeżeń nie zgłosił.

- Ciekawe, czy zapali - rzucił tylko i oddalił się w stronę samolotu.

Był to starej daty dwupłatowiec z jednym silnikiem, coś w rodzaju kukuruźnika. Gdy wsiadaliśmy, pilot ostrzegł, że możemy trochę zmarznąć, bo drzwi się nie domykają. I ruszyliśmy. Lecieliśmy na wysokości jakichś stu pięćdziesięciu metrów. Nie dlatego, żeby się ukryć przed radarami, ale dlatego, że w razie awarii silnika zawsze się jakoś lotem szybowca wylądować. Kiedy spojrzałem w dół, zobaczyłem tylko góry i lasy. Nie należy jednak krakać - awaria nie musi się przecież zdarzyć nad lasem, może się przytrafić nad jakimś polem. A to, że region permski, generalnie rzecz biorąc, nie jest regionem rolniczym, to już inna sprawa.

Po przylocie do Permu sportowcy nawet nie chcieli słyszeć, że będę nocował w hotelu. Zawieźli mnie na przedmieście, do jakiegoś mikroskopijnego mieszkanka. Przynieśli trzy kanistry prawdziwej wódki, przyprowadzili trzy koleżanki i włączyli wideo. Wszystkie elementy serdecznej gościny zostały tym samym spełnione.

Rano miałem kłopoty z biletem do Moskwy, ale mistrzowie, jako wytrawni światowcy, znali na

lotnisku wszystkich, a zwłaszcza stewardesy. Poznali mnie z pewną czterdziestolatką, która nie była ani długonoga, ani piękna, ani też nie miała śnieżnobiałych zębów, ale za to bezinteresownie wstawiła się za mną u swego szefostwa i mogłem wsiąść do samolotu jak najbardziej oficjalnie. Później, już w trakcie lotu, zapytała mnie o samopoczucie i wiedziałem, że robi to nie dlatego, że tak ją na kursach uczono, ale dlatego, że zna życie. Musiałem zresztą nie najlepiej wyglądać, bo widząc, że są wolne miejsca, zaproponowała mi, żebym się wygodnie przespał. Niemiecka, szwedzka czy jakakolwiek inna stewardesa szacownych linii nigdy by się na taki gest nie zdobyła, bo to wbrew przepisom. Chyba że chodziłoby o jej synka albo szwagra. Rosyjska proponuje to każdemu, kto tego wymaga. I ja taką wolę. Zawsze zresztą, kiedy po lotach różnymi liniami przesiadałem się do samolotu Aeroflotu, czułem się, jakbym wracał do miłego mi miejsca, w którym propozycja zjedzenia czegoś nie brzmi jak cytata z regulaminu.

Dzieje się tak po części dlatego, że notable całego świata zabiegają o posadę stewardesy tylko dla swoich pięknych córek, a w Rosji również dla doświadczonych żon.

Żelazny darogi

Jeżdżący na trasie Warszawa - Moskwa „Polonez” był w czasach socjalizmu najbardziej prestiżowym polskim pociągiem. Wygodnym, eleganckim i, w przeciwieństwie do pociągów radzieckich, punktualnym. Jego prestiż był tak duży, że każdy ówczesny minister komunikacji, chciał czy nie chciał, zaczynał swój dzień pracy od pytania: co z „Polonezem”? Jeśli sekretarka odpowiadała, że dojechał do Moskwy punktualnie, minister mógł głęboko odetchnąć i rozpocząć urzędowanie, będąc pewnym, że tego dnia nic mu już nie grozi.

Dwudziestego drugiego lipca, czyli w dzień niegdysiejszego święta państwowego, ale już tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego któregoś roku wsiadłem do „Poloneza” na Dworcu Białoruskim w Moskwie. Właściwie to wskoczyłem, bo zjawiłem się na peronie w ostatniej chwili. Nie miałem więc ani biletu, ani miejscówki, ale trafił mi się kuszetkowy, którego znałem z wcześniejszych wojaży. Zaprosił mnie do swojego przedziału, rozparcelował moje bagaże w taki sposób, żeby się wydawało, że ich w ogóle nie ma, po czym zajął się swoimi sprawami, których na początku podróży zawsze ma przecież mnóstwo. O spaniu i zępacie mieliśmy porozmawiać później.

Tak to już w tych podróżach bywa, że jak tylko pociąg ruszy, człowiek od razu coś by zjadł. Wydzieliłem więc sobie odpowiednią sumę i ruszyłem do wagonu restauracyjnego, który w „Polonezie” zawsze umieszczony jest pośrodku składu, między wagonami polskimi jadącymi do Warszawy i rosyjskimi jadącymi do granicy, czyli do Brześcia. „Polonez” ma też to do siebie, że liczba pasażerów powinna się w nim zgadzać z liczbą kuszetek. Jak w samolocie. Rozumie się oczywiście, że w nagłych wypadkach można dokooptować te kilka czy kilkanaście osób, ale tym razem wyglądało to tak, jakby sprzedano bilety na dwa „Polonezy”. Wszystkie dziewięć wagonów, które miałem do przejścia, od podłogi po sufit zawałone było ludźmi i tobołami. W różnych jeździłem warunkach, ale to, co się tutaj działo, wydawało się kłębowskiem nie do pokonania. Na szczęście był to początek podróży, więc pasażerowie mieli jeszcze dobry humor, zadowoleni, że udało im się do „Poloneza” dostać.

Maitre d'hotel, bo tak nazywają Rosjanie szefa sali w wagonie restauracyjnym, rozkazującym gestem skierował mnie do stolika, przy którym siedziały już trzy panie. Były to Rosjanki w różnym wieku, a ponieważ mój wiek jest z wyglądu trudny do odgadnięcia, więc wszystkie trzy wykazywały życzliwe zainteresowanie moją osobą. Rad z takiego obrotu sprawy, zamówiłem butelkę wina i cztery kieliszki. Wywołało to wśród moich pań szczery aplauz, więc nie wypadało nie zamówić po obiedzie drugiej, a następnie trzeciej.

Kiedy przyszło do płacenia rachunku, okazało się, że wydzieliłem sobie zbyt małą sumę, gdyż do każdej butelki wina dodawana jest puszka czerwonego kawioru, którą się otrzymuje przy wyjściu. To tak zwana sprzedaż wiązana z zaskoczenia, opierająca się na prostym założeniu, że jeśli ktoś lubi wino, to pewnie i kawior. Nieco zmieszany, poprosiłem panie, żeby chwilę poczekały, a jak wrócę z odpowiednią gotówką, to napijemy się jeszcze trochę wina.

Choćby człowiek bardzo chciał, to i tak od tego kawioru nie ucieknie - pomyślałem bez oburzenia. Ale cóż - są trzy panie, są trzy puszki, mogą być trzy prezenty.

Przedzieranie się przez kłębowisko ciał i tobołów było tym razem mniej przyjemne, bo każdy już się jakoś usadowił i wymuszanie przeze mnie zmiany pozycji traktowane było jako bezpośredni zamach na ciepło domowego ogniska. A na dodatek, ku ogólnej irytacji, informowałem uprzejmie, że zaraz będę wracał.

Kiedy w końcu dotarłem do przedziału znajomego kuszetkowego, pociąg nagle się zatrzymał. Przystanek bez powodu - mawiają wtedy pasażerowie i otwierając okna, dociekają przyczyny, która zawsze pozostaje nieznaną. Mnie ten niespodziewany przystanek spadł jak z nieba. Wziąłem z torby odpowiednią sumę, wyskoczyłem z pociągu i ruszyłem z powrotem nasypem. Był piękny letni wieczór.

Nie uszedłem nawet kilkunastu metrów, gdy pociąg ponownie ruszył. W pierwszej chwili pomyślałem, że poczekam, aż wagon restauracyjny zrówna się ze mną, i wtedy wskoczę, bo przecież zwykle po takich przystankach bez powodu pociąg rozpędza się bardzo powoli. Ale ten ruszył z kopyta. Zacząłem biec, ale bieg po kanciastych kamieniach między podkładami wygląda dość pokracznie. Bałem się, że się poślizgnę i wpadnę pod koła. Udało mi się w końcu chwycić za poręcz ostatniego wagonu, ale nogi nie nadążały już za pędem pociągu. Nie mogłem się wybić. Ręce nie wytrzymały i rzuciło mną jak workiem kartofli. Spadłem z nasypu i wylądowałem w głębokiej, soczystej trawie.

Kiedy się podniosłem, mój pociąg był już tylko małym punkcikiem, uciekającym w stronę horyzontu. Poczułem okropny ból palca prawej dłoni. Moje jasne spodnie i koszulka całe utyłane były na zielono. Wszystko, co miałem, to niewielki zwitek rubli. Żadnych papierów, żadnych dokumentów, żadnego narzędzia. Nie mówiąc już o papierosach i zapałkach. Ale lipcowy wieczór rzeczywiście był piękny.

Mozna by odruchowo powiedzieć, że zdarzyło się to w szczerym polu. Ale co to właściwie jest pole? Pole to jest zaorana ziemia albo łąny jakiegoś zboża. To ślad działalności człowieka, który bliżej czy dalej, ale gdzieś w okolicy musi mieszkać. Kiedy wdrapałem się na nasyp, zobaczyłem, że po horyzont nie ma nic. Nie ma ani pól, ani żadnego śladu zabudowy. Pustka i cisza. Tor kolejowy i step.

Czytałem kiedyś w biografii Feliksa Dzierżyńskiego, któremu dwa razy zdarzyło się wracać z Syberii, że w trudnych sytuacjach mawiał zawsze: przede wszystkim należy iść naprzód. Postanowiłem się do tej wskazówki zastosować i też ruszyłem przed siebie. Zastanawiałem się tylko, czy on wtedy szedł szybko, żeby nie tracić czasu, czy też szedł wolno, żeby oszczędzać siły. Tak czy owak, po kilku kilometrach skonstatowałem, że mój stan w mojej sytuacji nie zmieniło. Równie dobrze mogłem usiąść i czekać. Zapadał już zmrok i do głowy zaczęły mi przychodzić różne niestworzone historie. Szedłem jednak dalej i na wspomnienie indiańskich, tym razem, lektur od czasu do czasu przystawiałem ucho do szyn.

Człowiek wie doskonale, że jest całkowicie sam, a jednak odwraca się za siebie. Było już zupełnie ciemno, gdy odwracając się kolejny raz, zobaczyłem w oddali światełko. Po chwili rozdzieliło się na dwoje, co znaczyło, że po torach jedzie jakiś pociąg. Zacząłem się nerwowo zastanawiać, co tu zrobić, żeby go jakoś zatrzymać. Nic sensownego nie przyszło mi jednak na myśl, więc efekt był taki, że stanąłem w rozkroku między szynami i z determinacją postanowiłem: nie przepuszczę!

A jednak mnie dostrzegli i się zatrzymali. Była to samotna lokomotywa powożona przez dwóch ogorzałych maszynistów. Kiedy przedstawiłem im sytuację i nadmieniłem, że mam przy sobie tylko zwitek rubli, natychmiast obudziła się w nich rajdowa żyłka.

- Za nimi! Na Smoleńsk! - zakrzyknęli i chwycili za łopaty. Węgla nie żałowali i po kwadransie kocioł rozgrzany był do czerwoności. Pruliśmy jak szaleni, od czasu do czasu pociągając po tyku z flaszki, którą jeden z maszynistów przechowywał za pazuchą. Kieliszki nie wchodziły w grę, bo za bardzo trzęsło.

Ujechaliśmy może osiemdziesiąt, może sto kilometrów, aż natknęliśmy się na zwrotnicę, która łagodnie skierowała nas na boczny tor. Maszyniści, w rajdowym ferworze, po prostu kompletnie o niej zapomnieli. Po kilku minutach wjechaliśmy na maleńką, zagubioną stacyjkę bez nazwy.

Przywitało nas dwóch młodych dróżników, którzy zaraz zaprowadzili mnie do pobliskiego baraku, a tam jakaś troskliwa kobiecina obandażowała mi spuchniętą już porządnie rękę i przygotowała coś do

zjedzenia. Moi maszyniści, którzy dostali ode mnie zwitek rubli, przysli do baraku z nowiutką flaszką, którą chyba musieli znaleźć gdzieś pod drzewem, bo żadnego sklepu tam nie było. Zaproponowali strzeżeniowego i poprosili kobieciny o szklanki. Ponieważ było nas już pięciu chłopów, więc butelka została opróżniona za jednym rozlaniem.

- Ty już masz opiekę, to my lecimy dalej - stwierdzili maszyniści i równym krokiem oddalili się w kierunku swego parowozu. Zabrać mnie nie mogli, bo przepisy nie pozwalają wozić cywilów w lokomotywie, a poza tym Smoleńsk, tak po prawdzie, nie był właściwym celem ich podróży. Po krótkiej naradzie dróżniczka wysłała telefonogram do Brześcia, żeby zatrzymano tam mój paszport. Nie mogłem prosić o zatrzymanie wszystkich papierów, nie mówiąc już o bagażach, bo to są rzeczy nieokreślone - nie ma przecież na nich pieczętki, że to moje. A paszport to paszport. Jest nazwisko, jest imię, wszystko się zgadza, więc można zatrzymać.

Wysłanie telefonogramu było jedyną rzeczą, której mogłem w tej sytuacji dokonać. Planowanie dojazdu do granicy przy pomocy rozkładu jazdy dróżnicy uznali bowiem za stratę czasu.

- Lepiej spokojnie posiedzieć i poczekać - poradzili. - Jakiś pociąg jadący w twoim kierunku prędzej czy później musi tu zawitać.

Ich wróżba spełniła się po niecałych dwóch godzinach. Gdy na stacyjce zatrzymał się jakiś dwuwagonowy pociąg lokalny, dróżniczka poprosiła konduktora, żeby mnie zabrał mimo braku biletu, pieniędzy i dokumentów. Żegnając się z moimi opiekunami, już nawet nie pytałem, dokąd konkretnie ten pociąg jedzie. Ważne, że na zachód.

Ze zrozumiałych względów nie pamiętam dokładnie, iloma pociągami dojechałem do Brześcia. Może pięcioma, może sześcioma. Już bowiem w pierwszym z nich konduktor ugościł mnie po królewsku: kanapki, papierosy, wódeczka i popitka. Następny pociąg, to samo: kanapki, papierosy, wódeczka i popitka. I tak do samego Brześcia. Informacja o tym, że pasażer z „Poloneza” tuła się w stronę Polski, rozeszła się błyskawicznie. Konduktorzy i kierownicy pociągów przekazywali mi sobie z rąk do rąk jakąś wartościową przesyłkę. Na jednej ze stacji pociąg opóźnił wyjazd o kilkanaście minut tylko po to, aby mnie zabrać ze sobą. Na innej czekał niemalże komitet powitalny. I znowu: kanapki, papierosy, wódeczka i popitka. I nikt nie żądał zapłaty ani nie wystawiał mi biletów kredytowych. Cóż, trafiłem na dobre rosyjskie dusze. Można powiedzieć, że spełniłem rolę zapałnika reakcji łańcuchowej, epidemii dobrej woli i serdeczności. Rzecz w tym, że równie łatwo i niespodziewanie można w Rosji wyzwolić zbiorowe instynkty nienawiści i zniszczenia. Nie raz i nie dwa próbowałem na ten temat rozmawiać z Rosjanami, ale oni też nie bardzo wiedzieli, dlaczego tak się dzieje. Albo nie chcieli się przyznać. Pewne jest tylko, że w przyrodzie równowaga musi być zachowana: im więcej zła, tym więcej dobra. No i pewnie też na odwrót.

W Brześciu okazało się, że niestety, ale mojego paszportu nie zatrzymano, ponieważ telefonogram przyszedł akurat wtedy, gdy następowała zmiana ekipy dworcowej, więc siłą rzeczy się zawieruszył. Gdy się odnalazł, „Polonez” był już w Polsce.

Do Warszawy nie mogłem się w żaden sposób dodzwonić, więc dodzwoniłem się do Moskwy, do przyjaciół, którzy stamtąd mieli pokierować akcją poszukiwawczą. Wszystko odbyło się jednak za późno. Próbowałem jeszcze porozmawiać ze strażą graniczną, ale o przejściu bez paszportu nie chciano nawet słyszeć. Nic mi nie pozostawało jak czekać na przyjazd wieczornego „Poloneza”, aby wrócić do Moskwy i wyrobić sobie w konsulacie jakiś papier zastępczy. Mając więc trochę czasu, niemiłosiernie skacowany, zawlokłem się nad Bug, żeby popatrzeć na Terespol. Był to, jak się okazało, ulubiony widok miejscowych pijaczków. Zasnąłem jednak bez obaw. Nic mi nie mogli ukraść, bo nic nie miałem.

W wieczornym „Polonezie” trafiłem na szczęście na znajomego konduktora. Wypytał mnie o przyczyny nędznego wyglądu, po czym ugościł po królewsku: kanapki, papierosy, wódeczka i popitka. Dołożył jeszcze czystą koszulkę i czyste skarpetki, więc następne tysiąc kilometrów wydało mi się niewinną przejażdżką.

Gdy wyskoczyłem na peron moskiewskiego dworca, okazało się, że tym samym pociągiem, dwa wagony dalej, jechał znajomy kuszetkowy, który przyjął mnie do swego przedziału na samym początku tej długiej podróży. Już z daleka zaczął wymachiwać moim paszportem, a usłyszawszy moją relację, zaferował pożyczkę na bilet do Warszawy. No i cóż mogłem uczynić? Propozycję przyjąłem i

pół godziny później znowu wsiadłem do pociągu. Jak jeździć, to jeździć.

W Warszawie stwierdziłem, że z moich bagaży, które kuszetkowy odwiózł mi do domu, zginęły co cenniejsze rzeczy.

Nie byłem jednak specjalnie tym rozsierdzony, bo przecież za dużo nie można od człowieka wymagać. Tym bardziej że sam nie byłem zbyt czysty: panie, z którymi jadłem obiad i popijałem wino, z pewnością uznały mnie za drobnego oszusta, który nie tylko, że ulotnił się przed zapłaceniem rachunku, to jeszcze ulotnił się na dobre.

Mógłby ktoś powiedzieć, że cała ta historia to wyłącznie wynik mojej lekkomyślności. Wsiadłem z pociągu nie tam, gdzie trzeba, i narobiłem sobie biedy. Myślę jednak, że trzeba spojrzeć na sprawę szerzej i bardziej obiektywnie.

Wymyślono kiedyś, że pociągi będą się dzieliły na dwa rodzaje: towarowe i osobowe. Tymczasem w Rosji lat dziewięćdziesiątych, od początku kupieckiej wędrówki ludów, występuje wyłącznie kategoria mieszana. Pociągi pasażerskie, zwłaszcza te przekraczające granicę państwową, wypełnione są towarami w takich ilościach, że całkowicie uniemożliwia to zaspokajanie naturalnych potrzeb przez zwykłych pasażerów. Mam tu na myśli nie tylko pójście do toalety, ale też do wagonu restauracyjnego. Można więc powiedzieć, że moje zachowanie było wprawdzie niekonwencjonalną, ale jak najbardziej uzasadnioną próbą przywrócenia pociągom pasażerskim ich pierwotnego charakteru. A że nieudaną, no to cóż, taki jest los konserwatystów.

Jeśli ktoś sądzi, że problem można by załatwić doczepiając do każdego pociągu niejeden, ale kilka wagonów bagażowych, to się głęboko myli. Byłoby to pociągnięcie bezsensowne, ponieważ kolidowałoby z przemożną w Rosji potrzebą fizycznej i psychicznej bliskości właściciela z jego własnością, która to potrzeba jest przecież stara jak świat. Coś, co nie jest w zasięgu ręki albo wzroku, w zasadzie przestaje być moje, a staje się trudną do zniesienia, męczącą abstrakcją. Dlatego też nawet pojedyncze wagony bagażowe, które normalnie znajdują się w składzie każdego pociągu osobowego, świecą w Rosji pustkami.

Potrzeba bliskości człowieka ze swoją własnością nie bierze się jednak wyłącznie z powietrza, ale ma też swoje rozliczne uzasadnienia praktyczne. Panuje w Rosji powszechne mniemanie, że kupiec, który rozstałby się ze swoim towarem i nadał go na bagaż, nie zasługiwałby w ogóle na miano kupca. W wagonie bagażowym trzeba bowiem wypełnić rozmaite druki: /jaki towar ma się w torbach, ile go jest i jaka jest jego wartość. Należałoby przy tym napisać prawdę, aby w razie zaginięcia, co jest wysoce prawdopodobne, odszkodowanie, przynajmniej teoretycznie, było odpowiednio wysokie. A podanie jakimkolwiek czynnikom oficjalnym rzeczywistej wartości towaru to handlowa kompromitacja. To tak, jakby się człowiek publicznie rozebrał do naga. Zyskałby opinię gaduły i, rzecz jasna, nikt nie traktowałby go poważnie. Nie mówiąc już o tym, że raz zapisane w jakichś kwitach prawdziwe informacje o towarze ciągnęłyby się za człowiekiem w nieskończoność i musiałyby uiszczać wszystkie przewidziane przepisami opłaty, co byłoby równoznaczne z całkowitą plajtą przedsięwzięcia.

Ciężko zostałaby również naruszona niepisana zasada kupów-podróżników, która mówi, że na granicy musisz coś przy sobie mieć. Nie może być tak, że przyjdzie celnik, a ty mu pokażesz tylko jakieś papiery. Celnik gotów się wtedy zdenerwować, bo tym samym traci nad tobą władzę. A któż lubi tracić władzę? Nikt nie lubi, więc jego irytacja skieruje się na innych pasażerów, którzy bardzo nie lubią być kontrolowani przez zdenerwowanego celnika. Możesz być wtedy pewien, że do końca podróży pozostaniesz jednostką wyobcowaną, a dla celnika i tak zawsze już będziesz osobą podejrzaną, bo przewożącą swój bagaż w wagonie bagażowym. I prędzej czy później postara ci się udowodnić, że jego podejrzenia nie były bezpodstawne.

Tak więc nie ma już w Rosji pociągów przekraczających granicę państwową, które można by uznać za pasażerskie. Tobały, torby, walizy i paki ważą więcej niż ludzie. Przepisy mówią co prawda, że każdy pasażer może mieć przy sobie trzydzieści kilogramów bagażu, ale czy kiedykolwiek widział ktoś w pociągu wagę? Nie, takie urządzenie nie występuje. Nie znaczy to jednakże, że odpowiedzialni za pociąg i wagony konduktorzy i kuszetkowi poddali się bez walki. Opłaty za nadbagaż, owszem, są przez nich egzekwowane, tyle tylko, że bardziej subtelными metodami.

Wpuszczając pasażerów do pociągu, bacznie się im przyglądają, notują w pamięci tych najbardziej

obładowanych i spokojnie czekają. Nikogo nie zatrzymują, bo przy wejściu panuje zawsze taki tłok i rozgardiasz, że byłoby to nawet fizycznie niemożliwe. Gdy pociąg ruszy i po jakimś czasie sytuacja się ustabilizuje, konduktor albo kuszetkowy przechadza się lub też przeciska, żeby rzucić gospodarskim okiem na podległy mu teren. Napotykając zanotowanego wcześniej osobnika, nie wyciąga jednak żadnych bloczków rachunkowych ani też nie przedstawia żadnych kategoriycznych żądań. Nigdy bowiem nie wiadomo, kto zacz, ilu ma kolegów i do czego jest zdolny, a w końcu konduktor czy kuszetkowy jest sam i wolałby uniknąć awantur. Napomknie więc tylko uprzejmie o obowiązujących przepisach wagowych, uśmiechnie się nawet i pójdzie sobie dalej. I to wystarczy. Jeśli zagadnięty pasażer chce, żeby konduktor czy też kuszetkowy zachował wobec celników milczenie, zapłaci za nadbagaż z własnej, nieprzymuszonej woli, a wysokość tej opłaty podyktują mu panujące w tej materii zwyczaje, które wszyscy podróżnicy dobrze znają.

Dla każdego, kto dużo jeździ, jasne jest, że konduktor i kuszetkowy to najbardziej intratne na kolei stanowiska. Nie znaczy to jednak, że inni pracownicy kolei biernie się temu przyglądają i nie wykazują się żadną inicjatywą.

Pewnego razu zaszedłem na dworzec w Rostowie akurat w momencie, gdy podstawiano na peron mój pociąg. Otworzono drzwi i zaczęła się walka o najlepsze miejsca, a zaraz potem zawzięte dyskusje o najlepszy sposób rozmieszczenia bagaży. Mając trochę czasu, a nie będąc obciążony żadną torbą ani walizą, postanowiłem poczekać, aż sytuacja się unormuje. Przechadzałem się więc po peronie, po którym kręcili się jacyś techniczni pracownicy i metalowymi drągami opukiwali wagony. Przyglądałem się temu nawet z zaciekawieniem, bo nigdy nie mogłem dojść, co też takie opukiwanie daje.

Na pół godziny przed odjazdem jeden z tych dróżników czy też pracowników torowych podszedł do mnie i powiedział, że wagon, przy którym stoję, prawdopodobnie zostanie odczepiony i nigdzie nie pojedzie. Gdy zdziwiony zapytałem, co się stało, usłyszałem tylko jedno słowo:

- Pieriekos.

Pieriekos znaczy tyle, że na skutek nadmiernego, a nierównomiernego obciążenia wagon się przechylił.

Przekazałem tę wiadomość grupie stojących przy wejściu pasażerów, a ci, równie zdziwieni, zaczęli ją przekazywać dalej. Po kilku minutach wiedział już cały wagon. Powstało hulaśliwe zamieszanie i spora część pasażerów wyległa na peron, żeby przekonać się o sprawie naocznie. Uformowana naprędce delegacja sprowadziła dwóch dróżników i przystąpiono do negocjacji. Oglądano wagon ze wszystkich stron, kucano, zerkano i przyrównywano do różnych obiektów, które z natury rzeczy winny być pionowe. Pasażerowie twierdzili oczywiście, że żadnego przechyłu nie ma, co najwyżej o dwa centymetry. Dróżnicy upierali się jednak, że przechył jest wyraźny i ryzykowny, a jeśli ktoś ma inne zdanie, to niech się skontaktuje z dyrekcją.

Sugestia ta w żaden sposób nie była wykonalna, gdyż do odjazdu pozostawał tylko kwadrans. Po krótkiej naradzie jeden z pasażerów zdjął czapkę, a pozostali, wychylając się z okien, zaczęli do niej wrzucać dobrowolne datki. Uzbierana suma została przesypana do torby jednego z dróżników, który zaraz przyznał, że przechył co prawda zaistniał, ale w zasadzie nie przekracza dopuszczalnych norm. Pasażerowie odetchnęli i natychmiast powrócili do przerwanej parcelacji bagaży.

Dróżnicy okazali się jednak partaczami. Zamiast przeprowadzić swą akcję dyskretnie i spokojnie, wywołali ogólne zamieszanie, które nie uszło uwadze dworcowych milicjantów. Zmarkotniały więc dróżnikom nieco miny, gdy ledwo oddaliwszy się od naszego wagonu, zostali przez milicjantów zatrzymani i, chcąc nie chcąc, musieli się z nimi swym zyskiem podzielić.

Ułożenie sobie poprawnych stosunków z kuszetkowymi, konduktorami i innymi pracownikami kolei jest dla pasażerów pociągów międzynarodowych oczywiście koniecznością, ale w sumie nie nazbyt absorbującą. To raczej formalność, którą trzeba szybko załatwić, żeby móc zająć się sprawami poważniejszymi. A są nimi, rzecz jasna, przygotowania do kontroli celnej.

Styl życia na rosyjskich granicach wyznaczony jest od kilkadziesiąt lat czasem potrzebnym na wymianę podwozi. Z szerokich rosyjskich na wąskie zagraniczne albo odwrotnie. Trwa to około dwóch godzin. Liczba celników przypadających na jeden wagon została ustanowiona w taki sposób, aby w ciągu tych dwóch godzin mogli oni bez pośpiechu zrobić wszystko to, co w życiu najważniejsze: popracować, zarobić i zabawić się.

Celnik, żeby awansować, musi spełnić dwa warunki. Musi odpowiednio zapłacić przełożonym i musi nałapać odpowiednią pulę przemytników, którymi, w świetle przepisów, są wszyscy pasażerowie wszystkich pociągów. Konieczność spełnienia tych dwóch warunków jest doskonale znana rosyjskim kupcom-podróżnikom i ona właśnie stanowi źródło ich niepokoju. Zasiewa strach, niepewność i jest nieobliczalna. Nigdy nie wiadomo, czy celnik, na którego trafisz, już zapłacił i musi jeszcze trochę nałapać, czy też już nałapał tyle, ile się należy, ale musi jeszcze zarobić.

Słuszne byłoby oczywiście spostrzeżenie, że obydwu tych rzeczy mógłby on z powodzeniem dokonać skrupulatnie kontrolując jeden tylko pociąg. Teoretycznie to święta prawda. Ale celnik musi się również wykazać myśleniem długofalowym. Dokładnie tak, jak myśliwy: cóż z tego, że za jednym zamachem wybiję całe stado, skoro później nie będzie na co polować. A jak nie ma zwierzyny, to i myśliwi przestają być potrzebni. Słowem, lepiej zarobić rzadziej, ale zarobić dobrze i na pewno. Taktyka działania drugiej strony, czyli pasażerów, musi więc uwzględniać przede wszystkim aspekty psychologiczne. Zaczyna się od parcelacji bagaży. Najbardziej przydatnym na tym etapie byłby scenograf albo dekorator wnętrz, ale, niestety, zawody te trafiają się wśród pasażerów dość rzadko. W każdym razie chodzi o to, żeby walizy, torby i paki ułożyć w taki sposób, aby sprawiały wrażenie, że jest ich dużo mniej niż w rzeczywistości. Co innego bowiem zawałony tobołami przedział, a co innego tu dwie walizeczki, a tam dwie paczuski.

Przy okazji prowadzone są rozmowy o ewentualnej zmianie ich nominalnego właściciela. Jeśli ktoś ma osiem toreb, a ktoś inny szesnaście, to lepiej będzie wyglądało na granicy, gdy będą mieć ich po dwanaście. Są to trudne negocjacje, bo z natury rzeczy muszą prowadzić do pogorszenia sytuacji jednych i polepszenia sytuacji drugich. Zgoda na niekorzystny dla jednych podział musi więc być przez drugich odpowiednio opłacony, a zawartość przejętych toreb dokładnie sprawdzona pod kątem tolerancji celników.

Następny etap to wymyślanie i poszukiwanie schowków na niewielki objętościowo, ale bardzo cenny towar. Najbardziej popularną skrytką jest kobieta w długiej spódnicy i obszernym swetrze.

Zawiniątka, które jest ona w stanie przylepić sobie plastrem bezpośrednio do ciała, mogą zwiększyć jej wagę nawet o pięćdziesiąt procent. Celnicy doskonale znają ten sposób, ale niezbyt często tę wiedzę wykorzystują. Faktem jest, że obowiązuje humanitarny przepis, według którego kontrolę osobistą kobiecie może zrobić tylko kobieta, a większość celników to mężczyźni. Nie chodzi jednak o to, że celnik nie może tego przepisu złamać. Może, jak najbardziej. Każdy to wie i rozumie. Rzecz w tym, że za tego rodzaju skrytki służą przeważnie kobiety stare, tłuste i brzydkie.

Wymyślanie sposobów przechytrzenia celnika było kiedyś najbardziej cenioną wśród podróżnych umiejętnością, a o genialnych sztuczkach krążyły legendy. Długo mówiono na przykład o Gruzinie, który poprosił swą współpasażerkę, aby wsunęła na palce pięć jego złotych pierścionków i nałożyła rękawiczki. Kiedy wszedł celnik, Gruzin natychmiast ją za-denuncjował. Wróciła po kontroli znerwicowana i bez pierścionków. Kiedy minęli granicę, on wyjął zza pazuchy woreczek, w którym było sto takich pierścionków, i poprosił, aby wybrała sobie dziesięć.

Dzisiaj są to już tylko legendy. Trudno ukryć coś w pociągu, skoro celnicy, tak jak żołnierze karabiny, rozkładają i składają na kursach wagony. Znają więc je jak własną kieszeń i jeśli komuś uda się schować i przewieźć przez granicę carski brylant, to tylko dlatego, że celnikom nie chciało się go z jakichś względów szukać.

Wyjątkiem był też mój znajomy Rosjanin, który na samym początku podróży naśmiecił w swoim przedziale, po czym udał się do kuszetkowego i obrugawszy go za nieporządku, pożyczył szczotkę z długim trzonkiem. Ostentacyjnie pozamiatał wszystko na szufelkę, wrócił do kuszetkowego i opróżnił zawartość do jego kubła. Kuszetkowy, człowiek przezorny, sprawdził, cóż to za śmieci mu wrzucono, ale nic podejrzanego nie znalazł, więc uznał mojego znajomego za dziwaka. A gdyby przyjrzał się dokładniej swojej szczotce, to musiałby zauważyć, że trzonek, choć bardzo podobny, nie był już ten sam, a do tego wypełniony był rulonami dolarów. Ma się rozumieć, że po przekroczeniu granicy mój znajomy znów naśmiecił, a że był człowiekiem kulturalnym, więc poszedł po szczotkę, żeby samemu po sobie pozamiatać.

W swoich przygotowaniach do granicznego spotkania pasażerowie pociągów, zwłaszcza ci mniej doświadczeni, skłonni są przypisywać celnikom cechy nadprzyrodzone. Dotyczy to głównie

wszechwiedzy i wszechmocy. Strach przed tymi domniemanymi przymiotami celników paraliżuje nieraz Bogu ducha winnych ludzi do tego stopnia, że mając nawet przy sobie tylko rzeczy osobiste, bezwiednie wcielają się w rolę podejrzanych. Tymczasem celnicy nie są ani wszechmocni, ani wszechwiedzący i tak samo jak zwykli ludzie, potrafią się czasami czegoś bać. A ponieważ sami siebie uważają za wytrawnych humanistów, więc boją się przede wszystkim urządzeń elektrycznych. Pewien mój znajomy Rosjanin, Anatol, który zajmował się międzynarodowym handlem różnościami, zauważył, że pod każdym niemal wagonem przyczepiona jest do podwozia skrzynka o rozmiarach dwóch dużych neseserów. Na skrzynkach tych wymalowano znak trupiej czaszki i napis „Zasilanie pomocnicze”, czy też „awaryjne”. Wiedziony ciekawością, Anatol wybrał się kiedyś na bocznice, żeby sprawdzić, co takiego kryje się w tych skrzynkach. Sprawdził jedną, sprawdził drugą, potem trzecią i czwartą i okazało się, że wszystkie są zupełnie puste. Znaczyło to, że albo opróżniono je już w fabryce, albo trochę później, co zresztą na jedno wychodzi. Anatol zapoznał się więc tylko z mechanizmem otwierania i zamykania i, po przemyśleniu sprawy, postanowił przewozić w tych skrzynkach część swoich różności.

Przed każdym wyjazdem zwoływał swoich kolegów, którzy inscenizowali przy wagonie tłok, a on w tym czasie wślizgiwał się w szparę między peronem a pociągiem i dokonywał załadunku. Ani razu mu się nie zdarzyło, żeby natrafił w skrzynce na jakieś urządzenie, i ani razu nie zajrzeli do niej celnicy. Przechodzili obok niej i dobrze ją widzieli, ale zajrzeć nie zaglądali, bo to niby oczywiste, że są w niej tylko jakieś zwoje drutów i magnesy. Wiadomo jednak, że tak naprawdę to chętnie by ją rozkręcili, ale najzwyczajniej w świecie bali się, że ich przy tym prąd kopnie.

Któregoś dnia spotkałem Anatola na Dworcu Białoruskim w Moskwie. Wybierał się do Polski i miał ze sobą chyba ze dwieście lornetek teatralnych. Nie spytałem go nawet, czy ma tyłu znajomych bywalców opery, bo to przecież tajemnica handlowa. Gawędząc o ogólnym bałaganie, poszliśmy razem na peron, gdyż Warszawa była również moim celem podróży. Chwilę później pojawili się na peronie jego znajomi od sztucznego tłoku, choć wydawało się, że całkiem niepotrzebnie, ponieważ wystarczający był tłok naturalny.

Gdy podstawiono pociąg i tłum ruszył do wejść, Anatol zaklął siarczyście, bo zorientował się, że przyczepiona do podwozia skrzynka znajduje się tym razem nie od strony peronu, ale od strony innych torów. Przechodzenie przez wagon albo pod wagonem nie miało najmniejszego sensu, gdyż operacja załadunkowa byłaby aż nadto dla wszystkich widoczna. Anatol stanął bezradnie i nie bardzo wiedział, co począć.

No cóż - pomyślałem - jak jest problem, to trzeba pomóc.

Poszedłem do budki zawiadowcy stacji, która znajdowała się nad torami, na takiej wysokości, żeby można było ruchami pociągów przejrzeć zawiadywać, a przy okazji je obserwować. Widok jak z lotu ptaka - można powiedzieć. Zastałem w budce dwóch osobników w kolejarskich mundurach.

- Słuchajcie - mówię - trzeba przestawić pociąg do Polski na drugą stronę peronu.

- A na cóż wam to potrzebne? - pyta jeden z nich.

- W szczególności nie będę wnikał - odpowiadam. - Niech wam wystarczy, że sprawa jest bardzo ważna.

- A wiecie, że może być to kłopotliwe?

- Wiem - przytakuję i sięgam do kieszeni po portfel.

Bez żadnych targów przyjęli pięćdziesiąt dolarów. Wyglądało nawet na to, że pieniądze mało ich interesują; chcieli raczej pokazać, że z pociągami to oni mogą zrobić, co chcą.

Gdy powiadomiony maszynista z wolna ruszył, na peronie powstała panika, bo do planowego odjazdu było jeszcze pół godziny. Jedni zaczęli do pociągu wskakiwać, drudzy z niego wyskakiwać, inni biegali wzdłuż wagonów, a jeszcze inni wrzucali torby przez okna. Widząc, co się dzieje, zawiadowcy powiedzieli przez megafon, żeby się uspokoić, bo pociąg zaraz wróci. Nikt nie dał jednak temu wiary, więc musieli swój komunikat powtórzyć tonem bardziej oficjalnym i dopiero wtedy sytuacja nieco się unormowała.

Gdy pociąg wrócił, Anatol, osłonięty przez swoich kolegów, zapakował do skrzynki swoje lornetki i w podzięcie zaprosił mnie do swego przedziału na małą wódkę.

Na granicy okazało się jednak, że nie bardzo było za co dziękować. Pierwsze bowiem, co uczynili celnicy, to zabrali się do rozkręcania skrzynki pod wagonem Anatola. Wynikało z tego, że mieli bardzo

dokładne informacje. Nie sądzę jednak, że ich informatorami byli zawiadowcy z moskiewskiego dworca. Musiała to być robota tych, którzy wyłącznie do tego celu są zatrudniani.

Wyszukiwanie takich ludzi w pociągu zaczyna się dopiero po tym, jak zostaną już załatwione wszelkie sprawy logistyczne. Następuje wtedy chwila odprężenia, po której, generalnie rzecz biorąc, zmienia się sposób spoglądania na współpasażerów z przyjaznego na zdradziecki. Typuje się więc nie tylko potencjalnych donosicieli, ale również tych, którzy mogą stać się kozłami ofiarnymi rzuconymi celnikom na pożarcie. Dobrze, jeśli w wagonie jest kilku „czarnych”, bo z pewnością zostaną dokładnie sprawdzeni, co zajmie sporo czasu z tych dwóch godzin. Dobrze też, jeśli znajdzie się ktoś, kto poszedł na całego i ma ze sobą trzydzieści wielkich szalowych toreb typu „przemysłowca”. Jeżeli natomiast trafi się jakaś podpita i beczelna grupa, to dobrze i niedobrze. Dobrze, bo celnicy będą musieli ją uspokajać, ale niedobrze, bo może ich zdenerwować. Najlepiej, jeśli są młode i ładne kobiety, które chętnie poczują się wywyższone zainteresowaniem celnika.

Młodych i ładnych kobiet wyraźnie zaczęło w pociągach przybywać od czasu, gdy kupcy-podróżnicy zaczęli się łączyć w samorządne kooperatywy eksportowo-importowe. Kto inny organizował już w nich towar, kto inny zajmował się finansami, a jeszcze kto inny badaniem rynku. Jeśli chodzi o przewóz towaru przez granicę, to wybór padł na młode i ładne kobiety, gdyż z doświadczenia wynikało, że w razie trudności z celnikami mężczyźni muszą dać pieniądze, a młode kobiety mogą dać co innego.

Wskoczyłem kiedyś w Moskwie do pociągu jadącego do Polski dosłownie już w biegu. Nie miałem więc, jak zwykle, biletu i jak zwykle spotkałem znajomego kuszetkowego, tym razem Igora.

- Nie ma problemu - rzekł Igor, który zawsze wyglądał na lekko przestraszonego. - Przedział służbowy wolny, możesz się rozgościć.

Zapłaciłem mu równowartość biletu, więc obaj zadowoleni, usiedliśmy u niego przy herbatce. Nie minął kwadrans, gdy w drzwiach stanęła niemłoda już kobieta, a za nią dziewczyna ubrana na sportowo.

- Och, izwinitie minutku - rzekła jakby zaskoczona i obie się wycofały.

Spojrzeliliśmy na siebie z Igorem, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi, ale rzeczywiście po minutce zobaczyliśmy ją ponownie. Tym razem z dwoma dziewczynami.

- Może byśmy się poznali - zagaiła z uśmiechem i wyjęła z rękawa swetra miło wyglądającą butelkę. - To moje koszykarki - wskazała na dziewczyny. - Mam ich jeszcze pięć.

Igor, człowiek raczej nieśmiały, poczuł się tym zagajeniem trochę skrępowany, więc odrzekł, że ma jeszcze trochę papierkowej roboty, po czym spojrzał na mnie.

- No tak - wtrąciła szefowa grupy. - Jeden od roboty, a drugi od patrzenia.

Jako osoba doświadczona, uznała więc od razu, że jestem tu służbowo. Nie wyprowadzałem jej z błędu, a nawet, dla żartu, zacząłem się z odpowiednią wyniosłością zachowywać. Pochwaliłem urodę dziewcząt, niezbyt przychylnie wyraziłem się o marce wódki, którą nam proponowały, i dałem do zrozumienia, że spotkamy się pod wieczór. Poszły więc sobie może nieco urażone, ale nadziei ich przecież nie pozbawiłem.

Chwilę później do naszego wagonu wkroczył odświętnie umundurowany człowiek z kobietą przy boku. Wysokiej rangi celnik z żoną. Zajrzał do Igora i zażądał otwarcia przedziału służbowego. Na Igora musiało w tym momencie spłynąć błogie uczucie ulgi, ponieważ byłem bez bagaży i przedział służbowy pozostawał jak nietknięty.

Celnik ów zjawił się tak późno, gdyż przypuszczalnie wszedł na dworcu do pierwszego wagonu i dojdzie do właściwego zajęto mu pół godziny. Jednak nie z powodu ścisku - bo akurat go nie było, był zwyczajny tłok - ale dlatego, że celnik tej rangi lubi wspominać czasy młodości. Zajrzy więc sobie do wagonu restauracyjnego, pogawędzi z konduktorem, skinie dobrodusznemu kuszetkowemu. Wszyscy okazują mu należyty szacunek, którego w takim natężeniu nie doświadcza przecież na co dzień, gdy siedzi w swoim biurze. Trudno się dziwić, że przeciąga te przyjemne chwile.

Celnik z żoną zniknęli w swym przedziale, a ja zostałem na korytarzu z perspektywą spędzenia całej podróży na stojąco. Igor mógł mnie oczywiście od czasu do czasu zaprosić na herbatkę, ale o żadnym podnajmowaniu jego przedziału nie mogło być mowy. Lubił on bowiem swoją pracę i bardzo nie chciałby jej stracić.

Po dwóch godzinach otworzyły się sąsiednie drzwi. Wysokiej rangi celnik był porozpinany, odprężony i zadowolony. Zaszedł bezceremonialnie do kuszetkowego, klepnął go przyjacielsko po plecach, postawił na stole pół litra i zapytał, co słyszeć. Kiedy dowiedział się o wizycie koszykarek, spojrzał na mnie i powiedział zachęcająco:

- No, to pokaż, żeś muzyk, ruchnij ze dwie.

- No dobrze - odrzekłem - tylko gdzie?

- Jak to gdzie? Tutaj.

Gdy skończyło się pół litra celnika, nie wypadało się nie zrewanżować, więc postawiłem swoje pół litra. Gdy i ono się skończyło, zachęcany przez celnika Igor wygrzebał skądś swoje pół litra. Co pół godziny wpadała żona celnika - też celniczka, ale ideowa - i próbowała odciągnąć swego męża od stołu. Rosyjskie butelki mają jednak to do siebie, że nie są zakręcane, ale kapslowane. Rozpoczętą butelkę trudno jest zatkać tak, żeby się z niej potem nie rozlewało, zwłaszcza w chybotającym się pociągu. Trzeba więc wypić do końca.

Pod wieczór sytuacja przedstawiała się następująco: Igor siedział skołowany, bo nie był pewien, czy celnikowi rano coś się nie odwidzi. Celnik był wściekły, bo w końcu musiał ulec żonie. Ja byłem zły, bo nie miałem gdzie spać. A koszykarki stały gdzieś tam w korytarzu obrażone, że nikt ich nie chce. Cóż więc mogłem zrobić? Przeszedłem się w ich stronę. Jedna z nich zastąpiła mi drogę wysuniętą spod szlafroka piękną, długą nogą.

- A ty kuda, malczuk? - zagadnęła zalotnie.

W zawalonym tobołami przedziale czekał stół zastawiony jak na przyjęcie weselne. Przy stole dwie równie długonogie i nie w pełni odziane dziewczyny.

- No to od której zaczynamy? - zapytałem po pierwszym kieliszku, mając na myśli różnorodne kanapki.

- Od Nataszki - odrzekła ta najbardziej wygadana. Kiedy rano do wagonu weszli celnicy, nasz wysokiej rangi

towarzysz, siedząc na herbatce u kuszetkowego, odebrał wszelkie należne mu honory, kazał spocząć i zakomunikował, że w naszym wagonie wszystko w porządku. Celnicy przeszli elegancko korytarzem, tu i ówdzie ukłonili się na dzień dobry i szybko się ulotnili.

- Miłe były z was chłopaki - powiedział po chwili nasz celnik i również się ulotnił, bo granica była celem jego podróży.

Gdy tylko wjechaliliśmy do Polski, przy szła do mnie delegacja koszykarek z szefową na czele. Radośnie mi dziękując, nie chciały nawet słyszeć, że nie przyjmę żadnego prezentu. Były zachwycone swoim wyróżnieniem, bo doskonale widziały przez okna, jak z innych wagonów celnicy wynosili towary. Tam torbę, gdzie indziej dwie walizy; widziały żelazka, wiertarki i odkurzacze. Na peronie zaroilo się od ludzi, którzy do końca próbowali targować się o swoje. Słyszały o płaconych sumach i poniesionych stratach. A one, stojąc w oknach, przyglądały się temu niczym pasażerki wyższej kategorii. Nie wiedząc o wysokiej rangi celniku, przekonane były, że to wszystko moja zasługa. Tym samym musiały dojść do wniosku, że ich taktyka zwabienia mnie do przedziału okazała się słuszna, poniesione koszty niezbyt wysokie, a w zasadzie całkiem przyjemne.

Wypada jednakże zaznaczyć, że gdyby nie te wszystkie zbiegi okoliczności, to los moich niby-koszykarek mógł się potoczyć zupełnie inaczej. W normalnych bowiem warunkach obecność w wagonie wysokiej rangi celnika nie wróży nic dobrego. Przedział służbowy jest zresztą pod stałą obserwacją pasażerów. Jeśli tylko pojawi się w nim jakaś osobistość, komórka wywiadowcza natychmiast stara się ustalić, z jakiej jest branży, jakie zajmuje stanowisko i dokąd jedzie. I najgorszy jest właśnie prominentny celnik. Z całą pewnością można wtedy przyjąć, że jego graniczni podwładni wykażą się skrupulatnością i oschłością. Nie będą reagować na żarty ani też wdawać się w zbędne dyskusje. Nawet znajomy celnik będzie się zachowywał tak, jakby pierwszy raz widział cię na oczy. A już szczególnym okrucieństwem wykażą się ci, którzy właśnie liczą na awans.

Można by więc zasadnie przypuszczać, że najlepszy byłby celnik tuż po awansie. Wypoczęty, zadowolony i czas go nie nagli. Może się uśmiechnąć, porozmawiać i w ogóle zachowywać się jak człowiek. Taki obrazek byłby jednak zbyt piękny. Odprężony i zadowolony z awansu celnik jest bowiem równie, a nawet bardziej niebezpieczny, bo zaczyna się bawić.

Wsiadłem kiedyś w Mińsku białoruskim do pociągu relacji Moskwa - Paryż, który, jak wiadomo,

przejeżdża przez Warszawę. Przy wejściu natknąłem się, bo jakżeby inaczej, na znajomego kuszetkowego, Saszę, który zaprosił mnie do swego przedziału na pogawędkę. Był to trzydziestoletni spokojny i miły człowiek.

Zasiedliśmy przy herbacie i Sasza zwierzył mi się, że jest zakochany. Gdy spytałem, gdzie mieszka wybranka, bo to przecież z natury rzeczy musi być dla kuszetkowego ważne, odpowiedział, że jeszcze nie wie, gdyż chodzi o pasażerkę, która jedzie w jego własnym wagonie. Zdziwiłem się, że tak prędko zapalał miłością, bo raczej nie był typem narwańca. Uspokoił mnie, mówiąc, że jadą już dobrych kilka godzin i jest to wystarczający czas, aby nabrać pewności co do swych uczuć. Rozmawiał już z nią i znalazł w jej oczach zrozumienie. Zachowywała się co prawda z pewną rezerwą, ale to pewnie wynikało ze zdenerwowania spowodowanego brakiem jakiegoś stempelka w papierach. Zapewnił ją więc, że w razie trudności na granicy może się na niego powołać. To ją uspokoiło. Dziewczyna, jak wkrótce się przekonałem, była rzeczywiście ładna. Była skrzypaczką i jechała do Polski na kilkumiesięczny kontrakt.

W Brześciu do naszego wagonu wsiadło dwóch rubasznym celników i, jak to w zwyczaju, zaszli najpierw do kuszetkowego po wstępne informacje:

- Czarni są?

- Kilku się znajdzie - odpowiada Sasza, który osobiście też nie przepada za Kaukaźcami i innymi południowymi nacjami.

- Dużo wódki?

- Jak zwykle.

- A kobiety?

- Cudowne - podtrzymuje rubaszną atmosferę Sasza, bo sam ma jakieś pakunki i chciałby uniknąć zbędnych pytań.

Celnicy rozeszli się po przedziałach, a Sasza zabrał się do przygotowywania zakąsek do tradycyjnego poczęstunku za pomyślne zakończenie kontroli granicznej.

Celnicy wrócili po godzinie. Usiedli, wypili i zakąsili.

- No i jak tam dzisiaj? - pyta Sasza.

- Oj, ta moja pięknie pracowała, charoszaja diawoczka - odpowiada jeden z nich i przeciąga się rozwlekle. - Jak ją tylko zobaczyłem, od razu wiedziałem, że musi być moja. Pytam ją: a po cóż to do Polski? A ona mówi, że skrzypaczka, że jedzie na kontrakt. No to się pytam: a gdzie skrzypce? A ona nie ma skrzypiec. Oj, coś tu chyba nie gra, mówię i nakazuję jej współtowarzyszom opuszczenie przedziału. Biorę jej papiery i siadam wygodnie. Patrząc w te papiery, chrząkam, patrzę na nią i nic nie mówię. A ona zaraz przysiadła się do mnie i rozpina mi rozporek. Patrząc, co ona robi, a ona mi robi dobrze. No więc siedzę dalej i jej nie przeszkadzam. Oj, długo pracowała, charoszaja artystka.

Sasza poczerwieniał z wewnętrznego wstydu, ale napił się jeszcze z celnikami kilka kolejek. Nie miał do nich żadnych pretensji, bo przecież oni są bez winy. To jest ich naturalne prawo i nie ma co filozofować. Miał pretensje tylko do niej. Nie chodziło mu jednak o to, że okazała się dziewczyną nad wyraz bezpruderyjną. Bardziej ubodło go to, że uznała pewnie za śmieszne powoływanie się na kuszetkowego.

- Przecież wszystko dałoby się jakoś załatwić, naprawdę - biadał Sasza, ale odkochać się musiał, bo zbyt czyste było jego uczucie.

Prawdę mówiąc, mało który kupiec-podróżnik, ten anonimowy zdobywca wolności gospodarczej, narzeka na panujące w Rosji kolejowe zwyczaje. Jeśli już myśli o zmianach, to raczej o tym, żeby szybko stać się bardzo bogatym i od wożenia towarów pociągami mieć swoich ludzi. Zanim jednak do tego dojdzie, czeka go etap pośredni, w którym za mało ma jeszcze pieniędzy, żeby przestać zawracać sobie głowę transportem, a za dużo ma już towarów, żeby je przewozić pociągami pasażerskimi. Musi się wtedy osobiście przesiąść na pociągi towarowe.

Nie byłoby pewnie takiej potrzeby, gdyby rosyjskie pociągi towarowe zatrzymywały się tylko na stacjach. Wtedy, być może, wystarczyłby stacyjny oddział ochronny opłacany przez merostwo. Ale pociągi towarowe zatrzymują się w miejscach nieprzewidywalnych i opustoszałych. W szczerym polu i w lesie, dziesięć kilometrów przed stacją i dwadzieścia za stacją. I w najbardziej nawet zdziczałych okolicach znajdzie się człowiek, może dwóch, a może nawet cała grupa, która wyposażona w

odpowiednie narzędzie, pragnie zajrzeć do jakiegoś wagonu z ciekawości. Stojący na odludziu pociąg to przecież dla normalnego człowieka zagadka. Może to sezam, może wielka tajemnica? Stoi i kusi. Zresztą, nie musi nawet stać. Może jechać te dwadzieścia albo trzydzieści kilometrów na godzinę. Wskoczyć przy takiej prędkości to żaden problem. Ważne, czy towar, na który się wtedy trafi, będzie wyrzucalny. Wyrzucony bowiem z pociągu telewizor może przestać być telewizorem, ale worek makaronu pozostanie workiem makaronu.

Żeby zapobiec tego typu zdarzeniom, trzeba się zdecydować na konwój osobisty. Jest to w sumie rozwiązanie dość tanie, bo nie płacisz przecież za bilet. Dogadujesz się z maszynistą i jedziesz jako towar. Nie jest to jazda wygodna, bo przecież nie dla ludzi konstruowano wagony towarowe. Ale dzięki temu możesz bezpośrednio wpływać na przebieg podróży, co jest o tyle ważne, że nawet jeśli wiesz, kiedy pociąg z twoim towarem wyrusza, to nikt ci nie określi, kiedy dotrze do celu. Wydawać się to może dziwne, bo sieć dróg żelaznych, zwłaszcza gdy spojrzysz na mapę, nie jest zbyt skomplikowana. Skomplikowana jest natomiast hierarchia ważności. Są bowiem pociągi i są priorytety. Może się na twojej trasie pojawić pociąg ważniejszy, nagły albo niespodziewany. Jest dyrekcja najwyższa, są szefowie okręgowi i zawiadowcy na stacjach i stacyjkach. I wszyscy oni mają swoje interesy, które niekoniecznie muszą być zgodne z twoimi.

Jeśli więc pojedziesz osobiście, a maszyniści cię polubią, to może choć trochę skrócą czas postoju na jakiejś bocznicy, nie dadzą się zwieść podstępny sugestiom semaforów i nie uwierzą pierwszemu lepszemu zawiadowcy, że na trasie spadł wielki śnieg, chwycił mróz i trzeba czekać.

I po jednej takiej podróży zatęsknisz za byle jakim pociągiem pasażerskim. Ale cóż, trzeba się na coś zdecydować: albo chcesz wygodnie jeździć, albo chcesz zostać bogatym człowiekiem.

Interes drewniany

Pewnego zimowego poranka w moim moskiewskim mieszkaniu zadzwonił telefon. Był to Andrzej, kolega z lat studenckich. Nie słyszałem go i nie widziałem wiele lat, ale pamiętałem go dobrze, gdyż obaj udzielaliśmy się w tamtych czasach na odcinku kulturalnym. Gdy organizowałem kiedyś kolejny „pociąg przyjaźni” z najznakomitszymi polskimi zespołami i piosenkarzami, którzy zresztą trasy koncertowe po Związku Radzieckim bardzo sobie cenili i nieustannie o nie zabiegali, Andrzej poprosił, żeby go zabrać ze sobą, bo ma wesele kogoś z rodziny mieszkającej na Białorusi. Trzy razy starał się o wizę indywidualną i trzy razy mu odmawiano. Rodzina trzy razy przekładała termin wesela, aż w końcu się zdenerwowała i ustaliła termin czwarty, ostateczny. Cóż więc mogłem zrobić? Mianowałem go koordynatorem do spraw wyposażenia w gitary i wpisałem na listę wyjeżdżających. W Mińsku zaaranżowaliśmy na peronie sztuczny tłok, dzięki któremu Andrzej wymknął się nie zauważony przez dworcowe służby, wsiadł w taksówkę i pojechał gdzieś w Białoruś. Po dwóch tygodniach, równie nie zauważony, wskoczył do pociągu z powrotem.

Tym razem dzwonił z Holandii i przedstawił się jako koordynator do spraw mocowania ładunków w jednym z tamtejszych portów. Potrzebował trochę drzewa, a ściślej rzecz biorąc, metrowych i dwumetrowych bali z dowolnego drzewa, niekoniecznie wysuszonych, o różnej, określonej średnicy, ale z dużą tolerancją. Na początek dziesięć wagonów. Słowem, czysto kolonialne zamówienie surowcowe.

Nigdy drzewem nie handlowałem i zrazu chciałem odmówić współpracy, ale zerknąłem akurat na mapę Rosji, a tam tylko lasy, lasy i lasy. Jakież to problem dla bezkresnej tajgi te dziesięć małych wagoników - pomyślałem. Żaden problem. Obiecałem więc, że się rozejrzę.

Jeszcze tego samego dnia, wieczorem, goszcząca u mnie żona kolegi przyniósł mi, że ma brata Wasyla, który mieszka w tajdze, więc, naturalnie, musi mieć z drzewem do czynienia. Traf chciał, że brat właśnie bawił w Moskwie. Zawezwany przez siostrę stał się natychmiast.

Był to trzydziestoletni, potężny, wąsaty chłop, odziany w długi kożuch. Można powiedzieć - Sybirak jak z obrazka. Tubalnym głosem potwierdził istnienie odpowiednich drzew i tartaku w swojej okolicy. Nie przewidywał żadnych problemów, a całą ewentualną transakcję uznał za rutynowy drobiazg. Aby ostatecznie rozwiązać moje obawy, zaproponował, że gotów jest płacić dwadzieścia procent wartości

kontraktu za każdy dzień opóźnienia. Wynikało z tego, że jeśli spóźni się o pięć dni, to da mi to drzewo za darmo. Taki był pewien swego, że nawet nie wypadało pytać o szczegóły własnościowe i biurokratyczne. Ma być drzewo, to będzie drzewo i koniec dyskusji.

Po tych uzgodnieniach Wasyl poprosił o spisanie zamówienia i dwa tysiące dolarów zaliczki, i obie te prośby od ręki spełniłem. Przed północą mogłem zadzwonić do Holandii z zawiadomieniem, że przesyłka będzie gotowa za dwadzieścia osiem dni. Usłyszałem wyrazy głębokiego podziwu i obietnicę szybkiego przesłania zaliczki. Tym razem dla mnie. I Kilka dni później dowiedziałem się od sąsiada, który kiedyś był stolarzem, że porządny handlarz drzewem powinien od razu odwiedzić swój nowy tartak, aby dopilnować produkcji i uczulić na zachowywanie zamówionych wymiarów. Jeśli tego nie zrobi, będzie tylko anonimowym, dalekim odbiorcą, dla którego robi się przecież byle co i byle jak. Przemowa sąsiada była tak sugestywna, że natychmiast postanowiłem zastosować się do wszelkich niepisanych reguł działania wytrawnych drzewiarzy. Tym bardziej że bezkresność tajgi wróżyła niezliczone kontrakty.

Miejscowość P. położona była tuż za Uralem, tam gdzie na dobre zaczyna się już tajga. Podróż zajęła mi dwa dni, co można uznać za tempo ekspresowe. Zgodnie z opowieścią Wasyla było to małe, kilkunastotysięczne, przysypane śniegiem miasteczko. W centralnym punkcie stał jedyny hotelik z knajpą na dole, a właściwie jedyna knajpa z hotelikiem na górze. Rozgościłem się w swoim pokoju i zszedłem na dół rozeznac się w sytuacji.

W niewielkiej, wychłodzonej sali siedzieli wyłącznie wąsaci i brodaci faceci w futrzanych czapach i kozuchach. Wypisz, wymaluj - sami drwale. Pili, palili i pojadali kliukwy, czyli syberyjskie jagody o niespotykanej ilości witamin. Gdy zapytałem o Wasyla, przecząco pokiwali głowami. Gdy zapytałem o tartak, odrzekli, rozkładając ramiona:

- Skolko ugodno.

Zrozumiałem w tym momencie, że przyłożyłem do Syberii niewłaściwą miarę. Miarę mieszkańca zwykłego kraju, gdzie jadąc do prowincjonalnego miasteczka, nie trzeba mieć dokładnego adresu, bo każdy tam powie, że bank jest za rogiem, poczta przy rynku, a tartak tuż za miastem, przy szosie, po prawej stronie. Tymczasem sam zachowałem się jak głęboki prowincjusz, który przyjeżdża, powiedzmy, do Warszawy i pyta, gdzie tu kościół, bo mu spieszno na ślub kuzynki.

Nieco zmieszany poszedłem do recepcji i poprosiłem o połączenie z Moskwą, aby dowiedzieć się od siostry Wasyla choćby kilku znaków szczególnych jego tartaku: może nazwy, może numeru, chociażby kierunku. Recepcjonistka podniosła słuchawkę, porozmawiała chwilę i oznajmiła mi, że połączenie uzyskam za trzy dni. Poprosiłem więc o rozmowę pilną i błyskawiczną. Odpowiedziała, że ona właśnie taką miała na myśli, mówiąc o trzech dniach.

Poszedłem na pocztę, ale i tam terminy były trzydniowe.

-Jest jeszcze dalekosiężny automat na żetony, ale często przerywa rozmowy - dodała kobiecina zza lady.

- No to dajcie mi w takim razie cały woreczek - poprosiłem.

- Żetony sprzedaje się w kiosku, ale kiosk zamknięty, bo kioskarka na chorobowym - odparła zatroskana o zdrowie koleżanki.

Ponieważ żetony sprzedawano tylko w tym jednym kiosku, poprosiłem o adres kioskarki. Mieszkała na końcu miasteczka. Śniegu było po kolana, więc dotarłem do niej po godzinie. Odniosła się do mojej sprawy ze zrozumieniem i posłała ze mną syna z kluczami. Kupiłem cały woreczek żetonów i wróciłem na pocztę. Telefon był całkowicie głuchy. Żadnego sygnału.

Po dwóch dniach niecierpliwego oczekiwania, kojonego wódeczką z jednym, drugim i trzecim drwalem, uzyskałem wreszcie połączenie.

Siostra Wasyla była szczerze zdziwiona moim wyskokiem na Syberię, bo powinienem był spokojnie czekać w Moskwie na sygnał. Nie znała ani nazwy tartaku, ani numeru, ani kierunku, w którym należy go szukać. Może to być dwadzieścia pięć kilometrów od miasta, ale równie dobrze może być dwieście pięćdziesiąt...

Nic tu w takim razie po mnie - pomyślałem rozczarowany i udałem się na miejscowe lotnisko-klepisko. Szybko dogadałem się z pilotem jakiegoś samolociku i następnego dnia o świcie, lotem koszącym wierzchołki drzew, przeleciałem na drugą stronę Uralu, do Europy.

Kilka dni później siostra Wasyla zawiadomiła mnie, że jest właśnie po rozmowie z bratem i z tego, co słyszała, a słyszała słabo, powiedział, że skoro tak bardzo rni zależy, to on będzie na mnie czekał w rzezonym hoteliku za trzy dni, licząc od dzisiaj.

Rano, przed wyjazdem na lotnisko, odebrałem faks od Andrzeja, w którym informował mnie, że zgodnie z umową statek z Holandii, na którym zarezerwowane jest miejsce na moje drzewo, wypłynął już do Archangielska. Statek zawinie do portu tego i tego dnia, o tej i o tej godzinie. Pozdrowienia, koniec, kropka.

W pierwszym odruchu chciałem do niego zadzwonić i powiedzieć o niepewności sytuacji, o głupim Wasylu, który nie zostawił adresu, ale w końcu dałem spokój, bo doszedłem do wniosku, że jak na razie, to ja jestem głupi.

Kombinowana podróż do miasteczka P. zajęła mi tym razem dwa i pół dnia. Dotarłem do hotelu po południu, ale nikt na mnie nie czekał i nikt o mnie nie wypytywał. Pierwszy wieczór upłynął mi więc na katastroficznych rozmyślaniach, i

Wasył pojawił się następnego dnia w południe. Zajechał przed hotel rażąco czerwonym kamazem wywrotką. Kierowcę potraktował jak osobistego szofera, nakazując mu odpowiednio zaparkować i czekać. W długim, rozpiętym kożuchu i futrzanej czapie kroczył i przemawiał jak jakiś bojar albo kniaź. Widząc, że jestem zdenerwowany jego spóźnieniem, nie dał mi dojść do słowa, od razu wdając się w rozważania, co to właściwie znaczy „za trzy dni, licząc od dzisiaj”. Czy liczy się wtedy dzisiaj, czy zaczyna się liczyć od jutra.

Bardzo się jednak ucieszyłem, że go w końcu spotkałem, więc szybko mnie udobruchał i już zgodnie poszliśmy do knajpy. Powiedziałem mu na wstępie o zbliżającym się statku, ale nie wpłynęło to na niego zbyt deprymująco.

- Spokojnie, spokojnie - powtarzał. - W interesach nie należy się spieszyć.

Gdy już pojadł i popił, wyznał w końcu, że owszem, drzewo jest, ale nie ma jeszcze pisemnej zgody wojewody na wywóz.

- Uroczyście przysięgam - uprzedził natychmiast moje pytanie - że zanim zjesz jutro śniadanie, kwitek będzie gotowy.

Siedzieliśmy w knajpie do wieczora, gdyż Wasył czuł się zobowiązany opowiedzieć mi w detalach o urokach życia w tajdze. A że robił to barwnie i żywiołowo, więc było oczywiste, że to ja powinienem uregulować rachunek.

O dziesiątej rano zjadłem śniadanie, a Wasyla jak nie ma, tak nie ma. Chodzę, kręcę się i denerwuję. W końcu ktoś mi powiedział, że widział go, jak wieczorem wchodził do pokoju przy schodach.

Zastukałem - cisza. Nacisnąłem klamkę i wszedłem. Na łózkach spało dwóch brodaczy, a Wasył w środku, na podłodze, zagrzebany w kożuchach. Przetarł oczy i mówi do mnie z niejaką pretensją:

- Spokojnie, spokojnie, w interesach nie należy się spieszyć.

Wypytałem w recepcji o adres i sam ruszyłem do wojewody. A to łajdak! Ależ tuman! - złorzeczyłem pod nosem całą drogę, bo sytuacja zaczynała się robić niewesoła.

Sekretarka, w pierwszym odruchu, nie chciała mnie wpuścić do swego szefa pod żadnym pozorem, ale dowiedziawszy się, że jestem obcokrajowcem i sprawa ma charakter międzynarodowy, postanowiła zrobić wyjątek.

- A to łajdak! Ależ tuman! - zakrzyknął wojewoda, gdy mu opowiedziałem, w czym rzecz. - Ja go znam, on do mnie w ogóle nie przychodził, bo on dobrze wie, że ja mu żadnego zezwolenia nie dam.

Nie wypytywałem wojewody, za co konkretnie nie lubi Wasyla, bo nie chciałem, żeby rozmowa zeszała na tematy personalne. Być może nie uznawał żadnej konkurencji, wnet się bowiem uspokoił i zaczął mi rozsądnie odradzać współpracę z chaziainami z tajgi, bo to ludzie nieobliczalni. Zaraz też zaproponował własny układ: ty mi będziesz przysyłał z Holandii telewizory i papierosy, a w zamian dostaniesz tyle drzewa, ile tylko zapragniesz. Odrzekłem, że wszystko jest możliwe, ale teraz najważniejsza jest zgoda na moje dziesięć wagonów.

- Spokojnie, spokojnie - odparł wojewoda. - W interesach nie należy się spieszyć.

Wyposażoną w radiotelefon czarną wołgą pojechaliśmy razem do całkiem pobliskiego tartaku.

Wojewoda chciał się pochwalić pięknymi fińskimi maszynami, które mają drzewo na absolutnie wszystkie sposoby. Oprowadził mnie między sztaplami desek i równiutko poukładanymi balami,

zaznaczając co chwila, że w promieniu tysiąca kilometrów nie znajdę drugiego tartaku, w którym panowałby taki porządek. Gdy powiedziałem, że wszystko to wygląda jak na filmie amerykańskim, wojewoda, wyraźnie zadowolony, zarządził powrót do urzędu w celu przedyskutowania szczegółów. Kiedy już sekretarka została poinstruowana, że nikt nie może nam przeszkadzać, kiedy drzwi od gabinetu zostały zamknięte, a na stole konferencyjnym pojawiła się butelka i dwa kieliszki, wojewoda zapytał:

- No to jakie telewizory możesz mi zaproponować?

Lekko zaskoczony, odparłem, że wolałbym zacząć negocjacje od papierosów. Czułem się na tym gruncie pewniej, bo dużo wtedy paliłem.

Wróciłem do hotelu pod wieczór niepewnym może krokiem, ale z zezwoleniem w kieszeni. Na próżno jednak szukałem Wasyla. Zniknął. Przepadł. Uciekł w tajgę.

Rano, wbrew wszystkiemu, obudziłem się w bojowym nastroju i zaraz po śniadaniu pojechałem do tartaku, który zwiedzałem w towarzystwie wojewody. Pokazałem kierownikowi zezwolenie na wywóz, wspomniałem mimochodem, że płacę żywą, twardą gotówką, i dodałem, że wojewoda na pewno będzie wdzięczny, jeśli moje zamówienie zostanie potraktowane priorytetowo. Kierownik, bardzo sympatyczny człowiek, przejrzał specyfikację, którą sporządziłem kiedyś dla Wasyla, rozejrzał się po placu i stwierdził, że w zasadzie u niego w tartaku nie ma rzeczy niemożliwych. Wyliczył, co już ma, a co musi jeszcze poskracać, i wyszło mu, że za pięć dni wszystko będzie godowe.

- Nie zapomnijcie tylko przynieść mi zezwolenia na wycinkę od strażnika przyrody - powiedział, podając mi rękę.

- Jaką znowu wycinkę? - spytałem zaskoczony. - Do lasu się wybieracie?

- Skądże znowu - uspokoił mnie. - Wszystko, co trzeba, już mam. Ale tak to się u nas utarło, że najpierw się wycina, a potem idzie się po zezwolenie. Dzięki temu zawsze się je dostaje, bo przecież strażnik głupi nie jest i dobrze wie, że co się stało, to się nie odstanie.

Konserwatorem przyrody okazał się całkiem młody człowiek kawalerskiego stanu. Na imię było mu Lonia. Miał wyznaczone swoje osiem godzin urzędowania i niewiele do roboty, więc, co tu dużo gadać, nudziło mu się trochę. Widać było od razu, że na wizyty petentów czeka z utęsknieniem. Zanim więc zdążyłem zagłębić się w szczegóły mojej sprawy, na biurku pojawiła się pękata butelka i skromna zakąska. Chcąc mnie ośmielić i podkreślić równość między urzędnikiem a interesantem, Lonia poprosił mnie najpierw o radę w delikatnej sprawie.

Z jego obliczeń wynikało mianowicie, że chcąc utrzymać równowagę w przyrodzie, musi tej zimy odstrzelić dwadzieścia siedem niedźwiedzi. Dla niego byłby to smutny obowiązek, a można przecież znaleźć ludzi, dla których będzie to duża przyjemność i chętnie za nią zapłacą. Porównaliśmy nasze wyobrażenia w tym zakresie i wyszło nam, że średnio powinni zapłacić po dwieście dolarów od sztuki. Ja miałbym się zająć naborem zagranicznych myśliwych, a on zakwaterowaniem i szczegółami organizacyjnymi tu, na miejscu. Ich omawianie zajęło nam sporo czasu, toteż kwestię podziału zysków musieliśmy odłożyć do następnego spotkania, bo zajrzała do nas sprzątaczką, przypominając o zbliżającym się końcu urzędowania.

Lonia, przywrócony jej wizytą do rzeczywistości; zapytał wreszcie, ile mam tego drzewa. Odrzekłem, że dziesięć wagonów bali o różnych wymiarach, na co z wyrzutem w głosie upomniał mnie, że w lesie rosną drzewa, a nie bale o różnych wymiarach. Był jednak biegły w swym fachu i kilkunastoma stuknięciami obliczył na biurowym kalkulatorze, ile i jakich drzew musiało być wyciętych, żeby z nich wyszło dziesięć wagonów tych moich kłoców.

- Jakkolwiek by liczyć, wychodzi dwieście dolarów - podsumował, wręczając mi zezwolenie na wycinkę.

Następnego dnia udałem się na stację kolejową podyskutować o transporcie. Wizyta była nie zapowiedziana, więc naczelnik, zaskoczony, pozapinał szybko mundur i posprzątał ze stołu różne naczynia. Chcąc zyskać na czasie potrzebnym do prawidłowej oceny sytuacji, rozpoczął w tonie służbowym. Poinformował mnie, że powinienem się udać do Swierdłowa, bo tylko tamtejsza dyrekcja okręgowa podejmuje decyzje w sprawach nadzwyczajnych. On osobiście przyjmuje zlecenia z miesięcznym wyprzedzeniem, które zresztą też rozpatruje dyrekcja w Swierdłowsku.

Czułem po jego głosie, że może być niedobrze, ale pozwoliłem sobie zauważyć, że taka podróż sporo

kosztuje i lepiej byłoby wykorzystać te pieniądze inaczej.

- Ciężka sprawa - zasępił się naczelnik - ale wpadnijcie jutro, to coś pomyślimy.

Cały wieczór byłem jednak niespokojny, bo zdawałem sobie sprawę, że w tej krótkiej rozmowie brakowało fluidów, które wróżą powodzenie.

Rankiem następnego dnia naczelnik przyjął mnie w towarzystwie swego zastępcy do spraw przewozów towarowych. Już przy powitaniu zauważyłem zmianę tonu na bardziej ludzki, która to zmiana mogła wynikać z przeprowadzonego w mieście dochodzenia na temat mojej osoby albo też z samego usposobienia zastępcy.

- Widzicie - zaczął bez żadnych wstępów tenże zastępca. - Sprawa wygląda tak, że w Iżewsku jest pięć wolnych wagonów i można by je w zasadzie sprowadzić. Drugich pięciu musimy poszukać u nas, może się znajdą. To wszystko wymaga cholernie dużo roboty. A robota, jak wiecie, kosztuje. To po pierwsze. Po drugie, potrzebne jest trzysta kilogramów cukru. Może być w workach dziesięciokilogramowych.

Przyjąłem to twarde wyzwanie bez namysłu. Daliśmy sobie po dwa dni.

Wracając do hotelu, kupiłem od jakiegoś robotnika wysłużony waciak i filcową czapkę uszatkę.

Zjadłem obiad, przebrałem się i w tym naturalnym, wzbudzającym zaufanie stroju całe popołudnie chodziłem po mieście i wypytywałem o cukier. Nie mam oczywiście na myśli sklepów, lecz ludzi o zaradnym obliczu. Wszyscy jednakże przecząco kiwali głowami. Może tam - radzili - może gdzie indziej, ale były to rady wygłaszane bez przekonania, raczej na pocieszenie.

Olśniło mnie dopiero przy kolacji, gdy kelnerka podała mi herbatę, a herbata okazała się postudzona. Natychmiast udałem się do hotelowej kuchni i zagadnąłem w tej sprawie szefową. Nie mogła mi co prawda pomóc osobiście, bo zbyt skromne miała zapasy, ale za to opowiedziała mi o wiosce, która słynie z regularnych dostaw cukru.

- Mieszka tam ponoć babcia bardzo ważnej osobistości - pochwaliła się swą wiedzą szefowa i wyjąwszy z szuflady papier pakowy, naszkicowała mi plan dojazdu: jakieś osiemdziesiąt kilometrów w głąb tajgi.

Taksówkarza z wiekowej wołgi przekonałem do podróży przy pomocy pięćdziesięciu dolarów. Na wszelki wypadek pojechaliśmy najpierw do niego do domu po zapasowy kanister paliwa. Jego żona, dowiedziawszy się o naszych zamiarach, dołożyła nam jeszcze po ciepłym swetrze i przyszykowała po dwie kanapki.

Od kilku dni nie padał śnieg, więc leśna droga, choć wyboista, była całkiem przejezdna. Nie zdawałem sobie jednak przedtem sprawy, jak bardzo człowiek potrzebuje otwartej przestrzeni. Jechaliśmy w wąskim tunelu drzew niby krótkie dwie godziny, a już zacząłem sobie wyobrażać, że las może się nigdy nie skończyć.

Wioska, całkowicie drewniana, liczyła może tysiąc, może trochę więcej mieszkańców. Identyczne domki z bali, obwarowane równymi stosami drewna na opał. Dym z kominów i żadnego ruchu. - Sklep będzie tam, gdzie zobaczymy ludzi - stwierdził ze znawstwem taksówkarz.

Kiedy jednak ujrzelśmy kolejkę przed jedną z chałup, minął ją i zatrzymał się kilkadziesiąt metrów dalej. Poprosił, żebym poszedł sam, bo on już tu kiedyś był i woli na to nie patrzeć.

Przed zamkniętym sklepem stało może ze dwadzieścia osób. Pomarszczone staruszki i pomarszczeni starcy, wszyscy okutani w stare szmaty i wytarte kozuchy. Nie odpowiedzieli na moje przywitania najmniejszym nawet gestem czy słowem. Stali nieruchomo i patrzyli na mnie, jakbym niósł w rękę jakieś nieszczęście. Okropny był to wzrok.

Na podwórku za chałupą krzątała się sklepikarka. Usłyszawszy o cukrze, zapytała całkiem zwyczajnie, ile mi potrzeba i w jakich mieszkach, bo ma tylko dziesięciokilogramowe. Lepiej być nie mogło.

Poszedłem po taksówkarza, który znalazł jakąś boczną dróżkę i podjechał od strony podwórka. Załadowaliśmy do naszej wołgi dwadzieścia pięć worków -wszystkie, jakie były.

Wręczając sklepikarce zapłatę, zapytałem o ludzi przed sklepem. Wyjaśniła równie zwyczajnie, że przychodzą tu od trzech dni i czekają na cukier. Ale oni mogą kupić tylko cukier na kartki, którego ciągle nie ma. Cukier, który ja kupiłem, przeznaczony był dla odległej fabryki, z której ktoś miał po niego przyjechać, ale nie przyjechał, więc uznała właśnie, że trzeba coś z nim zrobić.

Gdy wyjeżdżaliśmy z podwórka, taksówkarz, nie patrząc nawet w stronę kolejki, powiedział jakby sam

do siebie:

-I tak dobrze wiedzą, co kupiliśmy.

Wróciwszy do miasta, od razu podjechaliśmy pod dom zastępcy naczelnika stacji. Zdziwił się bardzo, ale też nie ukrywał swojego zadowolenia. Pomógł nam przenieść worki do jakiejś komórki i zaprosił do domu na mały poczęstunek. Nalewając po kieliszku, przyznał z dumą, że jest Niemcem z pochodzenia, wobec czego mogę być w stu procentach pewien, że on również wypełni swoje zobowiązanie.

Gdy następnego dnia przybyłem na stację zgodnie z umową, punktualnie o dziewiątej rano, o aktualnym miejscu pobytu zastępcy naczelnika nikt nic nie wiedział. Zjawił się po godzinie i orzekł na wstępie, że musimy się rozliczać jak cywilizowani ludzie. A ponieważ ja dostarczyłem mu nie trzysta, ale dwieście pięćdziesiąt kilogramów cukru, to on, niestety, ma dla mnie tylko dziewięć wagonów. Pocieszył mnie jednak zaraz, że to świetne wagony i z pewnością uda się na nich upchnąć całe moje drzewo.

Mimo tego, drobnego przecież, feleru poczułem, że zbliżam się do upragnionego końca przedsięwzięcia. Już po chwili jednak okazało się, że jest to tylko chwilowe urojenie. Inkasując bowiem zaliczkę, naczelnik zapytał mnie z nie ukrywaną ciekawością, jak zamierzam zorganizować lokomotywę, bo my przecież umawialiśmy się tylko co do wagonów. Sprowadzony tym pytaniem na ziemię, nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć. Widząc to, naczelnik wyjaśnił mi z troską profesjonalisty, że na całym świecie lokomotywy załatwia się na górce rozrządowej.

Górka znajdowała się nieopodal, tuż za rzeczką, ale naczelnik odradził spacer na przełaj, bo lód nie był jeszcze zbyt wytrzymały. Wracając do taksówki, postanowiłem pojechać najpierw do hotelu, żeby się przebrać w waciak i czapkę uszatkę. Kierowca, który stał się już moim doradcą i oddanym kibicem, przekonał mnie jednak, że ten strój nie będzie miał wpływu na szczerść rozmowy ani na wysokość zapłaty, bo wszyscy w mieście dobrze już wiedzą, kim jestem i czym płacę. Naczelnik stacji - dowodził taksówkarz - spotkał się pewnie wieczorem z szefem górki rozrządowej i doszli po prostu do wniosku, że po co mam płacić jeden raz, skoro mogę zapłacić dwa razy. Lepiej więc będzie, jeśli dam spokój z waciakiem, a skoncentruję się na zakupie odpowiednich do rangi człowieka suwenirów.

Godzinę później, z wypełnioną torbą, wszedłem na wieżę rozrządową. Zastępca szefa usadowił mnie pod wielkim, ściennym, błyskającym światłokiem schematem linii kolejowych. Ponieważ obok widniał napis informujący, że schemat ten jest tajny, moje krzesło ustawione było w taki sposób, żebym siedział do niego tyłem. Nie zdążyłem jeszcze założyć nogi na nogę, a już usłyszałem, że szefa nie ma, że być może będzie za dwa dni i że absolutnie nic się w tym czasie nie da zrobić, bo tylko on decyduje o składzie i trasie pociągów.

- Takie są nasze wewnętrzne przepisy - podsumował swą krótką przemowę zastępca szefa, przygotowując mnie tym samym na wysoką opłatę.

Próbowałem jakoś rozładować tę służbową atmosferę, ale widać tak to już zostało w kierownictwie uzgodnione. Wstałem więc i sięgając po torbę, powiedziałem tylko z żalnością, że niepotrzebnie się nadźwigałem. Słyszając charakterystyczny brzęk, zastępca szefa ożywił się na moment, czego efektem było oświadczenie, że mogę się nie martwić, bo na pewno jakaś lokomotywa się znajdzie. Coś więc jednak w czasie tej wizyty osiągnąłem.

Przez dwa dni zwiedzałem szare i bure osiedla mieszkaniowe, a wieczorami bywałem zaczepiany przez hotelowe kelnerki. Sny miałem dziwnie spokojne, a w dzień rozmawiałem z przygodnymi znajomymi o większych i mniejszych interesach. Kupowałem też różne pamiątki, a wśród nich medal z wizerunkiem tajgi. W tym samym czasie statek z Holandii zbliżył się do Archangielska na niebezpieczną już odległość.

Dyskusja z szefem górki rozrządowej rozpoczęła się od ustalania trasy. Uważał za stosowne wyjaśnić mi, że drzewo do Archangielska można zawieźć na kilka sposobów, a każdy z nich ma swoje wady i zalety. Nie jest bowiem prawdą, że najlepsza trasa to najkrótsza trasa. Na krótszej trasie może być przecież więcej stacji, węzłów i rozrządów, czyli, innymi słowy, może być większy tłok i mniejsza przepustowość, która czasem zwiększa się w godzinach nocnych. Zdarza się jednak, że jest zupełnie odwrotnie.

- To na który wariant się decydujecie? - zakończył, siadając za biurkiem.

- Najszybszy i najbardziej dla was korzystny - odpowiadam.

- No, to trzeba było od razu tak mówić - odetchnął szef górki rozrządowej i dodał, że rozmowy nazbyt oficjalne zawsze go męczyły. Szybko ustaliliśmy cenę, a przy pożegnaniu szef zapewnił mnie, że w lokomotywie zasiądzie maszynista twardy i odpowiedzialny, który żadnemu zawiadowcy stacji nie da się sprowadzić na bocznicę.

Popołudnie i cały wieczór spędziłem na płatnościach, poczęstunkach i gratulacjach. Wszyscy wyrażali głębokie przekonanie, że jest to dopiero skromny początek naszych wspólnych, przyszłych interesów. Tylko kierownik tartaku skrzywił się nieco, gdy mu powiedziałem, że dodatkowe wydatki nadwyrężyły mój kapitał i że na razie mogę mu zapłacić tylko połowę ceny. Ale i on, po obejrzeniu pod światło świeżutkich banknotów, wzniosł toast za pomyślność.

Następnego dnia, mimo wszelkich oznak powodzenia, nie mogłem się powstrzymać i jeszcze raz pojechałem na stację. I zobaczyłem w końcu to, co do tej pory widywałem tylko w krótkich urojeniach. Na bocznicę stał niezwyklej długości pociąg towarowy, a w nim, gdzieś pośrodku, moje dziewięć wagoników. Przeszedłem się wzdłuż nich, poklepując każdy z osobna i sycąc się zapachem świeżego drewna. Bajkowe było to uczucie. Nie opuszczało mnie ono jeszcze przez wiele dni, bo jakimś cudem zdążyłem dolecieć do Warszawy na Wigilię, więc spędziłem święta we własnym domu, a na Nowy Rok wypilem mnóstwo rosyjskiego szampana.

Drugiego stycznia odebrałem długi faks od Andrzeja z Holandii. Składał się on, można powiedzieć, z dwóch rozdziałów. Pierwszy, raczej oschły w tonie, informował, że żadne drzewo do Archangielska nie dotarło, mimo że statek przedłużył swój pobyt w porcie o cztery dni. Każdy dzień dodatkowego postoju kosztuje tyle to a tyle, a sam rejs jeszcze więcej. Przewidywane w takich wypadkach kary umowne prezentowała załączona tabelka. Negocjować można jedynie termin i sposób zapłaty zaistniałych należności.

Część prywatna była barwniejsza. Mogłem sobie poczytać o nieodpowiedzialnym facecie, który prowadzi ciemne szwindle na zbójcką modłę i nie ma pojęcia o interesach, bo z pewnością zamiast równo ciosanych bali kupić zwykłe gałęzie i nie wysłał ich pociągiem, ale saniami. Jeśli w ogóle je miał. Kilka dni później poleciałem do P., żeby wyjaśnić sprawę na miejscu, ale nic nie wyjaśniłem, bo trafiłem akurat na noworoczny okres delegacji służbowych. Pod koniec stycznia poleciałem drugi raz, tym razem anonsując wizytę stosownym telegramem. Szef górki rozrządowej nie miał zielonego pojęcia, gdzie podziały się moje wagony, ale obiecał przeprowadzić stanowcze śledztwo i zawiadomić mnie o wynikach. Kierownik tartaku domagał się brakujących pięćdziesięciu procent zapłaty, zgadzając się jednakowoż, że przypadek jest szczególny i trzeba czekać.

Trzeci raz już nie poleciałem, bo zapadła głucha cisza, choć z pewnością do mnie dzwoniło, ale akurat mnie nie zastano. Po kilku miesiącach dowiedziałem się przypadkowo, że moje bale wróciły niebawem po moich wizytach, więc kierownik tartaku nie miał już do mnie pretensji, a wręcz mile mnie wspominał, bo mógł je sprzedać drugi raz. Wasył, który zwabił mnie w drewniane interesy i uciekł z zaliczką, kupił sobie nowego kamaza. Mnie pozostał waciak, czapka uszatka, woreczek żetonów oraz medal z wizerunkiem tajgi...

Interes instrumentalny

Pewnego poranka do mojego moskiewskiego mieszkania zapukał Wołodja, saksofonista, którego znałem jeszcze z czasów, kiedy organizowałem występy polskich zespołów rockowych i jazzowych w Związku Radzieckim. Przy okazji tych koncertów poznawałem wtedy całe rzesze rosyjskich muzyków, którzy, podobnie jak ich polscy koledzy, swą muzyką walczyli o wolność i godziwe honoraria. Do dzisiaj zresztą spotykam się z nimi na ciekawszych imprezach publicznych, a czasami, jeśli jest po temu sposobność, odwiedzamy się prywatnie, żeby wspominać szaleństwa młodości.

Wizyta Wołodii była tym razem o tyle niecodzienna, że nastąpiła w godzinach przedpołudniowych, a więc w czasie, w którym normalny artysta przed chwilą położył się spać. Tak wczesna pora odwiedzin musiała więc zwiastować jakąś niespodziankę.

Po skromnym powitalnym kieliszeczku Wołodja oświadczył, że z wielką przykrością, ale musi się

rozstać ze swym najukochańszym saksofonem, ponieważ dotarli do niego informacje, że można go sprzedać w Polsce za cenę pięciokrotnie wyższą od tej, jaką ewentualnie mógłby uzyskać w Moskwie.

- Niemożliwe!? - zdziwiłem się szczerze.

- Co jest niemożliwe? - zaniepokoił się Wołodia. - To, że chcę go sprzedać, czy to, że cena jest w Polsce pięć razy wyższa?

Gdy powiedziałem, że chodzi mi o sam fakt rozłąki, Wołodia pospiesznie wyjaśnił, że gdyby cena była tylko dwukrotnie wyższa, to owszem, należałoby się zastanowić i wziąć pod uwagę wieloletnie przywiązanie do instrumentu. Ale jeśli cena rzeczywiście jest wyższa pięciokrotnie, to wszelkie sentymenty należy po męsku odrzucić.

Po następnym kieliszeczku Wołodia zapewnił solennie sam siebie, że jeśli sprzedaż odbędzie się podług jego obliczeń, to natychmiast kupi sobie nowy saksofon, który z pewnością będzie bardzo podobny, a kto wie, czy nie identyczny. Widać było, że targają nim wyrzuty sumienia, ale w końcu zebrał się w sobie i postanowił te męki rozstania skrócić. Zaproponował mi pięćdziesięcioprocentowy udział w zysku, po czym, nie czekając na moją zgodę, położył swój drogocenny saksofon na stole, wyścisnął mnie oburącz i lekko wstawiony, poszedł załatwiać jakieś inne sprawy.

Kilka dni później, mając w Warszawie wolny wieczór, skontaktowałem się ze znajomym środowiskiem jazzowym. Okazało się, że Wołodia jest artystą dobrze poinformowanym, choć może nie tak do końca, bo z dużą łatwością sprzedałem saksofon o trzydzieści procent drożej, niż było to w planie. Gdy opowiedziałem mu tydzień później całą prawdę i wręczyłem nowiutkie banknoty dolarowe, Wołodia, nie posiadając się z radości, oprócz należnej części zysku, wypłacił mi dodatkowo premię i zapowiedział, że rozśławi moje imię jako największego przyjaciela artystów.

Już dwa dni później, w poniedziałek, mogłem się przekonać, że potraktował swą zapowiedź całkiem serio. Jadłem właśnie podwieczorek, gdy zjawił się zarośnięty i odziany w nędzny płaszczyk skrzypek Arkady, który prosząc mnie o sprzedaż swoich cennych skrzypiec, niemalże się rozplakał. Jeszcze tego samego dnia, wieczorem, przyszedł znany mi tylko z widzenia młody klarncista. Przedstawił się i przez pół godziny przekonywał mnie o wartości swego klarnetu, który kupił podczas tournée po Mołdawii od pewnego pijanego Niemca, któremu zabrakło pieniędzy do zapłacenia rachunku w restauracji, a na drugi dzień, gdy wytrzeźwiał, chciał odkupić swój instrument za każdą cenę, ale mu się to nie udało.

W środę na progu mego mieszkania stanął sławny kiedyś gitarzysta młodzieżowy. Usiadł przy stole, napił się soku pomidorowego, po czym oświadczył, że zawsze miał w domu dwie gitary, ale teraz doszedł do wniosku, że równie dobrze wystarczy mu jedna. W piątek z kolei odwiedziła mnie pewna nieśmiała wiolonczelistka, która nigdy nie rozstałaby się ze swoją wiolonczelą, gdyby nie to, że narzeczony obiecał jej kupić w prezencie zupełnie nową.

Tak więc przez następne tygodnie za każdym razem, gdy jechałem do Warszawy, zabierałem ze sobą przynajmniej dwa instrumenty. Sam nie wiem dlaczego, ale doбираłem je w taki sposób, żeby jeden był duży, ale tani, a drugi mały, ale drogi. Nie zawsze udawało mi się je sprzedać ot tak, z dnia na dzień, więc kiedy wracałem do Moskwy, niektórzy miewali zawiedzione miny, ale w końcu zdecydowali się cierpliwie czekać na mój kolejny wyjazd.

Tymczasem odwiedzali mnie coraz to nowi, niekiedy zupełnie nie znani mi muzycy. Rozglądając się po mieszkaniu i zauważając leżące już tu i ówdzie instrumenty, starali się mnie na różne sposoby przekonać, żebym instrumenty przyniesione przez nich potraktował priorytetowo. Po jakimś czasie nie tylko więc woziłem instrumenty ze sobą, ale chcąc rozładować korki, nadawałem je na bagaż czy też wręczałem bezpośrednio konduktorom, a ci, za odpowiednią opłatą, przekazywali je na dworcu w Warszawie opisanym przeze mnie osobom.

Oczywiście przy tak zagmatwanych sposobach transportu musiały zdarzać się pewne niedociągnięcia. Wyznaczony kiedyś warszawski odbiorca spóźnił się na przyjazd pociągu, a konduktor, nie wiedząc, co zrobić, przekazał puзон swojemu koledze, który odjeżdżał następnego dnia, ale, jak się okazało, z innego dworca. Innym razem nadany na bagaż fagot zawieruszył się w przechowalni, a podjęte poszukiwania trwały równo trzy tygodnie. Zacząłem się obawiać, że podobne przypadki mogą narazić na szwank moje dobre stosunki z moskiewskim światem artystycznym, który, tak jak wszędzie, wykazuje się niezwykłą wrażliwością, zwłaszcza jeśli chodzi o finanse.

Moje obawy okazały się jednak zasadniczo bezpodstawne, bo nie licząc kilku drobnych scysji, ilość instrumentów w moim moskiewskim mieszkaniu, mimo ciągłej ich ekspedycji, powoli, ale systematycznie wzrastała. Odwiedzali mnie już nie tylko muzycy sensu stricto, ale trafiali się też strażacy z orkiestr strażackich, wojskowi z orkiestr wojskowych i członkowie orkiestr zakładowych, a czasami, w zastępstwie, ich żony, bracia albo synowie. Bywało też, że przychodzili pracownicy fabryki instrumentów, a także ich bliscy i dalecy znajomi, którzy na muzyce się nie znali, ale na cenach instrumentów owszem.

Któregoś dnia skonstatowałem w końcu ze zdziwieniem, że poruszanie się po mieszkaniu stało się niezwykle uciążliwe. Nie mogłem już swobodnie spacerować w tę i z powrotem, a o przyjmowaniu gości nie mogło być nawet mowy. Wtedy też zrozumiałem, że najwyższy czas skończyć z dobrotliwą, acz opłacalną, misją wspomaganie artystów w potrzebie i pora spojrzeć na zagadnienie w kategoriach eksport, import, marża, zysk.

Przed wszystkim przeprowadziłem skrupulatną inwentaryzację, która wykazała, że znajduję się w posiadaniu dziewięciu instrumentów dużych, szesnastu średnich i dwudziestu jeden małych.

Wysłanie ich do Polski pociągiem towarowym albo nadanie na bagaż z rozlicznych i oczywistych względów nie wchodziło w rachubę. Pozostawał więc wagon pasażerski.

Aby choć w przybliżeniu określić potrzebną do ich przewozu kubaturę, przy pomocy kanapy, foteli, krzeseł i regału zbudowałem coś w rodzaju makiety przedziału w wagonie z kuszatkami. Po licznych próbach stwierdziłem, że wystarczą dwa przedziały.

Wykupiłem stosowną ilość biletów i miejscówek, a pomny zasady o nierozdzielności kupca od towaru, w trzecim przedziale zarezerwowałem miejsce dla siebie. Na dworzec przybyłem ciężarówką w asyście kilku rośłych pomocników, którzy szybko i sprawnie przenieśli instrumenty do wagonu, a następnie, kierując się moimi wskazówkami, rozmieścili je po przedziałach. Moja domowa symulacja niezbędnej kubatury okazała się nadzwyczaj trafna.

Nie zdążyłem się jeszcze dobrze usadowić, gdy spacerujący korytarzem konduktor, który, jak zwykle, wstępnie szacował zamożność poszczególnych pasażerów, wyraził zaskoczenie rodzajem mojego bagażu i przypomniał, że jedziemy pociągiem osobowym, a nie towarowym. Odrzekłem, że jak najbardziej się z nim zgadzam, i uprzedzając jego dalsze rozważania o opłatach za nadbagaż, zaznaczyłem, że moje instrumenty posiadają bilety z miejscówkami, więc można je potraktować tak samo, jak zwykłych pasażerów. Jeśli zaś chodzi o nadbagaż, to wystarczy przyjąć, że dziewięć dużych instrumentów to pasażerowie-matki, a pozostałe instrumenty to ich bagaże, i wtedy łatwo stwierdzić, że ważą tyle samo, a może nawet mniej niż inni podróżni.

Po krótkim namyśle konduktor przyznał, że generalnie zgadza się z moją linią obrony, ale upominając mnie, dmucha na zimne. Zdarzyło mu się bowiem, że wpuścił do wagonu dozwoloną, zdawałoby się, ilość pasażerów, toreb, waliz i tobołów, ale nie wiedział, że większość tych pakunków wypełniona była galanterią metalową w postaci siekier, młotków, kłódek i żelazek. Tak obciążony wagon zaczął się dziwnie zachowywać: trzeszczał i skrzypiał ponad wszelką miarę, osie rozgrzały się do czerwoności i sypało iskrami. Ktoś doniósł, gdzie trzeba, i na najbliższej stacji wagon odczepiono, przetoczono wraz z całą zawartością na bocznice i nic nikomu nie mówiąc, pojechano dalej.

- Wolałbym nie mieć więcej takich kłopotów - zakończył konduktor i spojrzał na mnie wymownie.

Nie wypadało, żeby spędził całą podróż w nerwach, więc wymacałem w kieszeni banknot pięćdziesięciodolarowy i przełożyłem go do kieszeni konduktora w taki sposób, żeby to widział i równocześnie nie widział. Chyba z powodzeniem, bo od tej pory, spotykając się na korytarzu, spieraliśmy się już tylko o to, jaki zespół można by stworzyć przy pomocy moich instrumentów.

Konduktor, przyzwyczajony do służb mundurowych, wahał się między małą orkiestrą wojskową a dużą orkiestrą strażacką. Ja natomiast, wiedząc dokładnie, co wiozę, sugerowałem orkiestrę awangardową. Sporu nie rozstrzygnęliśmy, ale do granicy w Brześciu dojeżdżaliśmy w świetnych humorach.

Młody, może dwudziestosiedmioletni celnik, który wszedł do mojego wagonu, znał już dobrze swoje rzemiosło, bo najpierw zaczął się milcząco przechadzać po korytarzu, lustrując wstępnie zawartość przedziałów i notując w pamięci obiekty godne szczegółowego skontrolowania. Gdy zbliżył się do mnie i przez pootwierane drzwi zobaczył instrumenty, ze zdziwienia, a może z zachwyty, w każdym

razie gwizdnął sobie przeciągle. Zapytał, czy to moje, przyjrzał mi się dokładnie i powiedział jedynie, że też lubi słuchać muzyki, ale porozmawiamy o tym, jak wróci.

Zacząłem się zastanawiać, co też te słowa mogły znaczyć. Trudno było sobie wyobrazić, że miał na myśli trąbę albo werbel, chociażby z tego względu, że pod mundur nie sposób ich schować. A może ma nadzieję, że znajdzie się jakiś flet, który, od biedy, dałoby się wsunąć do rękawa? Powiedział jednak - przypomniałem sobie - że lubi słuchać, a nie, że lubi grać. Z tego by wynikało, że pewnie chce zrobić prezent narzeczonej, która uczęszcza do szkoły muzycznej. A może po prostu lubi słuchać, jak sam gra...

Moje rozważania przerwało ponowne wejście celników. Znajomy mi już młodzieniec skontrolował dwa przedziały przede mną, a kiedy przyszła kolej na mnie, patrząc mi prosto w oczy powiedział, że nie tylko lubi, ale że bardzo lubi słuchać muzyki. Odpowiedziałem, bo cóż miałem odpowiedzieć, że też bardzo to lubię. On jednak nie podtrzymał konwersacji, która mogłaby choć trochę naświetlić jego intencje, i przeszedł w milczeniu do następnych przedziałów.

Pozostałem na korytarzu i analizując zaistniałą sytuację, obserwowałem krzątanicę kontrolowanych pasażerów. Wypełnioną prawidłowo deklarację celną cały czas trzymałem w pogotowiu. Od czasu do czasu młody celnik zerkał w moją stronę, jakby oczekiwał na jakiś znak, ale ja żadnego znaku nie dawałem, bo doszedłem do wniosku, że jeżeli rzeczywiście ma do mnie jakiś interes, to sam przyjdzie i powie. Tym bardziej że wokół mnie nie było tłoku i moglibyśmy porozmawiać bez krępacji.

Gdy po jakimś czasie na korytarzu zrobiło się luźniej, bo pasażerowie, siedząc po przedziałach, obliczali swoje pokontrolne zyski i straty, odprężony już młody celnik ruszył w moją stronę. Szedł bardzo wolno, jakby chciał mi dać jeszcze trochę czasu do namysłu. Kiedy znalazł się przy mnie, a ja, mimo to, ciągle zachowywałem milczenie, wycedził tylko jedno zdanie: - A nie mówiłem, że bardzo lubię słuchać muzyki?

I nie czekając na moją reakcję, wyskoczył na peron. Widziałem przez okno, że podszedł do swoich kolegów z drugiego wagonu i wdał się z nimi w rozmowę.

Kwadrans później na korytarzu pojawiło się dwóch innych celników i skierowało swe kroki prosto do mnie. Nie zadając żadnych rutynowych pytań, nie żądając żadnych papierów ani nie zaglądając nawet do moich przedziałów, oświadczyli krótko, że cło za wywóz instrumentów muzycznych uiszcza się wyłącznie w Moskwie. Jeśli chcę, to mogę złożyć swoje instrumenty w depozycie, a jeśli nie chcę, to mogę je zabrać ze sobą do Moskwy, ale przez granicę na pewno z nimi nie przejadę.

Widząc, że jakakolwiek perswazja nie ma najmniejszych szans, odparłem spokojnie, że wszystko to uczynię, ale najpierw porozmawiam z naczelnikiem tutejszego urzędu celnego. Odpowiedzieli, że po pierwsze naczelnik wyjechał, a po drugie to oni nie mają czasu i jeśli się oddalę, to sami wyniosą moje przyrzady na peron i tam je pozostawią.

Cóż było robić? Nie mogłem ryzykować zaginięcia najmniejszej nawet fujarki ani też pozwolić, aby pozbawione futerałów instrumenty zostały poobijane w trakcie wyładunku. Zacząłem je delikatnie wnosić na peron, a im więcej ich tam przybywało, tym większe wzbudzałem zainteresowanie przechodzących podróżnych. Wypytywano mnie nawet, jakaż to ważna osobistość zawita w Brześciu, skoro przygotowuje się orkiestrę powitalną. Przypomniało mi to mój niedawny spór z konduktorem. Żadnemu z nas nie przyszło wtedy do głowy, że z moich instrumentów można po prostu stworzyć orkiestrę powitalną. Chociaż, w tej sytuacji, byłaby to raczej orkiestra pożegnalna.

Dwaj chłopcy, którzy kręcili się po peronie, zgodzili się za dwa dolary przypilnować mojego dobytku, a ja udałem się do pobliskiego budynku urzędu celnego. Napotkany przy wejściu umundurowany osobnik sprawiał wrażenie, jakby tylko na mnie czekał, bo natychmiast mnie poinformował, że naczelnik wyjechał i nie wiadomo, kiedy wróci, a nikt inny nie będzie ze mną rozmawiał. Wiedząc z licznych potyczek w rosyjskich urzędach, że otwarte wypowiedzenie wojny może tylko pogorszyć sytuację, wycofałem się do budynku dworcowego.

Według wiszącego tam rozkładu jazdy najbliższy pociąg do Moskwy odchodził za czterdzieści minut, a następny za trzy godziny. Czekanie na naczelnika wydało mi się w tym momencie podobne do czekania kota na Godota, więc postanowiłem wracać do Moskwy natychmiast, i to razem z całym dobytkiem, bo pozostawienie tak cennych sprzętów w depozycie byłoby skrajną formą nonszalancji. Wykupiłem potrzebną ilość biletów, a dwaj chłopcy, za dodatkowe dwa dolary, pomogli mi

załadować instrumenty do moskiewskiego pociągu, który zresztą stał przy tym samym peronie. Kończyliśmy już swoją robotę, gdy podszedł do mnie jakiś kolejarz, który pewnie całe zdarzenie obserwował, i powiedział, że naczelnik już wrócił, więc żebym spróbował z nim porozmawiać, bo to zacny człowiek. Przywołałem konduktora i wręczając mu pięćdziesiąt dolarów, poprosiłem, żeby strzegł mego majątku jak oka w głowie, a sam szybkim krokiem ruszyłem ponownie do budynku urzędu celnego.

Przed pokojem naczelnika kłębił się tłum podenerwowanych interesantów. Mimo że górowałem wzrostem nad innymi, to jednak ani za pierwszym, ani za drugim otwarciem drzwi nie udało mi się dostać do środka. Rozważając dalsze możliwe poczynania, podszedłem do okna i mimochodem zobaczyłem, że pociąg do Moskwy, unosząc moje instrumenty, majestatycznie opuszcza dworzec. Stacyjny zegar wskazywał, że robi to o piętnaście minut za wcześnie.

Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że moja ewentualna rozmowa z naczelnikiem stała się bezprzedmiotowa, więc z niejaką ulgą opuściłem kłębiący się tłum interesantów. Ku pokrzepieniu poszedłem najpierw coś przekąsić, a potem, spacerkiem, odszukałem sprawny aparat telefoniczny. Zawiadomiłem przyjaciół w Moskwie o tym, co zaszło, i poleciłem, aby o określonej godzinie pojechali na dworzec i zaopiekowali się instrumentami.

Mając kilka godzin do następnego pociągu, niespiesznie kupiłem jakąś gazetę, poszedłem na peron i przysiadłem na ławeczce, na której jeszcze przed chwilą świergoliły sobie dwa szare ptaszki. Popalając i rozmyślając o naturze rzeczy, spostrzegłem w którymś momencie znajomą twarz młodego celnika, który wracał pewnie z jakiejś kolejnej kontroli. Gdy tylko mnie rozpoznał, podszedł bliżej i pokazując palcem, z pewną satysfakcją oświadczył, że skoro poskąpiłem takiego drobiazgu, to teraz mam za swoje. Jego palec wskazywał walkmana, który przez cały ten czas wisiał na mojej szyi.

Następnego dnia, będąc już w Moskwie, zadzwoniłem do jednego z tamtejszych urzędów celnych, aby dowiedzieć się, gdzie i jak mogę opłacić cło za wywóz instrumentów. Powiedziano mi, że najprościej będzie, jak zrobię to na granicy, ale skoro tak bardzo nie lubię wozić gotówki pociągiem i koniecznie muszę to zrobić w Moskwie, to należy przygotować szczegółowy opis każdego instrumentu z osobna, złożyć to wszystko we właściwym okienku, a potem już tylko czekać na decyzję. Wstąpiłem więc najpierw do urzędu i zaopatrzone w odpowiednie druki, udałem się do znajomych, do których dzwoniłem z Brześcia.

Już na progu usłyszałem, że bardzo wszystkim przykro, ale moich instrumentów tu nie ma i, prawdę mówiąc, nie bardzo wiadomo, gdzie się teraz znajdują. Kiedy bowiem moi przyjaciele o wyznaczonej porze stawili się na peronie moskiewskiego dworca i z łatwością odszukali właściwy wagon, konduktor oświadczył, że dał kolejarzkie słowo honoru, iż będzie strzegł instrumentów jak oka w głowie, więc nie ma mowy, żeby je teraz wydał jakimś obcym ludziom. Mimo wszelkich tłumaczeń uparł się, że prędzej złoży je w depozycie, niż pozwoli, aby dostały się w niepowołane ręce. Później widzieli, jak przy pomocy swych kolegów konduktor przeładował instrumenty do innego pociągu, którym, jak się okazało, za godzinę miał wracać do Brześcia.

Nie pozostawało mi nic innego, jak pojechać śladem konduktora. Kolejna dziesięciogodzinna podróż upłynęła mi na beztroskich pogawędkach, choć przyznam, że początkowo odnoszono się do mnie z nieufnością, ponieważ byłem jedynym podróżnym całkowicie pozbawionym bagażu. Widząc mnie takiego, każdy normalny pasażer musiał przecież zadać sobie w duchu pytanie, co ten brak bagażu tak naprawdę ma oznaczać, kim ja w ogóle jestem i po co właściwie jadę. Gdybym miał chociaż jedną walizkę, choćby starą aktówkę, to przynajmniej można byłoby się domyślać, że jestem w jakiejś przygranicznej delegacji. Ale tak zupełnie bez niczego jechać za granicę? Toż to niepodobieństwo i coś w tym musi być.

Dopiero gdy wyjaśniłem swym współpasażerom, że jeszcze dwa dni temu miałem więcej bagażu niż oni wszyscy razem wzięci, spojrzano na mnie z sympatią, a po usłyszeniu szczegółów okazywano mi nawet współczucie. Im bliżej jednak byliśmy granicy, tym rzadziej wspominano mój przypadek z uśmiechem niedowierzania, a coraz częściej traktowano jak przestrożę i memento. A gdy zapadało wtedy krótkie milczenie, każdy w głębi duszy myślał sobie, że coś takiego może się przytrafić tylko komuś innemu.

Poszukiwania konduktora w Brześciu musiałem przeprowadzić bardzo dyskretnie, bo nie wiedziałem,

czy zgłosił on oficjalnie fakt zaginięcia właściciela, czy też postanowił nie mieszać w całą sprawę żadnych wyższych instancji. Moje pochopne działania mogły więc doprowadzić do publicznego ujawnienia, że jeździł on do Moskwy i z powrotem z nie wiadomo czyimi instrumentami, które zajmowały dwa przedziały, a do tego nie miały ważnych biletów. Takie zachowanie z pewnością zostałoby uznane przez przełożonych za podejrzone i naraziłoby konduktora na całą serię dociekliwych pytań, co różnie mogło się dla niego skończyć.

Mając to wszystko na uwadze, powiedziałem zawiadowcy w Brześciu, że szukam konduktora, który dwa dni temu jechał do Moskwy, bo przypadkowo zamieniłem się z nim na zapalniczki. Zawiadowca odparł, że nie pamięta już, co było dwa dni temu, i skierował mnie do biura.

W biurze odniesiono się do mojej prośby o informacje z troską i zrozumieniem. Z papierów wynikało, że w rzeczonym pociągu jechali trzej konduktorzy, więc musiałem przedstawić dokładny portret pamięciowy. Gdy po ogólnym opisie sylwetki przeszedłem do kształtu nosa, natychmiast mi przerwano, uznając, że bez żadnych wątpliwości chodzi o konduktora o takim to a takim nazwisku, który, zgodnie z grafiką, wyjechał trzy godziny temu i wróci za trzy dni.

Kiedy po trzech dniach ponownie zajechałem na brzeski dworzec, poszukiwanego konduktora spotkałem tuż po wyjściu na peron, bo okazało się, że jechaliśmy tym samym pociągiem. Po serdecznym powitaniu opowiedział mi, że, niestety, ale musiał oddać moje instrumenty do depozytu jako mienie porzucone, bo żadne inne rozwiązanie nie wchodziło w grę. Nie mógł przecież wynieść instrumentów w teczce, a nawet gdyby, to i tak ma za małe mieszkanie. W depozycie sporządzono protokół przyjęcia, ale konduktor nie przyjrzał się dokładnie, co w nim napisano, bo gdyby to zrobił, to by pomyślano, że nie ma zaufania do kolegów celników. A on, który jeździ również na zagranicznych trasach, nie mógł dopuścić, żeby celnicy tak właśnie pomyśleli.

Pakamera, w której gromadzono towary zarekwirowane podróżnym, gdzie razem się udaliśmy, już z daleka wyglądała na nieożywioną. Obeszliśmy ją dookoła, ale wszystkie drzwi okazały się pozamykane. Przechodzący przypadkowo celnik wyraził przypuszczenie, że skoro jest pierwsza po południu, a dziś mamy piątek, to pracownika, który wydaje depozyty, już nie będzie, bo zwykle zaczyna on weekend zaraz po przyjeździe do pracy. Gdybym natomiast chciał jakiś depozyt wstawić, to nie ma problemu, zapasowy klucz zawsze się jakoś znajdzie.

Gdy zostaliśmy sami, konduktor odradził mi przyjazd w poniedziałek, bo magazynier, jak każdy normalny człowiek, będzie w tym dniu zmęczony i zniechęcony, a wydanie takiej ilości przedmiotów to masa papierkowej, żmudnej roboty, więc znajdzie byle pretekst, żebym tylko dał mu święty spokój. Lepszy będzie wtorek, a w zapasie mam jeszcze środę i czwartek. W sumie trzy długie dni, w których, jeśli nie zdarzy się nic nadzwyczajnego, wszyscy powinni być w pracy w zasadzie po to, żeby pracować. Tak pocieszony, wsiadłem do pociągu i ruszyłem w kolejną, już nie wiem którą, dziesięciogodzinną przejażdżkę.

We wtorek, gdy stanąłem przed obliczem magazyniera i wyraziłem chęć odbioru swoich instrumentów, zwrócił mi najpierw uwagę, żebym nie był przesadnie niecierpliwy, bo skąd on ma wiedzieć, że akurat ja jestem ich właścicielem. W papierach nie figuruje żadne nazwisko, więc muszę przedstawić jakieś niezbite dowody. Pokazałem przygotowaną swego czasu deklarację celną, w której punkt po punkcie wszystkie instrumenty były wyliczone, ale magazynier tylko na nią zerknął i uznał, że taki papier go nie interesuje, bo nie ma na nim żadnej pieczętki. Nie zainteresowało go również, dlaczego jej niema.

- Najlepiej zrobicie, jak przyprowadzicie wiarygodnego świadka, który potwierdzi, że mówicie prawdę
- zakończył rozmowę magazynier i nie musiał przy tym zaznaczać, że takowym jest dla niego wyłącznie świadek umundurowany.

Zaznaczył to jednak, bo dobrze wiedział, że żaden celnik nie zgodzi się świadczyć w mojej sprawie i że tym samym skazuje mnie na poszukiwanie konduktora.

Ponowne jego odnalezienie i dokładne uzgodnienie, co i komu ma powiedzieć albo napisać, zajęło mi chyba dziesięć dni, bo konduktor, jak to konduktor, stale się przemieszczał. Nie działały też niektóre telefony, a wielu ludzi przypadkowo zamieszanych w moje poszukiwania zapomniało, że dzień wcześniej obiecało przekazać jakąś informację, z czego wynikały coraz to nowe nieporozumienia.

W końcu jednak, gdy ponownie zawitałem w depozycie, fakt, że jestem właścicielem instrumentów,

nie podlegał już dyskusji. Dyskusji natomiast zaczęła podlegać ich ilość. Nie zapraszając mnie nawet na zaplecze do wspólnego Uczenia, magazynier stwierdził, że albo ja podaję zawyżoną liczbę instrumentów, albo kilku brakuje. Tak czy owak, należy przeprowadzić dochodzenie, więc absolutnie nie może mi ich wydać, bo od tej chwili stają się one koronnymi dowodami w sprawie. Spróbowałem jeszcze zrezygnować z brakujących instrumentów, ale usłyszałem, że jest to jawne namawianie do ominięcia obowiązującej procedury. Rozmowę zakończył magazynier definitywnym oświadczeniem, że w razie potrzeby będę wzywany.

Poszedłem jeszcze do naczelnika, ale naczelnik, jak każdy człowiek na wysokim stanowisku, akurat gdzieś wyjechał.

Przez następne tygodnie, gdy tylko zdarzało mi się przejeżdżać przez Brześć, odwiedzałem magazyn i wypytywałem o postępy w dochodzeniu. Odpowiadano mi przeważnie, że to tajemnica służbowa albo też nie odpowiadano mi wcale, bo nikogo nie było. Raz trafiłem na przeprowadzkę do nowej pakamery, która wyglądała tak samo jak stara, a innym razem przeprowadzano inwentaryzację i nikt wtedy nie miał dla mnie czasu.

Tymczasem w Moskwie zniecierpliwieni muzycy gorączkowo poszukiwali wyjścia z tej nieznośnej dla wszystkich sytuacji wyczekiwania. Muzycy sensu stricto proponowali zwrócić się do muzyków-strażaków albo, jeszcze lepiej, do muzyków-wojskowych, aby ci wykorzystali swoje drogi służbowe w celu wywarcia nacisku na celników. W końcu i to mundur, i to mundur - przekonywali. Koncepcja ta jednak dość szybko upadła, bo uznano, że mundurowi muzycy mają za niskie rangi. Nawet nie ma wśród nich żadnego kapelmajstra - mówili sceptycy. Sami szeregowi grajkowie, którzy pewnie i tak od razu złożyli raporty, że im instrumenty poginęły.

Ktoś rzucił pomysł, żeby w takim razie zwrócić się do prasy. Nie musi to być zaraz wielki artykuł, może być coś niewielkiego, chociażby w rubryce „Interwencje”. Zawsze to będzie jakaś podstawa. Pokaże się taką gazetę celnikom i powie się: o, proszę! Może wtedy zmiękną. Trzeba tylko znaleźć zaufanego dziennikarza, który przedstawi sprawę w odpowiednim świetle.

Rychło jednak się okazało, że jeśli już ktoś zna takiego, to pisuje on o muzyce w prasie branżowej, którą celnicy pewnie zlekceważą. A poza tym - dodawali ci, którzy od początku wątpili w tę ideę - zaraz całe środowisko zacznie się wypytywać, a co to były za instrumenty, a ile ich było, a po co były wywożone. Zaczną się plotki i jakieś fantastyczne domysły, które wszystkim tylko zaszkodzą. Lepiej będzie, jak się całą sprawę załatwi bardziej dyskretnie. Tak więc, w ogniu krytyki, i ten pomysł szybko upadł.

Wołodia, którego saksofon został pomyślnie wywieziony i który mógł teraz patrzeć na wszystko chłodnym okiem obserwatora, podczas jednego ze spotkań w szerszym gronie powiedział nagle w sposób autorytatywny, że tak naprawdę to bez interwencji jakiegoś wpływowego polityka nie mamy żadnych szans.

Po tych słowach, jakby automatycznie, skierowano wzrok na tych, którzy zawsze lubili podkreślać swoje znajomości w świecie polityki, bo zdawało im się, że tym samym podwyższają swoją wartość artystyczną. Teraz jednak, gdy przyszło co do czego, znajomości te okazały się niezbyt zażyłe, a właściwie można powiedzieć, że przelotne. Perkusista Gienadij musiał przyznać, że co prawda był kiedyś na pofestiwalowym raucie z przywódcą jednej partii, ale tylko podali sobie ręce i zapytali się wzajemnie o zdrowie, więc trudno się teraz na ten fakt powoływać. Trębacz Alosza, który zawsze, gdy pokazywano w dzienniku telewizyjnym pewnego wiceministra, chwalił się, że to jego dobry przyjaciel, teraz gęsto się tłumaczył, że przyjaciółmi to oni właściwie byli w Komsomole, ale potem ich drogi się rozeszły.

Mimo zawodu, jaki sprawił tym wyznaniem, inni zebrani podchwycili nutę wspomnieniową i głośno wymieniali stanowiska, do których doszli ich koledzy ze szkół, ze studiów i z różnych organizacji. Żadne stanowisko nie zostało jednak uznane za wystarczająco wysokie, a nawet jeśli w niektórych wypadkach jeszcze się wahano z oceną, to i tak okazywało się, że ten ktoś robi swoją karierę w jakiejś odległej republice. Gdy wydawało się już, że pomysł z politykami również upadnie, ktoś przytomnie zauważył, że skoro nikt z obecnych nie ma z nimi zażytych kontaktów, to trzeba ich poszukać poprzez ludzi biznesu, bo jest ich dużo więcej, a skoro są biznesmenami, to przecież dlatego, że mają dobre stosunki z władzami.

I wtedy dopiero powstał prawdziwy rwetes. Ktoś zaraz opowiedział o znajomym krawcu, który zatrudnia pięćdziesiąt szwaczek na czarno i szyje galowe mundury dla milicji. Ktoś inny wspomniał o importerze tapicerki do foteli lotniczych w supermyśliwcach, który musi mieć przyjaciół w ministerstwie obrony. Jeszcze ktoś inny znał hurtownika zdrowej żywności, który zaopatruje wszystkie placówki dyplomatyczne w świeżą sałatę, a zatem musi mieć znajomości w ministerstwie spraw zagranicznych. Licytowano się w branżach, w majątkach i w dochodach. Wymieniano coraz to wyższe sumy i odpowiadające im stanowiska ministerialne, municypalne i parlamentarne. I pewnie długo jeszcze trwałaby ta licytacja, gdyby nie tysawy akordeonista, który krzyknął niemalże, że zna pewnego biznesmena, o którym nie bardzo wiadomo, czym się zajmuje, ale wiadomo na pewno, że zarabia miliard dolarów miesięcznie, więc musi znać wszystkich.

Po tych słowach na moment zapadła cisza, a po chwili podniosły się okrzyki zdumienia, niedowierzania i żartobliwej kpiny, po czym, jak to na prywatnych bankietach, powstał ogólny rozgardiasz. Tylko skrzypek Arkady, który nigdy nie wtrącał się do tych rozmów, siedział spokojnie na swoim ulubionym krześle i od czasu do czasu, popijając, mamrotał coś o przeznaczeniu.

Z tych wieczornych spotkań i gorączkowych dyskusji niewiele jednak wynikało. Po zasłużonym niedzielnym wypoczynku nastawał poniedziałek i wszyscy wracali do swych codziennych zajęć. Nikt jakoś nie kwapił się do wprowadzenia w życie planów, które jeszcze niedawno przedstawiał jako proste, oczywiste i wymagające jedynie kilku telefonów. Spotykani przypadkowo muzycy tłumaczyli się nawałem prób, ilością koncertów i koniecznością pilnych wyjazdów.

Raz tylko jeden z muzyków przyprowadził do mnie dwóch swoich znajomych, którzy twierdzili, że są dobrze ustosunkowani w głównym urzędzie ceł. Uzgodniliśmy cenę, pobrali pewną kwotę tytułem zwrotu kosztów własnych i zaraz ruszyli do działania. Wrócili po miesiącu i powiedzieli, że nic się nie da zrobić.

Któregoś ranka, będąc w dobrym nastroju, usiadłem za biurkiem i napisałem list do urzędu celnego w Brześciu. Zawiadamałem w nim, że wszystkie instrumenty przekazuję nieodpłatnie dzieciom celników tamtejszego urzędu. Swoje postanowienie wyjaśniłem chęcią zapewnienia dzieciom godziwej nauki i rozrywki. Wyraziłem też nadzieję, że od tej pory przestaną się bawić na podwórku w celników. Na koniec poprosiłem o listowne potwierdzenie przyjęcia darowizny.

Nigdy nie dostałem odpowiedzi, ale mam nadzieję, że instrumenty nie zostały przetopione i ktoś się jednak uczy na nich grać.

Wielki Handel SA

Gdybym skonfrontował swoje rosyjskie przeżycia handlowe z podręcznikami pierwszej z brzegu Najwyższej Szkoły Handlowej, musiałbym, niestety, dojść do wniosku, że zawarte w nich nauki mają z życiem raczej luźny związek. Cóż by się bowiem stało, gdyby wypudrowany wiedzą absolwent takiej Najwyższej Szkoły, teraz już przedstawiciel Wielkiego Handlu SA, został zrzucony do Rosji w celu opanowania tamtejszego rynku w dowolnej branży? Pierwsze olśnienie spłynęłoby na niego już w samolocie, bo wyglądając przez okienko, zobaczyłby niezmierzone połacie nie zaoranej, a żyznej ziemi. Jeszcze przed lądowaniem nabrałby więc głębokiego przekonania, że będzie to branża rolnicza, a chwilę później, schodząc po trapie, oczyma duszy widziałby już bardzo wyraźnie wartką rzekę płynących do Rosji traktorów.

Rzecz w tym, że podobnych olśnień doznają na co dzień wszyscy Rosjanie, jeśli oczywiście uznać za olśnienie konstatację, że słońce najpierw wschodzi, a potem zachodzi. Nie wiedząc jednak o tym, a będąc zachwyconym prostotą swego odkrycia, przyuczony do szybkiego działania przedstawiciel Wielkiego Handlu SA zapragnąłby od razu gruntownie zapoznać się z tematem.

Na dobry początek złożyłby w kancelarii ministerstwa rolnictwa eleganckie pismo z prośbą o udostępnienie podstawowych danych związanych z zagadnieniem zapotrzebowania na traktory. Po dokonaniu tej czynności, zadowolony, udałby się na spacer po mieście, a poczynione w jego trakcie obserwacje pozwoliłyby mu przyrównać się do orła krążącego wśród wróbli.

I to byłby pierwszy jego błąd. Nie chodzi o zbyt górnolotne porównanie, ale o fakt, że w piśmie do

ministerstwa nie wymienił nazwiska konkretnego urzędnika, do którego swe pismo kieruje. Zostałoby więc ono potraktowane w zasadzie jak anonim i odłożone na bok jako niezbyt pilne. Po kilku może dniach pracownica kancelarii, chcąc akurat zrobić porządek na swym biurku, przekazałaby pismo starszemu referentowi, który znany jest w ministerstwie z tego, że lubi czytać przy herbacie różne ciekawostki. Starszy ów referent przeczytałby je pewnie na głos swym kolegom, dodając od siebie komentarz, że ministerstwo nie zajmuje się udzielaniem korepetycji, co wywołałoby ogólną wesołość. Po czym, upewniwszy się, że do pisma nie zostały dołączone rekomendacje jakiejś ważnej osobistości, odłożyłby je na bok jako niezbyt pilne.

Po tygodniu bezowocnego oczekiwania przedstawiciel Wielkiego Handlu SA, nieco zniecierpliwiony, udałby się do ministerstwa osobiście i już przy wejściu zażądałby spotkania z jakimś co najmniej dyrektorem. Ministerialny portier, widząc, że ma do czynienia z nietutejszym, wyjaśniłby, że chcąc spotkać się z wyższym urzędnikiem, należy najpierw zapisać się na wizytę u jego sekretarki. Ona zaś przebywa w delegacji i wróci za trzy dni.

Wzburzyłoby to z pewnością przedstawiciela Wielkiego Handlu SA, ale nie bardzo wiedziałby, jak się zachować, bo sztuki negocjowania z portierami nigdy nie przerabiał. Odwróciłby się więc na pięcie i, napuszony, bez słowa opuściłby gmach ministerstwa.

I cóż by mu takie zachowanie dało?

Po trzech dniach zostałby przez sekretarkę jedynie zwięźle poinformowany, że jak chce, to może zostać wpisany na listę audyencji na pozycji sto czterdziestej dziewiątej. A gdyby się tak przed portierem nie wywyższył, to dowiedziałby się przynajmniej od niego, że akurat w tym tygodniu wypadają imieniny sekretarki. Wtedy wystarczyłoby kupić jakiś drobny suvenir i po miłej pogawędce znalazłby się w pierwszej piętnastce, a być może dowiedziałby się jeszcze co nieco o przyzwyczajeniach wysokiego urzędnika.

Czekając na swoją kolejkę, przedstawiciel Wielkiego Handlu SA stanąłby przed problemem zagospodarowania nie zaplanowanego czasu wolnego. I nie bardzo wiedziałby, co ze sobą zrobić, bo takiego zagadnienia w Najwyższej Szkole też nie przerabiał. Do kina by nie poszedł, bo podczas delegacji służbowej nie wypada oddawać się rozrywce. W barze też by nie posiedział, bo spożywanie alkoholu w pracy jest zabronione, a ile można wypić wody sodowej. Snułby się więc bez celu, próbując wykrzesać w sobie upór i determinację. Już zawczasu dzień wizyty u wysokiego urzędnika nazwałby w myślach dniem wielkiego przełomu. Nie wiedziałby jeszcze wówczas, jak bardzo pochopne jest to przeświadczenie.

Utarło się tak w wielu krajach, że ludzie wymagają od urzędnika tego, czego nigdy nie wymagaliby od samych siebie. Tak bardzo się do tej komfortowej sytuacji przyzwyczajają, że gdy znajdą się w kraju, w którym panuje równość wymagań, wyrażają najpierw swoje zdziwienie, a następnie dezaprobatę. Przedstawiciel Wielkiego Handlu SA nie byłby tu wyjątkiem. Idąc na spotkanie z wysokim urzędnikiem, spodziewałby się, że nie tylko podsunie mu on związane z zapotrzebowaniem na traktory opracowania resortowe, ale również podzieli się swą własną wiedzą i udzieli kilku dobrych rad. Tymczasem urzędnik, słysząc te prośby, spojrziałby na niego ze zdziwieniem, jakby chciał zapytać: a właściwie dlaczego miałbym to wszystko zrobić? Czyż normalny człowiek mówi wszystko, co wie, komuś, kogo pierwszy raz w życiu widzi na oczy? Urzędnik, jak każdy normalny człowiek, nie może sobie pozwolić na to, żeby potraktowano go jak narzędzie, a potem porzucono. Czyż dzięki jego wiedzy inni mają robić różne świetne interesy, a on ma pozostać przy gołej pensji? Nie, nie kolego - zdawałby się mówić urzędnik - tak na pewno być nie może.

Dlatego też owszem, przy pierwszym spotkaniu przedstawiciel Wielkiego Handlu SA usłyszy wiele rzeczy - bo w końcu urzędnik pełni urząd i musi coś powiedzieć - ale na pewno nie takich, które mówi się dobrym znajomym i przyjaciółom. Dowie się więc jedynie, że nie ma już w Rosji przymusu orania traktorem, co poważnie utrudnia jakiegokolwiek szacunki. Nie wiadomo też właściwie, ile jest ziemi ornej, a ile nieużytków, bo kryteria ich odróżniania zbyt często się zmieniają. Wiele kołchozów podupało, choć równie wiele się wzbogaciło. A skoro się wzbogaciło, to znaczy, że traktory już sobie kupiło. Chłopi, jeśli gdzieś występują, to na pewno, jak wszyscy, nie przyznają się do swych dochodów, w związku z czym banki nie udzielą im kredytów. Zresztą, tak po prawdzie, rolnicy najpierw kupią sobie samochody, bo to pojazdy bardziej wszechstronne. Najlepiej więc wstawić

traktory do punktów sprzedaży samochodów w Moskwie. Wtedy się zobaczy, czy w ogóle jest na nie jakiś popyt.

Opierając swój osąd generalny na tej pierwszej rozmowie, przedstawiciel Wielkiego Handlu SA zawiadomiłby centralę, że rosyjska struktura agrarna jest niepoznawalna, więc nie ma szans na przeprowadzenie poważnych badań marketingowych, bo nie ma danych wyjściowych. A bez marketingu, jak nauczają Najwyższa Szkoła, nie ma handlu. Centrala, wykształcona w tej samej szkole, zgodziłaby się z tym poglądem i natychmiast odwołała swego przedstawiciela, żeby nie tracić więcej na jego dietach. Tym samym przedstawiciel Wielkiego Handlu SA podzieliłby los setek i tysięcy mu podobnych, którzy opuszczają Rosję po pierwszym spotkaniu z przekonaniem, że owszem, jest to wielki kraj wielkich możliwości, ale nie dorósł on jeszcze do teorii handlu.

A wszystko mogłoby się potoczyć inaczej, gdyby przedstawiciel Wielkiego Handlu SA wiedział, że do przemowy urzędnika nie należy przywiązywać zbyt wielkiej wagi, ponieważ jest ona tylko chwilowym efektem sprzeczności i namiętności, które targają jego duszą. Z jednej strony bowiem sam fakt, że cudzoziemiec chce robić w Rosji interesy, jest dla rosyjskiego urzędnika w zasadzie obraźliwy, bo sugeruje, że Rosjanie sami nie potrafią ich robić. I nie dość, że próbuje taki cudzoziemiec występować w roli misjonarza, to jeszcze zachowuje się przy tym nadzwyczaj grzecznie, co dowodzi, że traktuje Rosjan jak nieobliczalnych tubylców, z którymi na wszelki wypadek trzeba postępować ostrożnie. Z drugiej jednak strony niewybaczalnym błędem i głupotą byłoby nie skorzystać jakoś z pieniędzy, które niechybnie cudzoziemiec ma przy sobie. Nawet zwykła ludzka ciekawość nakazywałaby sprawdzić, ile tych pieniędzy może on mieć. Ale jak to zrobić, zachowując przy tym wyniosłą obojętność reprezentanta wielkiego mocarstwa? Nie jest to, każdy przyzna, taka prosta sprawa. Wysoki urzędnik uznał więc, że w czasie pierwszej rozmowy z cudzoziemcem należy go do interesów zniechęcić, równocześnie zachęcając.

Gdyby przedstawiciel Wielkiego Handlu SA to wszystko wiedział, to podziękowałby urzędnikowi za wszechstronne informacje, a przy pożegnaniu opowiedziałby jakiś dowcip. Następnego dnia rano, pod pretekstem, że czegoś zapomniał, zjawiłby się w ministerstwie ponownie i być może udałoby mu się niezobowiązująco pogawędzić z urzędnikiem o aktualnościach. Jeśli nie, to spróbowałby przynajmniej zaprosić sekretarkę na kolację, wychwalając przy tym jej nowy żakiecik. . W poniedziałek zadzwoniłby, prosząc o poradę w ważnej dla siebie, a błażej dla urzędnika sprawie. We wtorek zajrzałby do ministerstwa przypadkiem, a od środy zacząłby w nim bywać codziennie. Pozdrowiałby portierów i spacerujących po korytarzach zwykłych urzędników, a od czasu do czasu spotykałby kogoś ważniejszego i siłą rzeczy wymieniałby z nim poglądy.

I tak, krok po kroku, tydzień za tygodniem i miesiąc za miesiącem, uznano by go w końcu za bezinteresownego człowieka interesu, który nie przyjechał do Rosji po to, żeby ją ograbić, ale przeciwnie - dobro Rosji leży mu na sercu. Nikt też nie miałby już wówczas wątpliwości, że swoimi sukcesami finansowymi na pewno potrafi podzielić się z innymi.

Trzeba oczywiście zaznaczyć, że broń Boże nie chodzi tu o jakieś łapówki. Z łapówką mamy do czynienia wtedy, gdy przychodzi interesant do urzędnika i mówi wprost, że za załatwienie sprawy daje tyle to a tyle rubli albo dolarów, i urzędnik się na to zgadza. Wtedy tak, wtedy byłaby to zwykła korupcja. A my mówimy już o kręgu dobrych znajomych, którzy wzajemnie sobie pomagają w różnych sprawach i od czasu do czasu, jak to wśród znajomych, z różnych okazji wręczają sobie różne prezenty.

Zaliczony więc do kręgu biznesmenów szkodrobliwych, przedstawiciel Wielkiego Handlu SA stałby się bywalcem rautów, przyjęć, jak również kolacji w szerszym i węższym gronie. Poznawałby coraz to nowych dyrektorów, prezesów, przewodniczących i naczelników. Z większością z nich wypijałby bruderszafta i zapisywałby ich prywatne numery telefonów. Żaden z jego rozmówców nie ukrywałby, że ma własną, globalną koncepcję uzdrowienia państwa i gospodarki. Rozmach tych koncepcji zapierałby dech w piersiach, a wymieniane sumy przyprawiałyby o zawrót głowy. No cóż - myślałby przedstawiciel Wielkiego Handlu SA - Rosja jest wielka, to i sumy muszą być ogromne. Dziwiłby go tylko fakt, że jakoś nikt nie mówi o konkretach. Nawet bowiem deputowany z partii agrarnej po przedstawieniu któregoś wieczoru swego programu naprawy rosyjskiego rolnictwa, wznosząc kieliszek, nie wspominałby nic o traktorach, a zakrzyknąłby jedynie: -Za Rosję!

- Za Rosję! - odkrzyknąłby śmiało przedstawiciel Wielkiego Handlu SA, bo zdałby sobie w tym momencie sprawę, że jeśli nawet nic nie wyjdzie z traktorami, to skoro zna ludzi o tak szerokich horyzontach, jakiś interes, prędzej czy później, musi mu się udać. Pytanie tylko: kiedy? I być może już po następnym toaście zrozumiałby wreszcie to, czego nie potrafiło pojąć wielu jego poprzedników: jeśli się nie chce przepuścić okazji, to trzeba w Rosji zamieszkać na stałe.

Nie jest wcale powiedziane, że byłby to koniec jego istotnych przeżyć tego wieczoru. Wracając bowiem do hotelu w wybornym humorze, zagadnąłby w końcu recepcjonistę, czego do tej pory nie zrobił, bo mu to nie wpadło do głowy. Od słowa do słowa okazałoby się, że recepcjonista posiada bardzo szerokie, choć z natury swego zawodu powierzchowne, kontakty w wielu branżach. Na przykład - powiedziała - ta wytworna dama, siedząca od wczoraj w restauracji przy stoliku numer osiemdziesiąt sześć, to Anna Karenina z Pskowa, prezeska Wszechrosyjskiego Handlu Ltd, specjalistka w dziedzinie maszyn rolniczych.

- Mówi się - dodałby recepcjonista konfidencjonalnie - że najbardziej interesują ją mercedesy o dużej mocy silnika, zdolne uciągnąć zepsute kombajny zbożowe.

Nie zastanawiając się wiele, przedstawiciel Wielkiego Handlu SA stanąłby przy stoliku numer osiemdziesiąt sześć, przedstawiając się swym pełnym tytułem. Po godzinie wzajemnych grzeczności i popijania coraz to droższych gatunków koniaków rozmowa, chcąc nie chcąc, musiałaby zejść na problemy gospodarki rolno-spożywczej.

W przeciwieństwie do wysokich urzędników i większości notabli Anna Karenina okazałaby się osobą bardzo konkretną. Słyszając o traktorach, natychmiast zadeklarowałaby, że gotowa jest kupić każdą ich ilość. Oczywiście, nie wszystkie naraz, ale, powiedzmy, pięć sztuk na dobry początek, a potem stopniowo resztę. Jeśli będą to traktory z elektronicznym wtryskiem paliwa, o przebiegu mniejszym niż sto tysięcy kilometrów, skłonna jest zapłacić po osiem tysięcy dolarów za sztukę, zaliczka do uzgodnienia. I na dowód, że jej propozycja jest jak najbardziej poważna, Anna Karenina dyskretnie otworzyłaby torebkę, w której zobaczyłby na własne oczy bardzo dużo dolarów.

Oszołomiony nieco przedstawiciel Wielkiego Handlu SA poprosiłby o jeden dzień czasu do obliczeń i namysłu. Niemniej, wiedziony zawodową ciekawością, zapytałby, gdzie i komu zamierza ona sprzedać każdą ilość traktorów. Początkowo Anna Karenina krygowałaby się z odpowiedzią, bo winna to być tajemnica handlowa, ale w końcu, po namowach, uległaby kobiecej słabości zaimponowania mężczyźnie.

Zauważyłaby tytułem wstępu, że nomen omen, wielki handel wymaga niekonwencjonalnego podejścia do każdego towaru, z czym przedstawiciel Wielkiego Handlu SA skwapliwie by się zgodził. I otóż właśnie, wszyscy patrzą na traktor jak na maszynę do orania albo, szerzej, na pojazd do ciągnięcia czegoś innego, szczególnie przydatny w rolnictwie. Tymczasem można go potraktować abstrakcyjnie, bez związku ze strukturą agrarną, arealem i zamożnością rolników. Ona na przykład, Anna Karenina, może kupić każdą ilość traktorów po osiem tysięcy dolarów, z tym, że na dobry początek pięć sztuk, bo spotkała ostatnio, nie dalej jak tydzień temu, Borysa Godunowa z Woroneża, który powiedział jej, że chętnie kupiłby każdą ilość traktorów po dziewięć tysięcy dolarów, z tym, że na dobry początek wzięłby pięć sztuk. A dlaczego on chce kupić tyle traktorów? Ponieważ widział się ostatnio z Andriejem Rublowem z Odessy, który jest zainteresowany kupnem każdej ilości traktorów po dziesięć tysięcy dolarów, z tym, że na początek chciałby pięć sztuk. A dlaczego on - uprzedziłaby pytanie Anna Karenina - chce kupić tyle traktorów? Z nim akurat nie będzie żadnych problemów, gdyż jego znajomości w świecie biznesu są powszechnie znane i podziwiane.

Oczywiście, jak to w handlu, zawsze może znaleźć się czarna owca, która nie dotrzyma umowy i ktoś inny na tym straci, a może nawet ogłosi w telewizji bankructwo. No cóż, bankructwo to nie żadna nowość w świecie wielkich interesów.

- Zapewniam was jednak - zapewniłaby Anna Karenina - że taka czarna owca spotkałaby się z potępieniem całego środowiska i nie byłaby brana pod uwagę w przyszłych interesach, nie mówiąc już o nominacji do tytułu biznesmena roku. Ale to oczywiście drobiazg w porównaniu z korzyściami, jakie może przynieść niekonwencjonalne spojrzenie na traktory. Iluż ludzi znajdzie zatrudnienie przy ich załadunku i rozładunku! Jakże wzbogacą się koleje państwowe! Deż kwitów i papierów będą musieli wypełnić biurokraci i kontrolerzy! Ile podupadłych miast i miasteczek dozna dzięki tym

transportom podniecającego uczucia ożywienia gospodarczego!

- Tak to już jest - zakończyłaby sentencjonalnie Anna Karenina - że wszyscy obcokrajowcy podziwiają przy każdej okazji wielkość Rosji, ale mało kto potrafi wyciągnąć z tego praktyczne wnioski. A wystarczy spojrzeć na mapę, żeby się przekonać, jak długie są linie kolejowe i w jak wielu rozchodzą się kierunkach. Ileż to mogłoby być transportów... Aż tza się w oku kręci...

Następnego dnia rano przedstawiciel Wielkiego Handlu SA udałby się do pobliskiego Biznes-Center, do którego wstęp kosztuje dziesięć tysięcy dolarów, aby połączyć się przez satelitę ze wszystkimi znanymi sobie fabrykami traktorów. Wypytałby je o ceny, zniżki, rabaty i wyprzedaże sezonowe, a następnie przeprowadziłby komputerową symulację kosztów transportu w wariantach ziemia-ziemia, ziemia-powietrze i ziemia-woda. Przeanalizowałby też kursy walut na wszystkich giełdach i we wszystkich kantorach w ciągu ostatnich trzech lat. Wyliczyłby cła z uwzględnieniem kosztów tranzytu we wszystkich krajach sąsiadujących z Rosją oraz w tych, które mogą z nią sąsiadować w najbliższej przyszłości. Sprawdziłby tabele opłat, dopłat i przedpłat, a ponieważ, jak zwykle, byłby ostrożny, przejrzałby również taksy i taryfy. I wyszłoby mu, że w wariacie minimalnym zysk ze sprzedaży pięciu traktorów wyniesie dwa i osiem dziesiątych procent, a w wariacie optymalnym dwa i dziewięć dziesiątych procent.

Zachwycona wszechstronnością kalkulacji i zaistnieniem zysku już przy pierwszej transakcji, centrala nakazałaby swemu przedstawicielowi podpisanie umowy, pobranie zwyczajowej zaliczki i powrót do domu. W kierownictwie Wielkiego Handlu SA zapanowałoby wielkie podniecenie. Na zebraniach dyrekcyjnych nie raz i nie dwa przywoływano by powiedzonko o zarzuconej wędce i rybce, która połknęła haczyk. Na odprawach dla sekcji strategów handlowych mówiono by o zdobytym przyczółku i konieczności rozwinięcia manewrów oskrzydających.

Rzeczywiście, na pierwszy rzut oka wydawałoby się, że radość w centrali Wielkiego Handlu SA była uzasadniona. Jej przedstawiciel osiągnął to, co nagradza się awansem i powszechnym szacunkiem: podpisał kontrakt w wielkim i nieznanym kraju. Czyż nie jest to okazja do otwarcia szampanów, gratulacji i uścisków?

- Niestety, nie jest - odparłby sprzedawca sznurowadeł i pasty do butów z Charkowa, gdyby przypadkiem takie pytanie mu zadano. Zachwyty nad zawartą umową przypominałyby mu raczej egzotyczny i wielce zabawny taniec nad jakimś fetyszem. Czyż nie są bowiem zabawni ludzie, którzy postanowili zdobyć biegun północny i za wart świętowania sukces uznali włożenie w tym celu ciepłych butów? Nie, zawarcie umowy to nie jest żaden koniec, ale zupełnie przeciwnie - skromniutki początek długiej i nieznannej drogi. A ponieważ sprzedawca sznurowadeł czytywał w młodości poezję" więc po łyku czegoś mocniejszego dodałby, że każda umowa handlowa jest tylko słabym i niepewnym swej przyszłości pąkiem, z którego owszem, może rozwinąć się kwiat o pięknych barwach i kształtach, ale może być też tak, że nie rozwinie się wcale, bo go zdepta jakiś nieznamy albo spadnie grad śmiertelny.

Taka ostrożna prognoza nie wynika bynajmniej z przeświadczenia, że rosyjscy kontrahenci to oszuści, po których można się spodziewać jedynie wszystkiego najgorszego. Prowadziłem interesy w różnych krajach i z ręką na sercu mogę powiedzieć, że wszędzie w równym stopniu natykałem się na ludzi, którzy całymi nocami myślą o oszukaniu kontrahenta, jak i na takich, którzy w nocy śpią, w dzień zaś dotrzymują słowa. Różnica, jeśli już, polega na sposobie -jedni oszukują w białych rękawiczkach, a inni gołymi rękami.

Cóż więc, jeśli nie oszukańczy kontrahent, może być przyczyną ostrożności przewidywać sprzedawcy sznurowadeł? Otóż jest nią fakt, że w Rosji umowa handlowa w żadnym wypadku nie jest wewnętrzną sprawą między kupującym a sprzedającym. Na jej zawarcie czekają z błyskiem w oku wszyscy ci, którzy z racji zajmowanych stanowisk mogą zdecydować o czymkolwiek, co bardziej lub mniej, pośrednio lub bezpośrednio wiąże się z wykonaniem umowy. Urzędnicy i funkcjonariusze wszystkich szczebli.

Oczywiście, można powiedzieć, że nie ma takiego kraju, w którym nie narzekano by na biurokrację. Wszędzie wymaga się nieskończonej ilości zezwoleń, pozwoleń i zaświadczeń. Powszechne jest ubolewanie nad straconymi godzinami, dniami i miesiącami, które spędza się w urzędach. Wszędzie też z zawiścią, ale i z podziwem patrzy się na tych, którzy mają do urzędów odpowiednie dojścia,

dzięki czemu skracają sobie czas oczekiwania. Krócej więc lub dłużej, z łapówką albo bez, w końcu jednak zdobywa się wymagany przez prawo papierek. I to jest, rzecz można, biurokracja bierna, we wszystkich krajach taka sama.

Ale w Rosji istnieje jeszcze, nie związana z wymogami żadnego prawa, biurokracja aktywna. Jest to powszechna, nieformalna działalność poszczególnych urzędników i funkcjonariuszy, polegająca na wyszukiwaniu wszystkich tych, którzy nie muszą, ale mogliby za coś zapłacić.

Jest rzeczą naturalną, że taksówkarz po to ma samochód, żeby wozić nim pasażerów i dobrze na tym zarabiać, a sklepikarz po to ma sklep, żeby sprzedawać towar i też dobrze zarabiać. Dlaczego więc z urzędnikiem czy funkcjonariuszem miałoby być inaczej? Nie ma on taksówki ani sklepu, ale ma pewną władzę, dzięki której też może dobrze zarabiać.

- Ale jakże to tak - wyrwało mi się kiedyś - przecież urzędnik dostaje pensję od państwa.

- A dlaczego - zamyślił się pewien młody pop, który na każdym kroku uważnie wsłuchiwał się w głos ludu - dlaczego taksówkarz nie wozi pasażerów po pięćdziesiąt rubli za kilometr, tylko po sto? Gdyby woził po pięćdziesiąt, to zarabiałby tyle co urzędnik, ale on wozi po sto, bo chce zarobić więcej. A dlaczego niby urzędnik ma być gorszy? Czy dlatego tylko, że został urzędnikiem, ma być biedniejszy od taksówkarza czy sklepikarza, który, nawiasem mówiąc, podnosi ceny cytrusów, jak mu się podoba? Wszyscy też dobrze wiedzą, że taki taksówkarz skorzysta z każdej okazji i jak mu się trafi pijany albo nietutejszy, to zażąda jeszcze więcej. Niby dlaczego urzędnik nie miałby skorzysta z okazji?

- Bo reprezentuje majestat państwa i mu nie wypada.

- Jaki znowu majestat? Majestat państwa to jest w Moskwie. To jest prezydent, rząd i armia. To są osiągnięcia naukowców i sportowców, loty kosmiczne i nasze wielkie terytorium. Cóż ma z tym wspólnego taki na przykład Chlestakow, który pracuje w magistracie i najzwyczajniej w świecie dorabia do pensji? A przy tym wiadomo, że to dusza człowiek i można ręczyć, że zostawi w spokoju emeryta czy zwykłego nauczyciela. No, chyba że go coś bardzo przycisnie.

Tak więc w tej, jakkolwiek patrzeć, sprzyjającej atmosferze trwają nieustanne poszukiwania okazji. Czynią to celnicy na wszystkich granicach i na wszystkich lotniskach, milicjanci wszystkich stopni i rodzajów służb, urzędnicy portowi, prokuratorzy, urzędnicy skarbowi, municypalni i ministerialni, funkcjonariusze ochrony kolei, urzędowi weterynarze, leśnicy, strażacy i któż tam jeszcze.

Wspomagając się wzajemnie albo konkurując ze sobą, poszukują jednego: towaru. Towar bowiem to materialny dowód, że gdzieś w pobliżu musi znajdować się gotówka.

Nie może to być jednak każdy towar czy pierwszy lepszy towar. Musi to być towar odpowiadający urzędniczej randze poszukującego. Ani za drogi, ani za tani, nie nazbyt ważny, ale też nie byle co.

Majora milicji z pewnością nie zainteresują dwie torby pasków skórzanych, a tym bardziej skóropodobnych. To dobre dla kaprała. Natomiast funkcjonariusz ochrony kolei, widząc dwadzieścia wagonów rudy uranu, może co najwyżej stanąć na bacność, bo tu nie ma nawet o czym gadać, za wysokie progi.

Co innego, jeśli trafi się na przykład pięć traktorów jakiejś prywatnej firmy, najlepiej zagranicznej, ale mało znanej, to znaczy takiej, która nie daje reklam w telewizji. Wtedy bez specjalnych obaw można taki transport zatrzymać do wyjaśnienia. Jeśli okaże się, że papiery są w zasadzie kompletne, to przecież nie znaczy, że muszą być autentyczne. A badanie autentyczności to, jak wiadomo, nie jest prosta sprawa i wymaga czasu. Zawiadomiony właściciel, chcąc przyspieszyć procedurę, zacznie się oczywiście chwalić swoimi kontaktami z różnymi osobistościami. Ale Rosja to nie Belgia, gdzie się wszyscy znają, więc przywołane przez niego nazwisko deputowanego z Petersburga niewiele powie celnikowi na granicy z Chinami. Wnikliwe sprawdzanie autentyczności papierów może zatem potrwać trzy dni, może tydzień, a nawet i miesiąc - to zależy, kiedy właściciel przypomni sobie i wprowadzi w życie znaną zasadę, która mówi, że czas to pieniądz.

Mając więc przed sobą perspektywę ciągłego uiszczania niespodziewanych opłat o nieznaną wysokość, rosyjski handlowiec sceptycznie podchodzi do każdej umowy, a wielka radość z powodu samego jej zawarcia wydaje mu się zabawna i egzotyczna. Stąd też wynika i to, że rosyjski biznesplan niewiele ma wspólnego z biznesplanami germańskimi czy też anglosaskimi, które opierają się na założeniu, że wszystko wiadomo i że dwa plus dwa równa się cztery. Przygotowane przez Anglika czy

Niemca wyliczenia opłacalności Rosjanin umieściłby co najwyżej w aneksie, zaznaczając przy tym, że przedstawione liczby w dowolnej chwili mogą się zmienić o dowolny procent.

Szacując rzeczywistą opłacalność jakiegokolwiek kontraktu, rosyjski handlowiec musi sobie przede wszystkim wyobrazić, na kogo może się natknąć transportowany przez Rosję towar i co z tych spotkań może wyniknąć. Jeśli będzie on przywieziony statkiem, przeladowany w porcie na kolej, a następnie, pięć tysięcy kilometrów dalej, na dwadzieścia ciężarówek, które rozjadą się w różnych kierunkach, to jest jasne, że można to wszystko rozpisać na kosztowny serial detektywistyczny. Zresztą, to zależy od wyobraźni autora: równie dobrze może to być horror albo komedia pomyłek. Tak czy owak, rosyjski biznesplan to twór czysto artystyczny.

Wielkie pudło

Odwiedziłem kiedyś w Moskwie znajomych Rosjan, którzy zajmowali się handlem komputerami. Nie był to zwykły handel hurtowy, a przeciwnie - wysoce zindywidualizowany. Zatrudniali oni dwóch siedemnastolatków - geniuszy komputerowych, którzy potrafili przewidzieć, jakie będą kolejne kroki w ewolucji sprzętu komputerowego. Dokładnie je opisywali, a ich szefowie, czyli moi znajomi, wręczali te opisy ludziom godnym zaufania, którzy dużo podróżowali po świecie, prosząc ich, aby się rozglądali, czy podobny sprzęt już się gdzieś pojawił. W międzyczasie szukali klientów i bez trudu ich znajdowali, bo wielu było już Rosjan pragnących osiąść najnowsze i najdroższe cudo techniki. Merkantylną podstawą tego przedsięwzięcia było zarządzenie prezesa rosyjskiego urzędu ceł, zezwalające każdemu na przywóz jednego komputera bez żadnych ceregieli, czyli bez cła. Na zakończenie wizyty, w dowód zaufania, znajomi wręczyli mi kilkustronicową charakterystykę modelu komputera, który powinien się gdzieś pojawić lada chwila. Przyznam, że potraktowałem to wszystko jako zabawną ciekawostkę.

Chyba tydzień później pojechałem do Wiednia, gdzie byłem umówiony na jakieś trudne rozmowy handlowe w jednej z tamtejszych kawiarni. Ponieważ zakończyły się one nadzwyczaj szybko i pomyślnie, więc w dobrym nastroju odwiedziłem przy okazji jedno z tamtejszych laboratoriów farmaceutycznych i na tak zwanym pniu sprzedałem osiem gramów jadu żmii po pięćset dolarów za gram, co wprawiło mnie w jeszcze lepszy nastrój. I wtedy właśnie, spacerując nad Dunajem, przypomniałem sobie niedawną rozmowę o komputerach.

Zadzwoiłem do moskiewskich znajomych i upewniłem się na wstępie, że od czasu naszej rozmowy nie nastąpił żaden nowy krok w ewolucji komputerów. Zapewnili mnie również, że mimo upływu tygodnia, zarządzenie prezesa urzędu ceł nadal obowiązuje. Z rozmowy o szczegółach handlowych mogłem wywnioskować, że jeśli przywiezę to, co potrzeba, to zawartość mojego portfela zwiększy się o dalsze kilka tysięcy dolarów. Próbując, jak zwykle, przewidzieć wszelkie trudności, na które mogę się natknąć w Rosji, zupełnie nic nie przychodziło mi do głowy. Wyglądało na to, że będzie to moja pierwsza całkowicie bezbolesna rosyjska transakcja.

Pożądany komputer odnalazłem i kupiłem w ciągu dwóch dni, a trzeciego dnia, w piątek wieczorem, wylądowałem w Moskwie na lotnisku Szeremietiewo. Po wyjściu z samolotu załadowałem jakoś na wózek to swoje wielkie pudło i zielonym pasem ruszyłem do wyjścia. Zielony pas, dla tych, którzy nie mają nic do oclenia, namalowano zresztą całkiem niedawno. Złośliwi twierdzili, że dotychczas brakowało zielonej farby, ale myślę, że rzecz musiała mieć głębsze uzasadnienie. Przypuszczalnie na podstawie wieloletnich obserwacji stwierdzono definitywnie, że jednak zdarzają się ludzie uczciwi. Gdy jako ostatni z pasażerów mojego samolotu doszedłem do drzwi prowadzących na halę ogólną, stojący przy nich celnik zapytał mnie z nudów i chyba z ciekawości, co takiego mam w tym pudle. Odpowiedziałem, że komputer, a on wyraził przypuszczenie, że pewnie na sprzedaż. Dla zwykłej, niewinnej przekory odrzekłem, że tym razem nie na sprzedaż, ale w podarunku.

- To w takim razie musisz być bardzo bogaty - wyraził kolejne przypuszczenie.

- A owszem, jestem - potwierdziłem.

- To może i ja się wzbogacę - zagadnął zaczepnie.

- Nie tym razem - odparłem z uśmiechem.

Być może w moim uśmiechu zbyt dużo było pewności siebie, a może nawet nuta niedopuszczalnego lekceważenia w każdym razie celnik kazał mi się zatrzymać, przywołał swoich dwóch kolegów i nieprzyjaznym już tonem zakomunikował, że mój bagaż zostaje odwieziony do przechowalni w celu sprawdzenia zawartości.

Czując po zmianie tonu, że i sto dolarów już nic nie pomoże, a nawet może zaszkodzić, zapytałem mimo wszystko, dlaczego nie zrobią tego natychmiast. Usłyszałem w odpowiedzi, że nie ma na to czasu, gdyż właśnie kończy się dyżur, a poza tym takie wielkie pudło ma prawo otworzyć tylko naczelnik, który będzie w poniedziałek.

Cóż więc mogłem uczynić? Odebrałem pokwitowanie i pojechałem do miasta. Cały weekend mogłem poświęcić na wypoczynek.

W poniedziałek, skoro świt, pojechałem na lotnisko, które oddalone jest od miasta o dobrych trzydzieści kilometrów. Godzinę zajęło mi ustalenie, kto może coś wiedzieć w sprawie zatrzymanego komputera. Gdy trafiłem w końcu do właściwego pokoju, oświadczone mi, że rzeczywiście jest taka sprawa, ale może się nią zająć tylko naczelnik, który będzie w pracy najprawdopodobniej w środę.

- No dobrze, poczekam - powiedziałem ugodowo właściwie sam do siebie i wróciłem do miasta.

W środę poinformowano mnie, że naczelnik wyjechał w delegację i wróci w przyszłym tygodniu. Gdy zapytałem o jego zastępcę, usłyszałem, że nie ja będę decydował o tym, kto się moją sprawą zajmie.

Poprosiłem więc o przedstawienie przepisu, który wyraźnie stwierdza, że wielkie pudła może otwierać tylko naczelnik. Wywołało to ogólne zdziwienie, po czym dano mi niedwuznacznie do zrozumienia, że takimi uwagami mogę tylko pogorszyć swoją sytuację. Po chwili wahania zastosowałem się do tej sugestii i w milczeniu opuściłem pokój, a następnie lotnisko.

Ponieważ przyleciałem wtedy do Moskwy tylko w związku z komputerem, nie mogłem dłużej czekać.

Następnego dnia złożyłem w kancelarii lotniskowego urzędu celnego pismo, w którym domagałem się wyjaśnienia całej sprawy i zwrotu zatrzymanego komputera. Miła urzędniczka nie bardzo wiedziała, jak to moje pismo zakwalifikować: czy jest to zażalenie, prośba, czy też podanie. W końcu, po namyśle, wpisała do swego dziennika: „zapytanie” i poradziła mi przyjaźnie, żebym od czasu do czasu dowiadywał się, co słychać. Godzinę później siedziałem już w samolocie lecącym do Polski.

Po dziesięciu chyba dniach na mój warszawski adres przyszło pismo, w którym informowano mnie, że dopuściłem się przemytu o znacznej wartości, w związku z czym komputer ulega konfiskacie. Nie podawano żadnej podstawy prawnej ani numeru sprawy. Nie informowano o jakiegokolwiek możliwości odwołania się ani nie było podpisu. Dwa zdania na zwykłej kartce papieru, na której ktoś przystawił pieczętkę urzędu celnego Szeremietiewo.

Gdy po kilku dniach ponownie zawitałem do Moskwy, pierwsze kroki skierowałem do znanego mi już pokoju w urzędzie celnym. Zanim zdążyłem się odezwać, powiedziano mi, że informacji udziela wyłącznie kancelaria. Zaszedłem więc do kancelarii, a tam miłe panie urzędniczki ze współczuciem w oczach przekazały mi poufną w zasadzie wiadomość, że sprawę komputera przejął wydział do walki z kontrabandą.

Zabrzmiało to dość groźnie, więc wracając kolejny raz z pustymi rękami do miasta, postanowiłem, że przed podjęciem jakichś nowych, być może pochopnych, kroków należy zasięgnąć porady fachowca. Radca prawny w ambasadzie polskiej stwierdził, że moje słuszne przekonanie o własnej niewinności nie ma w takim przypadku żadnego znaczenia. Liczy się kwalifikacja prawna czynu, którą otrzymałem na piśmie, niechby i bez podpisu. A za taki postępek - radca sięgnął po kodeks karny - grozi kara od pięciu do ośmiu lat więzienia z zsyłką albo bez. Zsyłka, jako kara dodatkowa, zostanie orzeczona, jeśli nie wywrę na sędziach korzystnego wrażenia. Mówiąc to, radca z pewnym niesmakiem zerkał na moją flanelową koszulę, po czym wstał i odprowadził mnie do drzwi. Przy pożegnaniu, mimo że byliśmy w pokoju sami, pochylił się i szepnął mi na ucho, że najlepiej zrobię, jeśli przez nikogo nie zauważony odleczę do Warszawy.

Znajomi Rosjanie przyglądali się moim poczynaniom z troską i politowaniem. Można powiedzieć, że sprawa im pewien zawód, ponieważ sądzili, że jak na obcokrajowca, całkiem niezłe znam już Rosję, a więc szybko i po męsku pogodzę się ze stratą. Walka o odzyskanie komputera, który zniknął w czeluściach urzędu celnego, była dla nich oczywistym marnowaniem czasu i pieniędzy. Mogła spowodować również to - o czym mówili ze szczególną żałością - że nie będzie już można pokazać się

na Szeremietiewie w moim towarzystwie.

Ich bezgraniczna uległość nieco mnie zdenerwowała, choć pomocy mi nie odmawiali. Gdy postanowiłem odwiedzić jeszcze kilku miejscowych adwokatów, Tamara, najbardziej w naszych rozmowach sceptyczna, zobowiązała się załatwić mi książkę telefoniczną, żebym mógł spisać adresy i telefony zespołów adwokackich. Poszukiwania zajęły jej trzy dni i, jak przyznała, zakończyły się powodzeniem tylko dzięki temu, że spotkała przypadkiem znajomego ze studiów, który pracował w ministerstwie rybołówstwa.

Idąc za radą Tamary, wybrałem te kancelarie, które miały swoje siedziby w okolicach słynnego hotelu National i na Krasnoj Presni. Tamara uważała bowiem, że jeśli ktoś jest w stanie załatwić sobie lokal w samym centrum miasta, to znaczy, że ma znajomości w odpowiednio wysokich sferach. A w moim przypadku jest to rzecz najważniejsza, a właściwie jedyna, jakiej mi potrzeba.

Początek pierwszej wizyty zdawał się tę teorię potwierdzać. Przyjął mnie starszy wiekiem, energiczny adwokat, który swoim sposobem mówienia wywoływał wrażenie, że najcięższe nawet sprawy załatwia nie wychodząc ze swego gabinetu. Gdy jednak przedstawiłem mu szczegóły, których, prawdę mówiąc, nie było za wiele, rozłożył ręce i stwierdził z rozczarowaniem, że przychodzę do niego zbyt wcześnie. Należy poczekać na zaistnienie jakiegokolwiek pisma oficjalnego. Pozna się wówczas nazwiska sygnujących sprawę urzędników, a tym samym ich przełożonych. Dopiero wtedy, w zależności od ich rangi, będzie można wybrać odpowiednią taktykę działania. Podając mi rękę na pożegnanie, zalecił cierpliwość.

Jeden adres wykreśliłem z karteczki i poszedłem pod następny. Sekretarka już na wstępie odniosła się do mojej sprawy z powątpiewaniem, mówiąc, że nikt w jej zespole specjalizacji celnej nie posiada. Adwokat, który akurat przyszedł do pokoju sekretarki po łyżeczkę do herbaty, potwierdził jej słowa i wyjaśnił, że przepisy celne zmieniają się tak często, iż żaden normalny prawnik nie jest w stanie za nimi nadążyć.

Zresztą, gwoli ścisłości, adwokatura nie zajmuje się potyczkami obywateli z urzędami. Jeśli zaś chodzi o zredagowanie jakiejś skargi, to powinienem się zwrócić do biura pisania podań.

Żeby nie mieć wyrzutów sumienia, odwiedziłem jeszcze jedną kancelarię. Adwokat, który mnie przyjął, ku mojemu zdumieniu zaczął mnie dogłębnie wypytywać o szczegóły całej sprawy.

Interesowała go marka i cena komputera, oraz to, czy przywiozłem go prywatnie, czy też służbowo. Pytał, czy posiadam zarejestrowaną firmę i czy zajmuje się ona tylko importem, czy też eksportem. Ciekawiło go również, jak często przyjeżdżam do Moskwy i czy jest to moja pierwsza tego typu sprawa. Już miałem zamiar mu przerwać i zapytać ze swej strony, jakiego wywiadu jest agentem, gdy w tej właśnie chwili, kończąc litanię pytań, oświadczył, że nie jest agentem żadnego wywiadu. Pragnął jedynie dokładnie poznać tło i okoliczności mojej sprawy, która, jego zdaniem, nie kwalifikuje się do porady prawnej, a jedynie życiowej. A z tego, co usłyszał, wynika, że najlepiej zrobię, jeśli przez nikogo nie zauważony polecę do Polski i jakiś czas tam pomieszkam.

Nie mając wsparcia ze strony adwokatury, pojechałem następnego dnia do głównego urzędu ceł, żeby złożyć zażalenie na oddział celny lotniska Szeremietiewo, który dopuścił się wobec mnie czynów niezrozumiałych, a do tego nie reaguje na złożone w nim zażalenie. Pracownica sekretariatu, po dokładnym zapoznaniu się z treścią mojej skargi, wiedząc już, że jestem obcokrajowcem, zapytała, na jaki adres przysłać ewentualną odpowiedź: polski czy rosyjski? Odparłem bez zastanowienia, że na rosyjski, bo tak przecież będzie szybciej.

- Oj, widzę, że nie poznaliście jeszcze dobrze Rosji - zadumała się na chwilę sekretarka. - Lepiej podajcie adres polski, to sprawa nabierze charakteru międzynarodowego i wtedy idziecie mogli liczyć na szybką odpowiedź.

- No dobrze, niech tak będzie, jak mówicie - odrzekłem nieco zmieszany swoją naiwnością.

Planowany już wcześniej wyjazd do Polski przełożyłem o dwa dni, gdyż znajomi Rosjanie, poprzez innych swoich znajomych, umówili mnie na dwa spotkania z ludźmi, dla których ponoć nie było takiej sprawy na Szeremietiewie, jakiej nie mogliby załatwić.

Pierwszy z nich wyznaczył mi spotkanie w tak okropnej spelunie, że zanim się z nim przywitałem, wiedziałem już, że nic z tego nie będzie. Kiedy więc zaczął od tego, że ma brata, który służył w armii z pewnym celnikiem, zamówiłem po piwie i zmieniłem temat. Porozmawialiśmy chwilę o ogólnym

bałaganie, zapłaciłem rachunek i wróciłem do domu.

Drugi prezentował się z daleka jak dyplomata, ale gdy przyjrzałem mu się bliżej, odniosłem wrażenie, że garnitur ma z teatralnej wypożyczalni. Z pewnością siebie zawodowca powiedział na wstępie, że odzyskanie komputera będzie mnie kosztowało połowę jego wartości, a zaliczka wynosi tysiąc dolarów.

- Nic z tego - odrzekłem i zaproponowałem zrzutkę po dwa dolary. Wypiliśmy po małej wódce, porozmawialiśmy o ogólnym bałaganie, a na pożegnanie wymieniliśmy wizytówki.

Następnego dnia, przez wszystkich zauważony, wsiadłem do samolotu i odleciałem do Warszawy. Chyba tydzień później znalazłem w skrzynce pocztowej list ze stemplem rosyjskiego głównego urzędu ceł. Rozdzierając kopertę, z uśmiechem wspomniałem teorię sekretarki o wyższości adresu zagranicznego nad miejscowym. Mina mi jednak zrzędała, gdy przeczytałem zawartość. W jednym zdaniu informowano mnie uprzejmie, że moja skarga na oddział celny Szeremietiewo została przekazana do oddziału celnego Szeremietiewo.

Po następnych dziesięciu dniach ponownie znalazłem się na moskiewskim lotnisku i już w hali przylotów spotkałem znajomą celniczkę, która mnie uprzedziła, że nie mam po co iść do biura, ponieważ w mojej sprawie nic się nie zmieniło.

Wbrew wszystkiemu wiadomość ta wcale nie wpłynęła na mnie demobilizująco. Raczej przeciwnie. Jadąc do miasta, doszedłem do wniosku, że tylko częstymi wizytami wywrę na urząd odpowiedni nacisk psychologiczny. I już następnego ranka zostałem niejako zmuszony wprowadzić ten plan w życie, gdyż dobrzy znajomi poprosili mnie o podwiezienie na lotnisko.

Panie z sekretariatu urzędu celnego, do którego niezwłocznie zająłem, mówiąc mi to, czego się spodziewałem, miały jednak jakieś niewyraźne miny. Wyglądały na zakłopotane, a ich wzrok był jakby współczujący. W końcu jedna z nich wzięła mnie na bok i poradziła, żebym niepotrzebnie nie tracił czasu na przyjazdy tutaj, gdyż moją sprawą zajęła się Pietrowka.

Na dźwięk tego słowa natychmiast stanęło mi przed oczyma wszystko to, co mogłem sobie wyobrazić na podstawie rozmów z Rosjanami. Pietrowka to piekło, apokalipsa i koniec świata. To bezwzględna prokuratura, więzienie, najcięższe zbrodnie, lochy, dyby i wymyślne tortury.

Szybko się jednak opanowałem i mimo tych wszystkich, prawidłowych, skojarzeń postanowiłem, że na Pietrowkę również pojedę.

Okazało się, że nie jest to żadne ponure gmaszysko, ale całkiem przyjemnie wyglądający pałacyk. Przemknęła mi nawet przez głowę myśl, że muszą w nim pracować sami dobrzy ludzie. Jednakże już na przedpolu, przy bramie, zatrzymał mnie dobrze uzbrojony strażnik, wypytując obcesowo, kim jestem i po co tu przyszedłem. Odpartem, że szukam człowieka, który zajmuje się moją sprawą, a sprawa polega na przywiezieniu komputera. Taka odpowiedź niezbyt go chyba zadowoliła, gdyż zaczął coś niewyraźnie perorować, z czego zrozumiałem jedynie, że mam się wynosić, bo tutaj nie przychodzi się z wizytami towarzyskimi. Tutaj się jest wyłącznie wzywany.

- W takim razie poproszę w sekretariacie, żeby wysłano mi wezwanie - zagadnąłem pojednawczo, ale strażnik gwałtownie zastąpił mi drogę i omal nie doszło do przepychanki. Wobec przewagi jego uzbrojenia musiałem się wycofać.

Dwa dni później, mając wolne przedpołudnie, pojechałem na lotnisko i zupełnie beznamiętnym tonem opowiedziałem urzędniczkom celnym, że byłem na Pietrowce, ale ze względów formalnych nie zostałem przyjęty. Widząc, że nie przestraszyłem się wizji tortur i nadal wykazuję się uporem i determinacją, urzędniczki potraktowały mnie tym razem z wyraźnymi już oznakami sympatii.

Wręczyły mi papier kancelaryjny, posadziły przy oddzielnym stoliku, zrobiły herbatę i powiedziały, żebym wszystko jeszcze raz dokładnie opisał.

Napisałem kilkanaście stron, odtwarzając krok po kroku, szczególnie po szczególe, łącznie z tym, że celnik, który mnie owego feralnego dnia zatrzymał przy wejściu do hali ogólnej, miał przekrzywioną czapkę, rozpięte guziki i znudzony wyraz twarzy. W części teoretyczno-prawnej pisałem, że pod pojęciem kontrabandy o dużych rozmiarach można i należy rozumieć na przykład konwoj ciężarówek wypełnionych kamieniami szlachetnymi, które zamiast przez prawidłowo oznaczone przejście graniczne, próbują się przedostać bocznymi ścieżkami, a jak nie ma ścieżek, to pędzą na przełaj. Na dodatek schwytani w czasie nocnego odpoczynku kierowcy nie mają przy sobie żadnych papierów -

ani paszportów, ani tym bardziej faktur z odpowiednimi pieczętkami. I to jest bez wątpienia przestępstwo. Natomiast opisany wcześniej sposób przywozu jednego, jak najbardziej dozwolonego komputera należy uznać za podręcznikowy przykład szacunku dla państwa i prawa.

Po wspólnym wysłuchaniu całości tego elaboratu, co zajęło dobre dwadzieścia minut, miłe panie urzędniczkę pochwałyły moją umiejętność posługiwania się językiem rosyjskim, jak też zwróciły przychylną uwagę na występujące w tekście elementy literatury przygodowej. Oświadczyły całkiem spontanicznie, że zrobią wszystko, aby ta moja nowelka nie zaginęła gdzieś w szufladach. W sympatycznej atmosferze uzgodniliśmy na koniec wizyty, że od czasu do czasu będę się dowiadywał, co słychać.

I rzeczywiście tak było. Przez następne tygodnie co kilka dni, czy to przypadkiem, czy specjalnie, w każdej niemal wolnej chwili odwiedzałem sekretariat i wypytywałem o nowości. Pytałem też przy okazji o zdrowie, o zarobki i sytuację rodzinną, a jeśli wypadały imieniny którejs z pań, przynosiłem drobne prezenty. Pracownicy sekretariatu rewanżowały się, zaparzając w imbryku herbatę, częstując mnie herbatnikami i pozwalając zapalić przy tym papierosa. W powracających rozmowach o komputerze rozumiały moje zniecierpliwienie, a czasami nawet, wspólnie ze mną, bywały oburzone. Zdarzało się też, że czytały mi horoskopy z pism ilustrowanych i opowiadały swoje prorocze sny. Każde jednak spotkanie kończyło się smutną konstatacją, że nie można zrobić nic innego, jak tylko czekać.

Podczas jednej z takich wizyt spotkałem młodą i ładną Jugosłowiankę, która przyszła do urzędu w identycznej sprawie: też przyleciała samolotem, też miała ze sobą komputer i też zagadnął ją nudzący się celnik, a ona uśmiechnęła się nazbyt butnie. Opowiedziałem jej szczegółowo o moich doświadczeniach, po czym wdaliśmy się w miłą pogawędkę, bo dziewczyna rzeczywiście była ładna. Przy pożegnaniu wymieniliśmy numery telefonów, obiecując sobie spotkanie w razie konieczności. Zadzwoiła po kilku dniach, proponując mi spotkanie z prawnikiem, którego poleciła jej pracująca w ambasadzie rodzina. Okazało się, wbrew moim przypuszczeniom, że nie był to żaden ustosunkowany wyjadacz, ale zupełnie młody człowiek, który dopiero co skończył studia i praktykował w jakimś zespole adwokackim. Na pierwszy rzut oka było więc widać, że głównym jego atutem jest zapał. Zapytany przeze mnie o sposób, w jaki zamierza zabrać się do sprawy, odpowiedział bez wahania, że najpierw wyśle kilka stanowczych listów do coraz to wyższych instancji. Gdy z powątpiewaniem pokręciłem głową, zaczął mnie przekonywać, że list listowi nierówny. Na dowód swego twierdzenia wyjął z teczki papier firmowy, na którym zamierzał napisać swoje listy. Rzeczywiście budził on respekt. Nazwa zespołu adwokackiego wydrukowana była wielką, czarną czcionką, obok widniały odpowiednio wytłuszczone nazwiska adwokatów, poprzedzone tytułami naukowymi, a sam papier był najprzedniejszego gatunku.

Ponieważ młody ten człowiek okazał się niezwykle sympatyczny, a zapytany o honorarium, wymienił jakąś nieznaczną sumę, zgodziłem się, żeby występował w moim imieniu. To samo uczyniła zresztą wcześniej młoda Jugosłowianka. Zapisałem mu swoje adresy i telefony kontaktowe i życzyłem powodzenia. Wkrótce potem zaczęły się wakacje.

Pod koniec sierpnia, cztery miesiące po nieszczęśliwym incydencie na lotnisku, na mój warszawski adres przyszło znane mi już z widzenia pismo. Informowano w nim, że zostałem oczyszczony z zarzutu kontrabandy o dużych rozmiarach. W związku z powyższym skonfiskowany wcześniej sprzęt komputerowy podlega zwrotowi. Dwa zdania, bez podpisu, na zwykłym kawałku papieru, na którym ktoś przystawił pieczętkę urzędu celnego Szeremietiewo.

Gdy na początku września wylądowałem w Moskwie, pierwsze swe kroki, jak zwykle, skierowałem do pokoju znajomych celniczek. Tym razem jednak po to, aby podzielić się dobrą nowiną. Kupiłem kwiaty, a panie, szczerze uradowane, zaraz przygotowały herbatę i ciasteczka. W radosnej atmosferze wspominaliśmy wspólnie przebytą drogę, podkreślając co rusz, że nikt z naszego grona ani przez chwilę nie wątpił w szczęśliwe zakończenie. Trwało to wszystko chyba z godzinę, po czym udałem się do przechowalni po odbiór swojego wielkiego pudła.

Dyżurujący celnik po przeczytaniu pisma poprosił o wszystkie możliwe dokumenty i skrupulatnie je przeglądał, po czym udał się na zaplecze. Wyszedł po pięciu minutach, mówiąc, że sprawa jeszcze trochę potrwa. Po półgodzinie wyszło dwóch innych celników i jeden z nich, patrząc na mnie

stalowym wzrokiem, oświadczył, że komputer mogę odebrać tylko pod warunkiem, że wraz z nim odleczę natychmiast do Polski albo dokądkolwiek za granicę. Nie czekając na moją odpowiedź, zapytał konkretnie:

- Bierzesz go więc, czy nie bierzesz?

W tej krótkiej chwili musiałem zrozumieć, że wszelkie dywagacje o legalności nie mają najmniejszego sensu. Zostałem oczyszczony z zarzutu kontrabandy i miałem niepowtarzalną szansę odzyskać swoją własność. Po sekundzie wahania zwróciłem więc tylko uwagę, że z braku pieniędzy wolalbym pojechać pociągiem.

- Tu przyleciałeś, stąd odleczysz - padła równie konkretna odpowiedź.

Kiedy pod wieczór wylądowałem w Warszawie, nie pojechałem nawet do domu, ale prosto na dworzec kolejowy i wsiałem, wraz z wielkim pudłem, do pierwszego pociągu jadącego do Moskwy. Po dwudziestu czterech godzinach, przez nikogo nie niepokojony, dotarłem do swojego moskiewskiego mieszkania.

Rankiem zadzwoniłem do znajomych zajmujących się zindywidualizowanym handlem komputerami. Niestety, w międzyczasie ewolucja komputerowa uczyniła niejednego, ale chyba z pięć kroków w rozwoju, więc zawartość mojego pudła staniała, rzekłbym, w sposób znaczny.

Trudno powiedzieć, ile straciłem na całej tej transakcji, bo musiałbym przecież doliczyć wszystkie koszty dodatkowe. A gdyby nawet znalazł się taki rachmistrz, który potrafiłby je zliczyć, to zażyczyłby sobie z pewnością jakiegoś niebotycznego honorarium. Wolalłem więc poprzestać na konstatacji, że handel komputerami nie jest zbyt opłacalny, gdyż za szybko się one rozwijają.

Spotykając później znajomych Rosjan, którzy moją walkę o komputer uważali za szaleństwo, z pewną satysfakcją opowiadałem im o zakończeniu sprawy. Do niczego ich to jednak nie przekonało. Uważali po prostu, że odzyskałem swój komputer tylko dzięki temu, że trafiłem na prawnika, który był zbyt młody, żeby wiedzieć, iż z urzędem celnym nigdy się nie wygra.

Kawior

Różne pretensje mogą mieć Rosjanie do Napoleona Bonapartego, ale jedno muszą mu przyznać - to właśnie dzięki jego krwawej kampanii moskiewskiej kawior pojawił się na europejskich stołach.

Można się bowiem domyślać, że wypytywani po powrocie o wojenne wrażenia francuscy generałowie, jak wszyscy Francuzi po długiej podróży, koncentrowali się w swych salonowych opowieściach na częstotliwości i jakości posiłków, które przyszło im w Rosji spożywać. Gdyby wojnę wygrali, ich opowieści niewątpliwie byłyby pełne wyższości i lekceważenia. Jednakże w sytuacji, gdy jakiegokolwiek wzmianki o własnych talentach taktyczno-wojskowych musiały zabrzmieć groteskowo, tym bardziej i w dwójnasób skupiać się musieli na sprawach gastronomicznych.

Kawior, na który natknęli się w Rosji, został więc wyniesiony pod niebiosa tak gorliwie i tak przekonywająco, że po pewnym czasie mogło się wydawać, iż moskiewska wyprawa, choć nie przyniosła zdobyczy terytorialnych, to na pewno dokonała epokowego odkrycia, jeśli idzie o wrażenia smakowe. Niedowiarkom opowiadano prawdopodobnie o samym Napoleonie, który podczas kolacji po jakiejś tam bitwie skosztował kawiora osobiście i na oczach wszystkich poprosił najpierw o repetę, a potem o kilka porcji na wynos. Musiało to wszystko brzmieć wiarygodnie, bo wychwalanie kawioru stało się wkrótce dla Francuzów niemal patriotycznym obowiązkiem. Krążyły plotki, anegdoty i różne niestworzone historie. W kwiecistych oracjach posuwano się nawet do przyrównywania kawioru do eliksiru młodości i cudownego lekarstwa na wszystko. Przekazywane z salonu do salonu coraz to bardziej upiększane wieści przerodziły się niepostrzeżenie w falę rusofilstwa, która, emanując z Paryża, ogarniała kolejne europejskie dwory, pozostając w nich na wiele lat, a w niektórych nawet do dzisiaj.

Sprawy zaszły tak daleko, że nawet znacznie później każdego, kto próbował twierdzić, że również dobry jest kawior z innych, nierosyjskich ryb, uznawano za wroga Francji i Francuzów. Takie twierdzenie zawsze bowiem będzie równoznaczne z podaniem w wątpliwość nie tylko sensu napoleońskiej wyprawy, ale przede wszystkim niezbywalnego prawa Francuzów do rozstrzygnięcia, co

jest, a co nie jest godne podniebienia białego człowieka. Tak więc, w imię zachowania przyjaznych stosunków z Francją, przyjęto definitywnie i raz na zawsze, że najlepszy jest kawior rosyjski. Wypada zaznaczyć, że od samego początku całe to uwielbienie dla kawioru podszyte było, jak to u Francuzów, odrobiną hipokryzji. Na publiczne jego zachwalanie można było sobie pozwolić tylko dlatego, że w żaden sposób nie zagrażał on głębokiemu przeświadczeniu o absolutnej najlepszości francuskiej kuchni.

Cóż to bowiem jest kawior? Jest to, jakkolwiek patrzeć, zwykła, surowa ikra i fakt, że pochodzi od dziwnej i rzadkiej ryby zwanej bielugą, niczego tu nie zmienia. Można go podać co najwyżej jako przystawkę, przekąskę, hors d'oeuvre, ale w żadnym wypadku nie jest to danie, nie mówiąc już o potrawie. Nie ma w kawiorze żadnej głębokiej myśli kulinarnej, nie widać w nim ani cywilizacji, ani wielowiekowej tradycji kucharskich mistrzów. Nieprzypadkowo mówiło się o kawiorze i tylko o kawiorze, ale nigdy nie wspominało się w związku z nim o rosyjskiej kuchni. Nazywano go smakołykiem, rarytasem czy wniebowziętą pysznością, ale na pewno nie arcydziełem sztuki kucharskiej. I im bardziej zdawano sobie sprawę, że jest i pozostanie najznakomitszym, ale tylko dodatkiem, tym namiętniej go adorowano. Spełniał zresztą wszystkie wymogi idealnego obiektu pożądania - było go mało, był bardzo drogi i pochodził z kraju, którego się wszyscy bali. I, prawdę mówiąc, nic się w tej materii przez dwa stulecia nie zmieniło.

Nie ma dzisiaj takiej możliwości, żeby jakkolwiek obcokrajowiec, nawet najbardziej nieobyty kulinarnie, przyjeżdżając do Rosji, nie dowiedział się o istnieniu kawioru. Nawet jeśli nie zamieszka w hotelu, nie pójdzie ani razu do restauracji, nie wejdzie do żadnego sklepu spożywczego i w ogóle do nikogo się nie odezwie, bo przyjechał tylko popatrzeć, to i tak o kawiorze w końcu się dowie. Jadąc bowiem z powrotem, zostanie wypytany na granicy o cztery sprawy: broń, narkotyki, złoto i kawior. Przepuszczalnie zacznie się w tym momencie zastanawiać, jakaż to cecha wspólna łączy te przedmioty, ale widząc stalowy wzrok celnika, zrozumie, że na pewno za wszystkie grozi taka sama kara. I właśnie takie skojarzenie okaże się najbardziej trwałym.

Od tej pory, gdziekolwiek zostanie poczęstowany choćby szczyptą kawioru - na bankiecie czy na imieninach u teściowej - będzie miał wrażenie, że zjada coś bardzo ważnego. I niejako automatycznie przyrówna w myślach teściową do przemytnika narkotyków, handlarza bronią albo podejrzanego jubilera. A jeśli nawet te porównania nie wypadną zbyt przekonywająco, to przynajmniej pomyśli, że albo utrzymuje ona intymne kontakty z rosyjskimi władzami, albo po prostu przechytrzyła celników, co w jej przypadku będzie akurat najbardziej prawdopodobne.

O wyjątkowym znaczeniu kawioru dowie się też, chcąc nie chcąc, każdy, kto interesuje się sytuacją geopolityczną Rosji. Wystarczy, że włączy telewizor i trafi, o co nietrudno, na relację z jakiejś wojny, którą prowadzi aktualnie Rosja na swoich południowych granicach. Z całą pewnością usłyszy, że przeróżni rebelianci i bandyci, wykorzystując zamieszanie, przemycają nie tylko paliwo, karabiny i rakiety samosterujące, co zresztą rozumiały, ale również i kawior. Zwykły telewizz zareaguje na wiadomość o kawiorze jedynie wzruszeniem ramion, bo czegoż to się dzisiaj nie przemycą. Natomiast telewizz wnikliwy zada sobie natychmiast pytanie fundamentalne: a skąd go biorą, skoro go nigdzie nie ma?

W czasach, gdy jako organizator jeździłem z polskimi artystami do Związku Radzieckiego, często zwracano się do mnie z prośbą o załatwienie choćby kilku niewielkich puszek kawioru. Prosilili o to przeważnie artyści już dojrzały, którzy wiedzieli, co dobre, bo raczej nie zespoły młodzieżowe, które aluzyjnie kontestowały wszystko, na czym świat stoi, więc również i kawior.

Ponieważ w sklepach taki produkt w ogóle nie występował, a w hotelowych restauracjach nie sprzedawano go na wynos i głupio było zgarniać go z półmisek do torebek, ostatnią nadzieję pokładali artyści w drodze służbowej. Komsomolscy współorganizatorzy, którym te prośby przekazywałem, twierdzili jednak, że nic się nie da załatwić, gdyż szefostwo restauracji zajmuje w tej sprawie pryncypialne, zgodne z przepisami stanowisko. Informowani o tym artyści nie od razu ustępowali. Niektórzy, świadomi swej rangi artystycznej, sugerowali, żeby zwrócić się do wyższych instancji, powołując się przy tym na fakt, że są pokazywani w radzieckiej telewizji. Jednakże i taka argumentacja niewiele pomagała. Komsomolcy odpowiadali na drugi dzień, że jeśli ktoś tak bardzo pragnie zabrać kawior ze sobą, to winien w tej sprawie złożyć podanie. W przypadku pozytywnej

odpowiedzi otrzyma stosowne zaświadczenie, zezwalające na wywóz za granicę. Niektórzy byli nawet skłonni tak uczynić, ale gdy dowiadawali się, że cała procedura potrwa kilka tygodni, a cena eksportowa będzie sto razy wyższa od restauracyjnej, a do tego płatna w dewizach, w końcu rezygnowali.

Nie znaczy to wcale, że nigdy kawioru nie wywozili. Owszem, co bardziej zaradni artyści załatwiali go sobie jakoś w bufecie, a artystki, jak zawsze kokieteryjne, dostawały go w prezencie od wysokich rangą wielbicieli. Z przewiezieniem zaś kawioru przez granicę kłopotów żadnych nie mieli, bo w owym czasie pociągi z artystami to były pociągi pod specjalnym, dobrotliwym nadzorem.

Najwięcej kawioru przewozili jednak w tamtych czasach sportowcy, którzy równie masowo odwiedzali Związek Radziecki. Nie musieli oni, jak artyści, uciekać się do salonowych podstępów, w których zresztą nigdy artystom by nie dorównali. Mogli natomiast zupełnie otwarcie dać do zrozumienia swoim radzieckim partnerom, że niedostarczenie im odpowiedniej ilości kawioru będzie równoznaczne z ciężkim naruszeniem zasad szlachetnego współzawodnictwa.

Kawior bowiem, oprócz tego, że jest niezwykle pożądanym salonowym ozdobnikiem, jest również najczystsza, najbardziej naturalną i skondensowaną postacią protein. Uważano zresztą wtedy, że sukcesy radzieckich sportowców wynikają głównie z faktu, że kawior jest stałym dodatkiem do ich posiłków, a byli i tacy, którzy twierdzili, że codziennym daniem głównym. Musiało być w tym sporo prawdy, bo nawet chorobliwie ambitne, a zaprzyjaźnione Niemcy Wschodnie nie mogły liczyć na żadne stałe jego dostawy i zmuszone były aplikować swym sportowcom jakieś cudowne preparaty farmakologiczne, które przemieniały kobiety w monstra.

Co innego jednak stałe dostawy, a co innego kilka puszek wręczonych w czasie jakichś zawodów. Na to Rosjanie chętnie się godzili, bo takie prezenty od razu poprawiały atmosferę wśród bratnich sportowców, a i tak rzadko który obdarowany przeznaczał kawior do konsumpcji własnej. Większość wybierała wariant dalszej odsprzedaży z bardzo godziwym zyskiem. Zresztą, nawet sportowcy czuli, że kawioru nie powinno się tak po prostu zjadać. Kawior można skosztować, należy się nim delektować, ale raczej nie wypada smarować nim chleba jak marmoladą i wchłaniać samotnie na śniadanie. Kawior zjedzony w pojedynkę to kawior stracony - mawiają salonowi bywalcy.

Na początku lat dziewięćdziesiątych, a więc w latach przełomu, już jako indywidualny osobnik często przemieszkowałem w moskiewskim hotelu Rasija - największym w mieście i centralnie położonym. Traf chciał, że kwaterowali w nim również deputowani ludowi, którzy przyjeżdżali na obrady rosyjskiego parlamentu. Ponad dwa tysiące ludzi ze wszystkich zakątków Rosji, którzy, zajmując kilka pięter, tworzyli tymczasowe, dobrze zaopatrzone miasteczko. Podziemne hotelowe magazyny wypełniały się na czas ich pobytu odpowiednią ilością paczkowanych i butelkowanych artykułów spożywczych najwyższej jakości, które mogli oni wykupywać po znacznie obniżonych cenach albo, jako deputaty, odbierać za darmo.

Taka, a nie inna ilość dóbr przypadająca na głowę deputowanego była ulubionym tematem komentarzy hotelowej obsługi. Recepcjoniści mówili, że zależy ona bezpośrednio od liczby dni przewidywanych na każdą sesję. Pokojówki skłonne były twierdzić, że zależy bardziej od ilości, a bufetowe, że od ważności ustaw, które są akurat do uchwalenia. Natomiast kelnerzy niezmiennie powtarzali, że ilość darmowych dóbr zależy od popularności imienin, jakie w tym czasie wypadają. Tak czy owak, cała hotelowa obsługa, niczym wielka rodzina, z nadziejami wyczekiwała końca każdej sesji. Nie dlatego jednak, że miała w tym okresie nadmiar roboty, ale dlatego, że w magazynach zawsze coś po deputowanych pozostawało. Im bliższe miał ktoś związki pracownicze z magazynami, tym większe żywił nadzieje. A nie były to, jak mogłoby się wydawać, jakieś mizerne resztki po tych, którzy nie przyjechali, czy też nie zdążyli swych przydziałów odebrać. Można powiedzieć, że wręcz przeciwnie. Bardzo wielu deputowanych, zwłaszcza tych z dalekich stron, w ogóle swoich deputatów nie odbierało, bo uważali, że to nie wypada, że jakoś głupio objadać się darmowym kawiolem, jeśli jest się wybranym przez lud, który klepie biedę.

Oczywiście po wyjeździe deputowanych nie było żadnego dzikiego rozkradania magazynów; jakieś rozliczenia z pewnością prowadzono, choć wiadomo, że w takiej sytuacji tylko święty nie uszczknąłby czegoś dla siebie. Ilość przejętych dóbr najlepiej można było ocenić po łatwości nawiązania rozmowy w sprawie okazynego kupna kilku puszek kawioru. A jeśli żniwa były rzeczywiście obfite, to samemu

było się w tej sprawie zagadywanym.

Celowały w tym zwłaszcza panie etażowe - kobiety zawsze otyłe i zawsze po czterdziestce, które na wszystkich piętrach w strategicznych punktach widokowych miały swoje pulpity, skąd obserwowały, kto, gdzie, z kim i o której wraca albo wychodzi z pokoju. Doświadczeni goście traktowali te punkty obserwacyjne jako półtajne półbarki, w których o każdej porze można załatwić jakąś wypitkę i drobną zakąskę.

Gdy nastał czas przełomu i etażowe postanowiły przeskoczyć na drugą stronę barykady, starały się stworzyć wrażenie, że zawsze zajmowały się tylko i wyłącznie sprawami gastronomii. Ta zmiana wizerunku była im niezwykle potrzebna, gdyż za wszelką cenę chciały się znaleźć w awangardzie powszechnej prywatyzacji. W ich przypadku miała ona polegać na przekształceniu półbarków w barki stuprocentowe. I trzeba przyznać, że dopięły swego.

Tymczasem jednak nie przestawały lustrować korytarzy, choć czyniły to już, rzecz można, na pół gwizdka. Część swych spostrzeżeń przekazywały pewnie przełożonym, ale te najważniejsze zaczęły wykorzystywać do własnych celów marketingowych. W sprawie kawioru mogły się zwracać do takiego człowieka jak ja, gdyż z pobieżnych nawet obserwacji wynikało, że nie jestem członkiem żadnej oficjalnej delegacji i nie kręcą się wokół mnie przedstawiciele Komsomołu czy czegoś podobnego, którzy mogliby myśleć po staremu i zaszkodzić ich tajnym przygotowaniom prywatyzacyjnym. A ja, cóż? Kupując od nich od czasu do czasu trochę kawioru, utwierdzałem je w przekonaniu o opłacalności ich przemiany duchowej.

Jeśli wiozłem ze sobą do Polski dwie półkilogramowe puszki i rosyjscy celnicy mi je zarekwirowali, to mówiłem sobie: trudno, jakoś przeboleję. Gdy jednak zdarzyło się, że zabrali mi dziesięć takich puszek, a przy tym dość obcesowo mnie potraktowali, to z czystej chęci odwetu postanowiłem następnym razem przewieźć piętnaście. Udało mi się to raz i drugi, i już prawie moja żądza zemsty została zaspokojona, gdy za trzecim razem znowu zabrali mi wszystkie. Nie mogłem tego puścić płazem i w kolejną podróż wziąłem ze sobą dwadzieścia puszek. I znowu, raz mi się udało, a raz sprytniejsi okazali się celnicy.

Po jakimś czasie zauważyłem, że niezależnie od stanu rywalizacji z celnikami, ilość puszek w mojej lodówce wyraźnie przekroczyła moje możliwości bankietowe. Niejako więc z konieczności musiałem pomyśleć o ich korzystnej sprzedaży.

Najlepszą cenę spośród wszystkich znajomych zaproponowała mi Gerda, która prowadziła bufet w Deutsche Opera w zachodniej części Berlina. Serwowała w nim kanapki kawiorowe o wymiarach centymetr na centymetr i ciągle narzekała na brak surowca, przy czym nie chodziło jej o pieczywo. Nie tylko więc wyraziła chęć wykupienia wszystkich moich zapasów, ale też domagała się stałości i wierności w przyszłych dostawach. Z obliczeń wynikało, że jeśli nawet trzy razy celnicy wszystko mi zabiorą, ale uda się za czwartym, to całe przedsięwzięcie i tak będzie wysoce opłacalne. I nie byłbym chyba normalnym facetem, gdybym nie zadał sobie w tym momencie pytania dodatkowego: a co będzie, jeśli uda mi się za każdym razem?

Ponieważ Gerda była dziewczyną niezwykle miłą i sympatyczną, uznałem za swój obowiązek dostarczać jej choćby po kilka puszek, ilekroć udawałem się do Berlina. Przypuszczam, że miała jeszcze kilku podróżujących do Rosji znajomych o równym mojemu poczuciu obowiązku, gdyż po dwóch sezonach operowych pochwaliła się, że właśnie kupiła sobie połowę niewielkiej wyspy na Karaibach. I nie byłaby normalną kobietą, gdyby się przy tym nie rozmarzyła, jaki to świat byłby piękny, gdyby tak mogła pojechać do Rosji i wykupić cały tamtejszy kawior.

No właśnie - pomyślałem sobie wtedy na stronie - a ile tak właściwie mogłoby tego być?

Tak mnie to pytanie nurtowało, że będąc w Moskwie, zaszedłem do biblioteki miejskiej z zamiarem przewertowania rocznika statystycznego. Okazało się, że nie jest to wydawnictwo ogólnie dostępne, i odesłano mnie do bibliotek uczelnianych. Tam z kolei poproszono mnie najpierw o legitymację studencką, a po chwili, gdy już przyjrano mi się dokładniej, zapytano o stopień naukowy i temat przygotowywanej pracy, po czym, rzecz jasna, odprawiono mnie z kwitkiem. Dopiero w urzędzie statystycznym natrafiłem na sprzątaczkę, która widząc moją zafrasowaną minę, zlitowała się i poszła do najbliższego pokoju, skąd przyniosła mi rocznik sprzed trzech lat, ale zawsze.

Trud, który sobie zadałem, okazał się jednak daremny. Nie znalazłem ani słowa o kawiorze, nie było

też nic o połowach ani białugi, ani siewrugi, z których kawior jest ponoć najlepszy. Mogłem z tego wszystkiego wysnuć tylko dwa wnioski: albo kawior ma dla rosyjskiej gospodarki tak małe znaczenie, że nie warto o nim pisać, albo jego znaczenie jest tak duże, że nie należy o nim pisać.

Będąc jakiś czas później na kolacji u wszechstronnie odczytanych znajomych, zobaczyłem na półce encyklopedię i od razu coś mnie tknęło. Pod hasłem „kawior” znalazłem co prawda tylko definicję, pod hasłem „białuga” informacje ściśle ichtiologiczne, ale przy słowie „siewruga” podawano, że roczny jej połów wynosi jeden milion ton.

Przy skromnym założeniu, że jedna tona to dziesięć ryb, a każda z nich w szczytowym okresie nosi w sobie dziesięć kilogramów ikry, wychodziło sto milionów kilogramów kawioru. No, powiedzmy, dziewięćdziesiąt. Takiej ilości na pewno nie byłoby w stanie zjeść wszyscy deputowani, sportowcy i goście hotelowi razem wzięci, nawet gdyby żywili się wyłącznie kawiosem. A przecież pozostawała jeszcze białuga i zwykłe jesiotry. Pomyślałem oczywiście i o eksporcie, ale gdy szybko zsumowałem w pamięci wszystkie ilości kawioru, które widywałem na stołach, jeżdżąc po świecie, ciągle było mało. Coś w tym wszystkim się nie zgadzało. Gdzieś ten kawior musiał znikać. Któregoś niedzielnego poranka do mojego świeżo wynajętego moskiewskiego mieszkania zadzwonił znajomy pianista Fiodor i zaprosił mnie na niezwykle ciekawą, jego zdaniem, imprezę. Mając w perspektywie wolny wieczór, wyraziłem zgodę, ale Fiodor zaraz mi wyjaśnił, że mam przyjechać natychmiast, bo impreza już się rozpoczęła. Goląc się, z uznaniem myślałem o Fiodorze, który mimo lekceważącego stosunku swego środowiska do wszelkiego rodzaju chałtur, nie wahał się grywać na festynach dla dzieci. No bo cóż innego mogłoby to być w niedzielny poranek?

Pod wskazanym adresem nie było jednak żadnego parku, ale stał solidny gmach związków zawodowych. Gdy przy wejściu powołałem się na Fiodora, skierowano mnie do sali konferencyjnej. Już z daleka usłyszałem szum i gwar, a gdy wszedłem do środka, zobaczyłem tłum może dwustu, może trzystu starszych i bardzo starych panów, których zachowanie wskazywało, że odbywa się tu regularny piknik, tyle że pod dachem. Jedzono, pito i krążono po sali, a wszystkiemu towarzyszył nieopisany harmider i jeszcze głośniejsza muzyka. Co bardziej podchmieleni starszuszki tańczyli solo na parkiecie, a ich występy wzbudzały salwy śmiechu i oklasków. Z różnych stron słychać było gromkie toasty i równie gromkie złorzeczenia. Gdy dotarłem w końcu do podestu dla muzyków, Fiodor, nie przerywając grania, zdołał mi tylko krzyknąć, że to święto armii i kombatanci uczują. Po półgodzinie konferansjer zarządził antrakt, ponieważ kelnerki zaczęły właśnie roznosić w wiadrach gorące kotlety. Fiodor, który poczuł się moim przewodnikiem, od razu zaznaczył, że nie są to zwyczajne wiadra, ale wiadra specjalne. Usiedliśmy przy jakimś wolnym stoliku, ale o wyjaśnianiu dalszych niuansów nie mogło być mowy, gdyż mimo gorącego posiłku, trwało nieustanne krążenie i zagadywanie. Podchodzono do nas z butelkami, napełniano nam kieliszki i ostrzegano, jako młodych ludzi, przed różnymi wrogami Rosji, którzy na razie tylko udają, że są przyjaciółmi. Siwiuteńki starszuszka odradzał nam ze swej strony kontakty z tymi, którzy siedzą pod oknem, bo w czterdziestym trzecim byli oni żandarmami i za byle co pakowali swoich własnych kolegów do tury. Inny krewki kombatant próbował nam wytłumaczyć w kilku słowach, na czym polega potęga rosyjskiej armii, ale jakoś nie bardzo mógł się wyśłowić, więc w końcu zakrzyknął tylko: hurrraaa!

Rozglądając się w wolnej chwili po sali, spostrzegłem, że niemal na każdym stoliku, wśród butelek i jadła, leżą nienaruszone, dobrze mi znane puszki kawioru. Zdziwiony moim zdziwieniem Fiodor wyjaśnił, że nie ma w tym nic dziwnego, bo tak było zawsze. We wszystkie święta państwowe kombatanci udają się do specjalnych magazynów, w których mogą wykupić po normalnej cenie półkilogramową puszkę kawioru. Narzekają zresztą teraz na podle czasy, bo jeszcze kilka lat temu mogli kupić puszkę kilogramową.

Uzmysłowilem sobie w tym momencie, że tak naprawdę to nie mam pojęcia, co to znaczy normalna cena kawioru, bo też nigdy jeszcze normalnie go nie kupiłem. Sięgnąłem po najbliższą puszkę i zobaczyłem wytłoczony na wieczku napis: cena pięć rubli. Równało się to wtedy paczce dobrych papierosów. Zagadnięty w tej sprawie starszuszka odrzekł, że nie ma tu żadnej pomyłki, i wyraził zachwyt, że w Rosji taki rarytas tak mało kosztuje, bo pewnie gdzie indziej musiałby zapłacić jakieś krocie. Potwierdziłem to przypuszczenie i powiedziałem starszuszce, że chciałbym mieć pamiątkę z tego spotkania, więc proponuję mu za tę puszkę sto rubli. Dodałem też, że wytłoczona na niej cena

posłuży mi jako dowód wobec tych wszystkich cudzoziemców, którzy nie dowierzają, że w Rosji jest tak tanio. Staruszek zgodził się bez wahania.

Wracając do domu, mogłem zrobić podsumowanie. Kombatantów jest w Rosji może pięć, może dziesięć milionów i liczba ta powinna być stała, bo jedni umierają ze starości, ale coraz to nowi wracają z wojen. Oprócz święta armii jest jeszcze dzień zwycięstwa i rocznica rewolucji. Jakkolwiek liczyć, wychodzi kilkadziesiąt milionów kilogramów kawioru rocznie. Brakujące ogniwo zostało tym samym odnalezione, a wnioski teoretyczne nasuwały się same.

Po pierwsze, kawior dla jednych jest taki drogi, bo dla drugich jest taki tani. Po drugie, kawioru byłoby więcej, gdyby Rosja w końcu przestała prowadzić wojny. I po trzecie, kawioru byłoby jeszcze więcej, gdyby zniesiono w Rosji święta państwowe.

Uznałem, że nie wolno tego dorobku teoretycznego zaprzepaścić i warto go choćby w niewielkim stopniu wykorzystać w praktyce. Kawioru jest bowiem mnóstwo, trzeba tylko znaleźć się w tej grupie, dla której jest on tani. Ponieważ nie miałem szans zostać kombatantem, więc postanowiłem napisać list handlowy do największej fabryki kawioru, o której wiedziałem tylko tyle, że znajduje się w Astrachaniu, nad Morzem Kaspijskim. Wolnorynkowe reformy gospodarcze szły już w Rosji pełną parą, więc wydawało mi się, że taki list będzie rzeczą zupełnie naturalną.

Ustalenie pełnej nazwy fabryki i jej dokładnego adresu, mimo kilkudniowych starań, okazało się niemożliwe. Dzwoniłem do różnych kompetentnych urzędów i ministerstw, ale wszędzie zastaniano się niewiedzą, żądano pisemnego uzasadnienia albo oznajmiano po prostu, że to tajemnica służbowa. Sąsiad, któremu zwierzyłem się ze swego problemu, poradził mi, żebym zrobił tak, jak czynią to wszyscy, gdy mają jakąś sprawę do ważnej instytucji. Piszą wtedy krótko: Rada Ministrów, Moskwa. Albo: Mer Petersburga, Petersburg. Napisałem więc na kopercie: Fabryka Kawioru, Astrachań. Przedstawiłem się w liście jako importer zainteresowany nawiązaniem długofalowej, wszechstronnej i wzajemnie korzystnej współpracy. Podkreśliłem swą płynność finansową i zaproponowałem wyjątkowo dogodne warunki płatności. Zazaczyłem też, że w celu omówienia wszelkich szczegółów ilościowych i jakościowych jestem gotów przyjechać w każdej chwili. Na koniec, jak to zwykle w tego typu listach, poprosiłem o przystanie mi oferty handlowej, uwzględniającej możliwe upusty, rabaty i zniżki.

Odpowiedź otrzymałem nadzwyczaj szybko, bo już po trzech tygodniach. Informowano mnie w niej, że jednorazowo mogę zamówić dwie kilogramowe puszki. Cena wynosi dwieście dolarów amerykańskich za kilogram i żadne zniżki nie są możliwe. Czas realizacji zamówienia wynosi trzy miesiące od momentu zapłaty, a zapłacić należy całą sumę z góry, podając równocześnie adres, na który zostaną przesłane dokumenty uprawniające do wywozu towaru za granicę. Podpisano: komórka do spraw handlowych.

Jako cenną pamiątkę, schowałem list do szuflady zamykanej na klucz. I pewnie szybko bym o nim zapomniał, gdyby nie fakt, że dwa tygodnie później, po przyjeździe do Warszawy, żona wysłała mnie do sklepu po kartofle i krewetki. Żeby załatwić wszystko za jednym zamachem, poszedłem na pobliski bazar przy ulicy Polnej, najbardziej elegancki bazar w Warszawie. Kręcąc się między stoiskami i podziwiając bogactwo asortymentu, zauważyłem, bo chyba już byłem uczulony, znajomą niebieską puszkę kawioru. Z wystawionej ceny wynikało, że kilogram kosztuje sto dolarów, a więc o połowę taniej niż w odległej o trzy tysiące kilometrów fabryce. Zapytałem sprzedawcę, ile takich puszek mógłbym u niego kupić, a on, mierząc mnie krytycznym spojrzeniem, odrzekł, że na pewno więcej, niż zdołałbym udźwignąć.

Po powrocie do domu od razu napisałem list do Astrachania. Na wstępie poinformowałem, że w związku z nowymi okolicznościami mój pierwszy list się nie liczy i należy go uznać za niebyły. Następnie zaoferowałem sprzedaż kawioru po sto pięćdziesiąt dolarów za kilogram, ale zaraz dodałem, że jeśli fabryka okaże się stałym i solidnym odbiorcą, to możliwe będą różne zniżki. Zazaczyłem też, że jednorazowo można u mnie zamówić dziesięć puszek, ale w wyjątkowych wypadkach dużo więcej. Czas realizacji określiłem jako natychmiastowy, a sposób zapłaty pozostawiłem do oddzielnych negocjacji. Na zakończenie radziłem pośpiech, bo jest dużo chętnych. Odpowiedź, która przyszła tym razem po miesiącu, była raczej lakoniczna: fabryka nie skorzysta z mojej oferty, gdyż zajmuje się produkcją, a nie handlem. Podpisano: komórka do spraw handlowych.

Znając już trochę faktów związanych z cyrkulacją kawioru po świecie, miałem niejaki wątpliwości, czy napisano mi całą prawdę. Utwierdziłem się w tych wątpliwościach, gdy pewnego dnia, będąc w Moskwie, przeczytałem na pierwszej stronie jakiejś gazety o gospodyni domowej, która poszła na milicję z otwartą puszką szprotek. W środku, zamiast deklarowanych na etykiecie rybek, znalazła, jak ocenili eksperci, najwyższej jakości czarny kawior. Oczywiście pierwszym skutkiem tej informacji było to, że już wczesnym przedpołudniem nie można było kupić w Moskwie żadnej konserwy rybnej. Ponieważ w następnych dniach nikt nie zgłosił na milicji podobnego przypadku, część gazet próbowała całą sprawę zbagatelizować. Prasa kulturalna twierdziła jednakże z uporem, że brak nowych zgłoszeń świadczy wyłącznie o upadku moralności i cnót obywatelskich. Dziennikarze ekonomiczni z kolei dawali do zrozumienia, że za całą sprawą kryje się lobby rybne, które podstawiło tę kobietę, żeby zwiększyć popyt na swoje konserwy.

Przeważał jednak wątek kryminalny. Domagano się skrupulatnej kontroli we wszystkich fabrykach kawiorowych i szybkiego wykrycia przypuszczalnie międzynarodowej grupy przestępczej, która się w nich zagnieździła. Oskarżenia formułowano w takim tonie, jakby chodziło o kradzież narodowej relikwii albo wręcz samej rosyjskiej duszy. Przypominano podobne afery z przeszłości i wyolbrzymiano szkody, jakich doznał kraj i podobno każda rodzina.

Po raz kolejny stawało się więc jasne, że każdy, kto ma jakikolwiek handlowy związek z kawiozem, jest w zasadzie osobnikiem podejrzanym. Nigdy zresztą, nawet dosłownie, nie należało się w Rosji obnosić z kawiozem. Jedną puszkę, owszem, można było nieść w ręku tak, żeby wszyscy widzieli. Ale już dziesięć puszek lepiej było schować głęboko do torby.

Mieszkając w hotelach, które były centrami wymiany myśli kawiorowej, widziałem, jak po każdej takiej aferze zmniejszała się podaż i niedługo potem wzrastały ceny. Drobni sprzedawcy, którzy zwykle proponowali po kilka puszek, usuwali się na jakiś czas w cień. Ci zaś, którzy normalnie oferowali co najmniej kilkadziesiąt, schodzili do dwudziestu i przesuwali terminy realizacji. Tłumaczyli to ostrożnością hurtowników, u których się ponoć zaopatrywali, a którzy - jak się domyślano - wykonywali polecenia prawdziwych potentatów. O prawdziwych potentatach sądzono natomiast, że plan zmniejszenia dostaw wprowadzili w porozumieniu z fabrykami kawioru. Ponieważ jednak fabryki są państwowe - twierdzili niezależni obserwatorzy - to za wszystkim stoi rząd i to on właśnie, chcąc podwyższać ceny, od czasu do czasu wysyła na milicję gospodynię domową z otwartą puszką szprotek.

Atmosfera powszechnej podejrzliwości powodowała, że w ogóle unikano słowa „kawior”. Wszystkie związane z nim rozmowy, i te drobne, pięciopuszkowe, i te poważniejsze, wieloskrzyniowe, zawsze miały klauzulę sekretności i tajności. Mówiono szeptem, nachylano się do ucha i rozglądano dookoła. Oczywiście atmosferę konspiracji z całym wyrachowaniem potęgowali, jak tylko mogli, sami sprzedawcy, zwłaszcza ci drobni. Sprzedając obcokrajowcom kilka puszek, sami co prawda dokładnie oglądali pod światło każdy banknot, ale wręczając towar, zaraz przypominali o ogólnym zagrożeniu i natychmiast się ulatniali.

Wracali później cudzoziemcy do swych krajów i urządzając przyjęcia, mogli się chwalić, jaką to skomplikowaną i pełną niebezpieczeństw drogą udało im się zdobyć te kilka puszek. A kiedy wreszcie następowało ich uroczyste otwarcie, okazywało się, że w środku, zamiast kawioru, jest albo błoto, albo piasek. Albo i jedno, i drugie.

Wbrew odruchowym wyobrażeniom, żeby podmienić zawartość oryginalnej puszki, nie trzeba wcale dysponować skomplikowaną linią technologiczną ani też wchodzić w zmcowę z fabryką. Od niepamiętnych bowiem czasów puszki, w które pakuje się kawior, nie są zwykłymi puszkami, które raz otwarte, nie dają się już zamknąć. To raczej blaszane okrągłe pudełka nakrywane głębokim wieczkiem i przepasane bardzo obcisłą gumą, która zapewnia hermetyczność. Taki, zdawałoby się, prymitywny sposób pakowania ma jednak swoje ważne zalety. Przede wszystkim służy restauratorom, którzy serwują kawior raczej na gramy niż na kilogramy, więc po wydzieleniu odpowiedniej porcji mogą resztę hermetycznie zamknąć i tym samym przedłużyć jego świeżość. Z drugiej strony, gumowa opaska na puszcze jest tak obcisła, że jeśli ktoś bardzo często ją zdejmuje i nakłada, to może się łatwo skałeczyć.

Siadając zatem do negocjacji handlowych, i kupujący, i sprzedający patrzą sobie najpierw na ręce.

Jeśli pokaleczone palce ma sprzedawca, to znaczy, że zdarza mu się podmieniać zawartość puszek, a jeśli nabywca, to znaczy, że nie jest taki naiwny, na jakiego wygląda, i raczej sprawdza, co kupuje. Fakt, że obaj mają palce całe i zdrowe, może zaś jedynie dowodzić tego, że zaopatrzyli się w specjalne urządzenie do szybkiego otwierania i zamykania.

Urządzenie to przypomina kształtem zwykły powiększalnik fotograficzny i trudno je zaliczyć do skomplikowanych. Zamocowuje się puszkę na blacie i opuszcza umieszczone na statywie kleszcze, które zaciskają się na wieczku i unoszą je wraz z gumową opaską. Jeśli okazuje się, że w środku jest kawior, to można go przy okazji skosztować, żeby się upewnić, czy nie zawiera przypadkiem domieszki mułu rzecznego. Potem, tą samą drogą, wieczko się opuszcza, dociska i wszystko pasuje jak ulał. Bezpiecznie, bez wysiłku i dużo szybciej.

Niestety, znam to urządzenie tylko z widzenia, bo mimo wielu starań, nie udało mi się go zdobyć. Wypytywani w tej kwestii znajomi sprzedawcy potwierdzali jego istnienie, ale oni sami oczywiście nigdy nie mieli z nim do czynienia, bo niby do czego byłoby im ono potrzebne. Inni radzili mi zwrócić się do fabryki kawioru, ale od razu uprzedzali, że jest to urządzenie ściśle tajne i bez rekomendacji właściwych władz spotkam się z kategoryczną odmową.

Rozmawiałem również w tej sprawie z warszawskimi ślusarzami, którzy po zastanowieniu odpowiadali, że do rozpoczęcia prac projektowo-badawczych potrzebne jest choćby czarno-białe zdjęcie. Nie mogłem, rzecz jasna, spełnić tego warunku, bo gdybym na jakiegokolwiek spotkanie kawiorowe przyszedł z aparatem fotograficznym, to jeśli nie zostałem od razu powieszony, to w najlepszym wypadku zostałem skazany na dożywotnie wygnanie z branży.

Mogłoby się wydawać, że wsypywanie piasku czy błota do puszek kawiorowych to zwyczaj wyłącznie drobnych krętaczy, którzy polują na łatwowiernych turystów zagranicznych.

Gdyby tak było, to moje usilne poszukiwania specjalnego urządzenia do szybkiej kontroli jakości można by uznać za dziwaczną ekstrawagancję. Tak jednak nie było. Potrzebowałem go, ponieważ dość szybko się przekonałem, że podobne zwyczaje panują również wśród poważnych i, zdawałoby się, sprawdzonych dostawców. Różnica polegała tylko na tym, że drobni krętacze czynili to wyłącznie z chęci szybkiego i łatwego zysku, a poważni handlowcy również z pewnej specyficznej potrzeby duchowej.

Któregoś dnia do mojego moskiewskiego mieszkania zadzwonił dostawca Konstanty; znałem go już kilka dobrych miesięcy i mogę powiedzieć, że dotychczasowa współpraca układała się całkiem poprawnie. Powiedział, że ma do sprzedania sto pięćdziesiąt półkilogramowych puszek, ale sprawa jest pilna, bo on za kilka godzin wyjeżdża do rodziny. Ponieważ nie miałem przy sobie odpowiedniej gotówki, zgodził się, że zapłacę od ręki pięćdziesiąt procent, a resztę po jego powrocie. Na umówione spotkanie pojechałem z Ludmiłą, kobietą rozlicznych interesów, która akurat wpadła do mnie na plotki.

Konstanty rzeczywiście bardzo się spieszył. Nie zaprosił nas nawet na herbatę, tylko szybko załadował puszki do naszego samochodu, a otrzymanej gotówki nawet nie przeliczył.

- Mamusia czeka - usprawiedliwił się na pożegnanie.

Gdy zaparkowaliśmy pod moim domem i otworzyliśmy bagażnik, zauważyliśmy, że jedna z puszek jest nieco wybrzuszona. Po dokładnych oględzinach w mieszkaniu okazało się, że jest takich puszek jeszcze kilka. Zadzwoniłem do Konstantego, ale, jak można było się słusznie spodziewać, właśnie wyjechał. Nalałem więc po kieliszku i rzuciłem w przestrzeń sakramentalne pytanie: co robić?

Ręczne otwieranie i sprawdzanie zawartości stu pięćdziesięciu puszek wydawało się upiorną perspektywą. Zresztą, cóż by to dało? Mogliśmy się natknąć na różne stopnie zepsucia, na puszki całkiem sfermentowane i częściowo sfermentowane. Te bardziej sfermentowane nie dałyby się już zamknąć i trzeba by je powyrzucać, z czego powstałby wielki smród i bałagan. Może lepiej poczekać na Konstantego? Nie wiadomo jednak, kiedy wróci i czy uzna reklamację, bo skąd będzie wiadomo, które puszki są czyje?

Dywagacje te przerwał nam huk wystrzału, który rozległ się w drugim pokoju. W jednej z puszek wystrzeliło wieczko i po całym mieszkaniu rozniósł się nieprzyjemny fetor. Ludmiła, która była kobietą czynu, chwyciła za słuchawkę i zadzwoniła do jakichś swoich znajomych, każąc im natychmiast przyjechać. Wyjaśniła mi po chwili, że terenem działania owych znajomych jest Turcja, a według jej,

Ludmiły, rozeznania Turcy kupią wszystko.

Dziewczyna i chłopak, którzy się niebawem zjawili, wydawali się ten pogląd podzielać, bo bez specjalnego narzekania zabrali wszystkie puszkę. Obiecali wrócić po dziesięciu dniach. Wrócili po dwóch tygodniach. Swoje spóźnienie tłumaczyli dwukrotnym aresztowaniem w Bułgarii pod zarzutem przewożenia materiałów wybuchowych. Dwa razy się bowiem zdarzyło, że umieszczone w bagażniku puszkę strzelały seriami akurat wówczas, gdy obok przechodził milicjant. W Turcji natomiast mieli kłopoty ze sprzedażą gotówkową, więc po długich negocjacjach zgodzili się na wymianę barterową, towar za towar. Wyrzucili puszkę wyraźnie już wyrzuczone i za resztę dostali pięćdziesiąt kilogramów kurtek skórzanych. Gdy pokazali kilka dla przykładu, Ludmiła stwierdziła, że są bardzo ładne, ale, niestety, skóropodobne.

Konstanty zadzwonił po miesiącu i jak gdyby nigdy nic zapytał, co słychać. Gdy nazwałem go bezczelnym drobnym oszustem, kategorię tym oskarżeniem zaprzeczył. Uważał, że sam fakt, iż do mnie dzwoni, dowodzi jego uczciwości. Uznając to za jeszcze większą bezczelność, zagroziłem, że jeszcze się policzymy, i rzuciłem słuchawkę.

Po dwóch godzinach Konstanty zjawił się osobiście i już od progu nie ukrywał, że ma przy sobie dużą butelkę wódki. Musiał się zatem poczuwać do winy, bo w innym wypadku przyniósłby małą. Zaczął mnie z troską wypytywać o losy swoich puszek, potem wylewnie przeproszać, a w połowie butelki rozdierał szaty nad nieuczciwością i bandytyzmem pośredników, u których się zaopatruje. Później na przemian przysięgał, że już nigdy więcej nie zaznam od niego przykrości, i zapewniał, że nic nie wiedział o zaawansowanej fermentacji. To znaczy mógł przypuszczać, ale nie był pewien. Właściwie to wiedział, ale nie wiedział. A tak w ogóle to różne niespodzianki można w życiu spotkać. I przykre, i wesołe. I nie muszę mu dopłacać tych brakujących pięćdziesięciu procent, a następnym razem wszystko będzie w najlepszym porządku.

Tracenie, a następnie odzyskiwanie zaufania jest w Rosji najbardziej chyba popularnym hobby 'wśród ludzi interesu. Można to nazwać również namiętnością, hazardem, sportem czy duchową koniecznością, ale spotykałem się z tym wszędzie, jak Rosja długa i szeroka, niezależnie od tego, czy ktoś chodził do szkół, czy też nie chodził, czy obracał milionami, czy tylko tysiącami.

Nie jest to, trzeba zaznaczyć, jednorazowy rytuał lub coś w rodzaju próby, która pomyślnie zakończona, miałaby stworzyć braterskie poczucie wzajemnego zaufania na wieki wieków. Nic podobnego. Traci się i odzyskuje zaufanie u tej samej osoby wielokrotnie i z uporem. Im większego dokona się oszustwa, tym gorliwiej prosi się o wybaczenie i obiecuje poprawę. Za dobrego handlowca uchodzi nie ten, kto potrafi sprzedać każdy towar, ale ten, kto po zaważeniu terminów i dostarczeniu towaru podej jakości potrafi wmówić kontrahentowi, że należy z nim handlować dalej.

Większość rosyjskich handlowców zdaje się po prostu mniemać, że życie bez niedoróbek byłoby śmiertelnie nudne. Czas między jedną a drugą transakcją trzeba przecież jakoś wypełnić i wypełnia się go wyjaśnianiem nieporozumień, które wyłącznie w tym celu są prowokowane. Zresztą, o sumiennym i punktualnym biznesmenie można powiedzieć jedynie, że jest jakiś taki nijaki. Nikt go przy wódeczce nie wspomni i w zasadzie będzie traktowany jak powietrze. A na takie lekceważenie prawdziwy człowiek interesu w żadnym wypadku pozwolić sobie nie może.

Tak więc powiedzieć w Rosji, że ma się do kogoś zaufanie w interesach, to powiedzieć tyle tylko, że trzeba uważać, bo lada chwila ten ktoś może je zawieść. Gdybym po każdym nadużyciu zaufania przez swoich kontrahentów, obojętnie zresztą, z jakiej branży, zachowywał się pryncypialnie i zrywał wszelkie z nimi stosunki, to w krótkim czasie straciłbym wszystkich. Nowych też bym łatwo nie znalazł, bo szybko rozeszłaby się wiadomość, że jestem człowiekiem nie do życia i nie ma sensu wchodzić ze mną w żadne interesy.

Problem nie polegał więc na tym, żeby eliminować nierzetelnych dostawców, ale na tym, żeby nie zawiedli wszyscy naraz. Najlepsi byli zatem tacy, którzy nadużywali zaufania regularnie, na przykład raz na cztery transakcje. Wtedy można było cokolwiek planować. Równocześnie cały czas musiałem myśleć o uzupełnianiu grona dostawców, ponieważ, jak to w życiu, jedni zmieniali branżę, a inni po prostu znikali, nie zostawiając mi nowego adresu.

Któregoś dnia, gdy wracałem wieczorem do domu, portier, bo był to porządny dom z portierem na dole, powiedział mi, że od dwóch godzin czeka na mnie jakiś człowiek. Wyszedłem na zewnątrz, ale

nikogo nie było. Dopiero po chwili spostrzegłem, że ktoś daje mi znaki z pobliskich krzaków. Był to chudy, może czterdziestoletni osobnik z wąsikami, w garniturze, pod krawatem i z teczką w ręku. Można powiedzieć - typowy urzędnik. Przedstawił się jako Leonid i zagadnął, że podobno kupuję kawior od Józefa i Władimira. Nie miałem powodu, żeby kłamać, więc potwierdziłem, że owszem, czasami. Na te słowa Leonid otworzył teczkę, wyjął dwie puszkę i powiedział, że jego kawior jest równie dobry, ale o dziesięć dolarów tańszy. Wziąłem jedną puszkę i zacząłem otwierać, a on w tym czasie wyjął z kieszeni marynarki piersiówkę i nalał po kieliszeczkę. Wypiliśmy i zakąsiliśmy szczyptą kawioru. Rzeczywiście był znakomity. Wychodząc z krzaków, umówiliśmy się na próbną dostawę dwudziestu pięciu puszek. Było mi to bardzo na rękę, gdyż Józef i Władimir od pewnego czasu przestali się odzywać.

Współpraca z Leonidem rozwijała się dość wolno, ale systematycznie. Sprzedawał mi od czasu do czasu kilkadziesiąt puszek, a gdy zabierałem się do wybiórczego sprawdzania ich zawartości, czynnie mi w tym pomagał. Był punktualny, a czas i miejsce dostawy nie sprawiały mu specjalnej różnicy. Zdarzyło się nawet, że dałem mu pieniądze akonto przyszłej dostawy, a on nie uległ pokusie i przywiózł to, co trzeba. Jego poprawność niekiedy mnie zastanawiała, ale przecież nie mogłem mu z tego powodu czynić wyrzutów. Po pewnym czasie nasze spotkania nabrały charakteru jak najbardziej rutynowego i już nawet nie chciało mi się sprawdzać za każdym razem, czy dostarczany przez niego kawior jest odpowiedniej jakości.

Leonid nie był jednak człowiekiem doskonale nijakim. Zauważyłem bowiem, że niemal na każde spotkanie przychodzi w innym garniturze. Początkowo myślałem, że ma ich po prostu kilka i lubi je zmieniać. Jednakże po bliższych oględzinach okazało się, że zawsze jest to nowiutki, elegancki garnitur z metką jakiegoś znanego europejskiego domu mody. Jedno takie cacko musiało kosztować nie mniej niż tysiąc dolarów, a może znacznie więcej. Miało się wrażenie, że Leonid wydaje na te garnitury wszystkie zarobione pieniądze. Gdy zobaczyłem go kiedyś przypadkowo w restauracji, wahałem się nawet przez chwilę, czy do niego podejść, bo wyglądał przy nim jak dziecko stróża. W tym samym czasie zaczęły dochodzić mnie wieści, a i osobiście mogłem się o tym przekonać, że w wysyłanych przeze mnie partiach towaru trafiają się pojedyncze puszkę z błotem. Było to dziwne zjawisko, gdyż dotychczas, jeśli ktoś chciał mnie oszukać, to od razu czynił to z rozmachem. Przeprowadzenie dochodzenia było praktycznie niemożliwe, bo niemożliwe było ręczne otwieranie setek puszek, które przechodziły przez moje ręce. Miałem z tego powodu sporo kłopotów, bo jeśli jakiś odbiorca znajdował pojedynczą puszkę z błotem, to od razu kwestionował całą dostawę. Wyglądało na to, że ktoś próbuje tą niecną metodą nadszarpanąć moją reputację.

Tymczasem, po dłuższej nieobecności, odwiedzili mnie któregoś dnia Józef z Władimirem. Przeprasili, że kilka miesięcy wcześniej zniknęli bez uprzedzenia, ale mieli okazję pojechać do Szwajcarii. Nie przypadł im jednak ten kraj do gustu, bo gdzie się ruszyli, to trafiali na jakieś złe towarzystwo. Postanowili więc wrócić do swych dawnych, spokojnych interesów kawiorowych. Gdy wspomniałem im o Leonidzie, który się na nich powoływał, najpierw się zdziwili, a potem skłękli go siarczyście za to, że osmielił się bez ich zgody nie tylko handlować, ale w ogóle skontaktować się ze mną. Zapowiedzieli twardo, że od tej pory wszystko wróci na swoje właściwe miejsce.

Po kilku tygodniach, gdy spotkałem ich ponownie, byli już w znacznie lepszych humorach. Leonid - powiedzieli - poniósł zasłużoną karę. Polegała ona na tym, że zamówili u niego dwieście puszek, Leonid je przywiózł, a oni je wzięli, po czym, bez zapłaty, kazali mu się wynosić. Na moją uwagę o nadmiernej surowości tylko się zachnęli, bo ich zdaniem kara była i tak łagodna. Po spotkaniu ze mną dowiedzieli się bowiem, że Leonid, powołując się na nich, zaczął handlować również z innym ich dawnym klientem. I żeby jeszcze handlował uczciwie, ale on, jak to niezbcie stwierdzili, podrzucił mu co i raz pojedyncze puszkę z błotem.

- Zszargał nam opinię, więc poniósł sprawiedliwą karę -podsumował Józef.

- A wszystko przez te jego garnitury - dorzucił Władimir. - Jak tylko gdzieś zobaczył nowy fason, to nie mógł się powstrzymać, żeby go nie kupić. A że był sknera, to zaraz potem żałował wydanych pieniędzy i małymi kroczkami próbował to sobie jakoś odbić.

Gdy jakiś czas później spotkałem Leonida na ulicy, ubrany był w ten sam garnitur, w którym poznałem go w krzakach pod moim domem. A Józef i Władimir stali się znowu moimi regularnymi dostawcami i,

tak jak kiedyś, od czasu do czasu oszukiwali mnie na jakości kawioru.

Przesadziłbym pewnie, gdybym powiedział, że dostawców zmieniałem jak rękawiczki. Ruch kadrowy był jednak spory i siłą rzeczy coraz więcej ludzi wiedziało, że zajmuję się kawiorom. Wiedział też o tym urzędujący na dole mojego bloku portier, więc musieli wiedzieć wszyscy mieszkańcy. Wiedzieli moi bliscy i dalecy znajomi, a nawet ci, którzy odwiedzili mnie choćby jeden raz, bo zawsze pytali, do czego są mi potrzebne trzy potężne lodówki.

Zapukał kiedyś do mnie człowiek, którego wcześniej widziałem raz czy dwa razy u boku jakiejś znajomej. Utkwił mi w pamięci, bo było to wysokie, barczyste chłopisko, dawny bokser albo zapaśnik. Wchodząc do pokoju, przypomniał, że ma na imię Siergiej, postawił na stole pół litra i powiedział, że jego wizyta ma w zasadzie charakter towarzyski. Potraktowałem te słowa jako wyraz nieśmiałości, więc sięgnąłem natychmiast po dwa kieliszki. Przy trzeciej chyba kolejce Siergiej rozejrzał się po mieszkaniu i stwierdził, że skoro prowadzę tak rozliczne interesy, to pewnie potrzebna mi jest jakaś ochrona. Nieco zaskoczony odparłem, że skądże znowu, że prowadzę normalną, zarejestrowaną firmę, że mam papiery na każdy towar i że w ogóle nie ma o czym mówić. Siergiej pokręcił z powątpiewaniem głową, a dalsza rozmowa już się jakoś nie kleiła, więc poszedł sobie, nie kończąc nawet butelki. Wrócił po tygodniu, a że akurat miałem gości, więc usiadł sobie z boczkem i jako niby mój znajomy wtrącał się od czasu do czasu do rozmowy. Gdy znajomi wyszli, Siergiej nalał sobie pół szklanki, wypił jednym haustem i zapytał, czy zastanowiłem się nad jego sugestiami. Trochę mnie tą obcesowością zdenerwował, więc mu ostro odpowiedziałem, że chyba nie uważa mnie za naiwnego i że ochronę to ja mam od dawna, więc nie potrzebuję żadnej nowej. Była to oczywiście nieprawda i nie wiem, czy ten łobuz to wyczuł, ale odparł, że jeszcze się o tym przekonamy.

- A po co mamy to robić - dodał, dając mi do zrozumienia, że nie działa w pojedynkę. - Lepiej będzie, jak się nad sprawą rzeczywiście zastanowisz.

- Nie ma nad czym - rzuciłem krótko na pożegnanie.

Wychodząc, minął się w drzwiach z Iriną, moją sympatyczną sąsiadką, która była tancerką w teatrze Balszoj. Ponieważ łączyły mnie z nią bardzo koleżeńskie więzy, opowiedziałem jej, kto zaczął ten Siergiej i co tu przed chwilą zaszło. Irina, ku mojemu zdumieniu, oświadczyła, że dobrze wie, jak się takie rzeczy załatwia. Z racji swej pracy bywała na przeróżnych bankietach i знаła mnóstwo oficjeli, a przy okazji, ciągle się przy nich kręcących, półoficjeli, dla których taka sprawa będzie wycieczką po służbie. Nie znając jednakże ani adresu, ani nazwiska Siergieja, ustaliliśmy, że jeśli pojawi się następnym razem, to natychmiast ją zawiadomię, a ona już spowoduje, że podjadą jacyś panowie i się nim zajmą. Obiecałem, że jeśli tylko zdążę, to na pewno to uczynię.

Irina musiała pomyśleć, zresztą nie bez racji, że potraktowałem jej opowieści niezbyt poważnie, bo przez następny tydzień sama codziennie do mnie dzwoniła, pytając, czy wszystko w porządku. A ja, prawdę mówiąc, nie bardzo wiedziałem, jak w razie czego postąpić.

Siergiej, jakby dając mi czas do namysłu, zjawił się po dziesięciu chyba dniach. Wpuściłem go tylko do przedpokoju i ubierając się, oświadczyłem, że właśnie wychodzę i nie mam czasu na żadne z nim rozmowy. Idąc do windy, zapowiedziałem, że jeśli jeszcze raz do mnie przyjdzie, to zostanie odpowiednio potraktowany. Mówiąc to, sam nie bardzo wiedziałem, co mam na myśli. Siergiej odparował, że postępuję bardzo nierozsądnie i będę tego żałował.

Wsiedliśmy do windy i ruszyliśmy w dół, ale po kilku sekundach winda się zatrzymała, bo ktoś się dosiadał na dziewiątym piętrze. Był to Misza.

Misza mieszkał dokładnie pode mną i dwa dni wcześniej naprawiał w mojej łazience jakieś rury, kurki i krany po tym, jak kolejny raz zalałem mu mieszkanie. Nie był wcale z tego powodu na mnie obrażony, gdyż za każdym razem za wspólne usuwanie skutków zalania płaciłem mu pięćdziesiąt dolarów. Misza pracował jako kierowca na Kremlu, a w wolnych chwilach rzeźbił w drewnie różne rodzaje liści. Był to dusza-człowiek i miał to do siebie, że liczył ponad dwa metry wzrostu, a w barach przypominał szafę trzydrzwiową. Ubrany teraz w garnitur, wydawał się jeszcze większy. Siergiej, choć nie ułomek, zmalował przy nim w oczach.

Misza zlustrował wprawnym okiem zawartość windy, po czym przywitał się ze mną i mając na myśli ostatnią awarię kranów, zapytał, czy wszystko działa, jak należy. Gdy przytaknąłem, przypomniał, że gdyby coś było nie w porządku, to, tak jak zwykle, mam go natychmiast zawiadomić.

Przed domem, oparty o wypucowaną czarną „czajkę”, czeka! kolega Miszy; obaj zawsze jeździli razem do pracy. Był to osobnik o równie potwornych rozmiarach, a do tego w ciemnych okularach. Uścisnęliśmy sobie ręce i pojechali.

Siergiej chwilę pomilczał, po czym bąknął niewyraźnie, że trzeba było od razu tak mówić. I nigdy więcej już go nie zobaczyłem.

Nieraz myślałem o uproszczeniu działania swojej jednoosobowej firmy. Zbyt dużo bowiem ludzi wokół niej się kręciło i zbyt wiele powodowało to komplikacji. Najlepsza - myślałem - byłaby współpraca z jakimś prawdziwym potentatem. Umknąłbym wtedy nie tylko cenowych narzutów kolejnych pośredników, ale również mógłbym prowadzić bardziej uregulowany tryb życia. Przejrzałem nawet pod tym kątem jakąś gazetę, ale, niestety, żaden prawdziwy potentat nie zamieszczał w niej swego anonsu. Z półstówek i półtrozmów z moimi dostawcami wynikało, że najlepiej jest mieć w rodzinie ustosunkowanych Tatarów albo przynajmniej wujka Rosjanina, który dowodzi krążownikiem na Morzu Kaspijskim. Gdy jednak ogarnąłem pamięcią wszystkie swoje koligacje rodzinne, okazało się, że żaden z tych wariantów nie wchodzi w rachubę. Jedynym znanym mi potentatem była sama fabryka kawioru. Postanowiłem więc-, że mimo niezbyt udanej wcześniejszej korespondencji, pojedę i porozmawiam z nią osobiście.

Lecąc do Astrachania, nie mogłem oprzeć się wyobrażeniu, że jest to podróż do Chicago lat trzydziestych, w którym rządzą gangi, trup ściele się gęsto, a w każdej knajpie siedzi mafioso. Leciąłem przecież do centrum kawiorowego, co dla wielu ludzi brzmiało dokładnie tak samo jak centrum narkotykowe.

Pierwsze wrażenie było raczej uspokajające. Jadąc z lotniska do śródmieścia, a było to kilka dobrych kilometrów, zauważyłem tylko dwie restauracje, co znaczyło, że mafiosów nie mogło być zbyt wielu. Czar prysł ostatecznie, gdy dwie godziny później znalazłem się na terenie Rybno-Kawiorowego Zamkniętego Zakładu Przetwórstwa Spożywczego. Co prawda przy bramie skontrolowali mnie uzbrojeni strażnicy, ale zaraz po jej przekroczeniu poczułem się nader swojsko. Pierwsze, co zobaczyłem, to zmurzały już nieco pomnik Lenina i walające się wszędzie rybie odpadki. Ośmiopiętrowy chyba biurowiec przytłaczał swą wielkością fabryczne hangary, a na całym terenie, mimo styczniowego mrozu, panował ożywiony ruch. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, więc zanim udałem się do dyrekcji, zagadnąłem pierwszego z brzegu osobnika w waciaku, że potrzebuję trochę kawioru.

- Pół litra za puszkę - odparł Wania bez namysłu.

Było to chyba pięćdziesiąt razy taniej niż u pośredników w Moskwie.

- Drogo - odrzekłem i zaproponowałem pół litra, ale za dwie puszki. Wania się skrzywił, więc stanęło w końcu na tyra, że za litra dostanę trzy puszki. Gdy wspomniałem o strażnikach przy bramie, Wania zapewnił mnie, że z wyniesieniem puszek nie będzie żadnego problemu, i jako nowicjusza, oprowadził mnie po terenie. Fabryka graniczyła z niewielką, skutą teraz lodem, rzeczką. Nie było od tej strony żadnego ogrodzenia i według zapewnień Wani, nikogo by nie zdziwiło, gdybym podjechał pod samą halę choćby i wozem pancernym.

Wizyta w biurowcu zajęła mi niecałe dziesięć minut i nie przyniosła zbyt wielu owoców. Dyrektor handlowy, do którego wdarłem się mimo usilnych sprzeciwów sekretarki, potraktował mnie jak car poddanego, i to raczej poddanego najniższego stanu. Bez żadnego przywitania oznajmił szorstko, że panuje tu zwyczaj zapisywania się na wizyty, i rozkazującym gestem wskazał mi pokój sekretarki, co miało oznaczać, żebym sobie paszoł won.

Cóż było robić? Zwyczaj to zwyczaj i trzeba go uszanować. Sekretarka, pomna mej niesubordynacji, niechętnie wertowała swój zeszyt, ale w końcu wyznaczyła mi audiencję: za cztery miesiące, we wtorek, o wpół do dziesiątej.

Znacznie lepiej zostałem potraktowany, gdy wieczorem zaszedłem do hotelowej restauracji. Zanim zdążyłem przestudiować menu, przysiadł się do mnie jakiś gość i zaproponował sprzedaż kawioru po fantastycznie niskiej cenie. Zapytany o szczegóły, przedstawił się jako pracownik zakładu pogrzebowego, który dysponuje przydziałem przeznaczonym na stypy. Wywiązała się dyskusja o ceremoniach chowania zmarłych u ludów południowych, a ponieważ w lokalu panowała domowa atmosfera, do dyskusji włączali się coraz to nowi goście, jak również obsługa. Dość szybko

zorientowałem się, że ta wymiana poglądów służy jedynie wybadaniu, ile puszek kawioru jestem w stanie kupić i kogo sobie wybiorę na sprzedawcę. Było to o tyle interesujące, że przechadzając się wcześniej po mieście, nigdzie nie natknąłem się na najmniejszy choćby ślad kawioru. Nie było go w sklepach, nie było na bazarze ani w jadłospisie żadnej restauracji. Całkowita posucha. Zacząłem już nawet podejrzewać, że cała ta fabryka kawioru to jedna wielka atrapa.

Kiedy wyjawiałem w końcu swym rozmówcom, że nie jestem zwykłym turystą, za jakiego mnie biorą, lecz interesują mnie co najmniej dwie małe ciężarówki kawioru miesięcznie, zapanowało kłopotliwe milczenie. Rozstaliśmy się jednak w przyjaznej atmosferze, czego dowodem były prośby, abym następnym razem powiadomił ich o swoim przyjeździe odpowiednio wcześniej, a wtedy wszystko da się zorganizować.

Rano, mając kilka godzin do odlotu, postanowiłem choć trochę zatrzeć nie najlepsze wrażenie, jakie niechybnie zostawiłem po sobie w zakładzie kawiorowym. Pojechałem tam zaopatrzony w perfumy marki Chanel, które kupiłem za kilka dolarów na pobliskim targu, a sprzedawca dawał głowę, że są autentyczne. Sekretarka, widząc powabny flakonik, wyraźnie się rozchmurzyła i w sympatycznej już pogawędce poradziła mi, żebym przyjeżdżając za cztery miesiące, wziął sobie na wszelki wypadek dwutygodniowy urlop. Fakt, że jestem zapisany, nie oznacza bowiem wcale, że zostaną przyjęty tak od razu.

Kilka godzin później, siedząc już w samolocie i popijając francuski koniak, za którego autentyczność sprzedawca dawał głowę, miałem nieodparte wrażenie, że moja wyprawa do centrum kawiorowego była jak najbardziej udana. Chociażby dlatego, że obyło się bez strzelaniny.

Chyba po tygodniu zadzwonił do mnie jakiś człowiek i powołując się na hotelową biesiadę w Astrachaniu, poprosił mnie o spotkanie. Był to trzydziestokilkuletni przedstawiciel ciemnej, południowej nacji, który w dyskusji o ceremoniach pogrzebowych nie uczestniczył, ale pamiętałem, że siedział w kącie i bacznie się jej przysłuchiwał. Przedstawił się jako Borys, pochodził z Dagestanu, a mieszkał, jak to określił, to tu, to tam.

Zaproponował mi sprzedaż czterdziestu puszek na próbę. Zdziwiło mnie to trochę, gdyż o próbnym partiach mówili zawsze kupujący, a nie sprzedający. Nie chciałem wypaść z roli dyktującego warunki, więc odparłem, że chętnie kupię jego kawior, ale wolę zacząć od dwudziestu sztuk. Taka odpowiedź wyraźnie go zadowolili, co też było dosyć dziwne.

Po uzgodnieniu ceny z własnej, nieprzymuszonej woli wypisał mi rachunek, przystawił, pieczętki i własnoręcznie otwierał wskazane przeze mnie puszki. Jakość kawioru nie budziła żadnych wątpliwości.

Kilka następnych naszych transakcji miało podobną wartość i podobny przebieg. Gdy zdarzyło się, że akurat zabrakło mi gotówki, Borys stwierdził, że nie ma problemu bo mogę uregulować dług przy okazji. W przeciwieństwie do rosyjskich dostawców zachowywał się nadzwyczaj spokojnie; nie przejawiał żadnej nerwowości ani też podejrzliwości.

Po raz pierwszy pomyślałem zresztą wtedy, że handel kawiorami może być tym samym, co handel płatkami kukurydzianymi. Czuło się, że lada moment zakończymy okres próbny i przejdziemy do jakichś poważniejszych transakcji. Nie występowałem jednak z tą propozycją, żeby nie osłabić swej pozycji przetargowej. Borys z kolei sprawiał wrażenie, jakby ciągle na coś czekał.

Spałem już, gdy zadzwonił któregoś dnia i przeprasząc za późną porę, poprosił mnie o drobną przysługę. Chodziło o jego ojca: przyjeżdża rankiem do Moskwy samochodem, ale nie zna miasta, więc zatrzyma się na dalekich rogatkach i trzeba go stamtąd odebrać.

Pojechałem pierwszą ranną elektryczką i po godzinie byłem na miejscu. Gdy wyszedłem przed stację, zobaczyłem coś, co było idealnym obiektem pożądania całej moskiewskiej milicji: wypełniona po brzegi walizkami, z tobołami na dachu, zdezelowana terenowa niva, a przy niej człowiek czystej południowej maści, czyli podejrzany z definicji. Przemknęło mi przez myśl, że Borys zaaranżował tę sytuację tylko po to, żeby wystawić mnie na jakąś, sobie tylko zrozumiałą, próbę. Na dalsze domysły nie było już jednak czasu, bo ojciec Borysa, domyślając się, kim jestem, dał znak, żebym się do niego zbliżył. Uzgodniliśmy, że on zasiądzie za kierownicą, a ja będę jego pilotem.

Zupełnie nie znałem tych okolic, a moje nadzieje na drogowskazy okazały się oczywiście płonne. Jechaliśmy więc jakimiś bocznymi ni to drogami, ni to uliczkami, przejeżdżaliśmy przez jakieś ni to

osiedla, ni to miasteczka i czułem, że coraz bardziej się pocę. Wypatrywanie właściwej drogi i zaczajonej za każdym drzewem milicji pochłaniało mnie niemal całkowicie. Ojciec Borysa natomiast zdawał się najzupełniej spokojny. Zdziwił się tylko, że palę papierosy, a po dłuższym namyśle zapytał, czy mam żonę. Potem zamilkł na godzinę, a gdy nagle ocknął się z zadumy, zaciekawiło go, czy żyją moi dziadkowie.

Jechaliśmy chyba trzy godziny i faktu, że ani razu nie zostaliśmy zatrzymani i zaaresztowani, nie można nazwać inaczej jak cudem w biały dzień. Gdy w końcu dotarliśmy na miejsce, wręczyłem ojcu Borysa pięćdziesiąt dolarów, mówiąc, że należą mu się one jak każdemu pomocnikowi. A tak właściwie była to moja prywatna nagroda dla jego anioła stróża, którą ufundowałem milcząco na samym początku tej prze-

Dwa dni później zadzwonił Borys i zaprosił mnie na wódkę, co w naszych stosunkach było nowością. Zanim przystąpiliśmy do konsumpcji, uroczyście oświadczył, że od tej pory wszystko się zmieni, ponieważ tata uznał, że można ze mną robić interesy. Aby podkreślić wagę tego oświadczenia, wyjawiał mi również swoje prawdziwe imię, które składało się z trzech trudnych do zapamiętania wyrazów. Unosząc pierwszy kieliszek, przyznał, że wiara przodków zabrania mu picia alkoholu, ale interesy to co innego.

Na następne spotkanie, na które umówieni byliśmy w samym centrum miasta, Borys zajeżdżał białym, długim jak gąsienica, lśniącym lincolnem. Zaparkował tam, gdzie nie wolno, wystawił na ulicę skrzynki kawioru i jak gdyby nigdy nic, wdał się ze mną w rozmowę. Poczułem się w tym momencie trochę nieswojo, bo nie raz i nie dwa przekonałem się przecież, że rosyjska zasada „tiszje jediesz, dalsze budiesz”, chociaż brzmi trochę niewolniczo, to na pewno jest wysoce praktyczna.

Gdy powiedziałem później Borysowi, że taka ostentacja zupełnie mi się nie podoba, niemalże się obraził. Dla niego nie była to żadna ostentacja, ale rodzaj zemsty i odwetu. Mścił się w ten sposób na Rosjanach za to, że z pogardą traktują „czarnych”, i brał odwet na milicjantach za to, że polują na nich jak na dziką zwierzynę. Z tryumfem obserwował zazdrosne spojrzenia przechodniów i śmiał się w duchu z milicjantów, którzy bali się nawet podejść, bo tak bezczelny i bogaty gość musi mieć wielkich protektorów.

- Głupcy - cieszył się Borys - ze strachu nie przychodzi im nawet do głowy, że lincoln może być z wypożyczalni.

Cóż mogłem na to odpowiedzieć? Poprosiłem jedynie, żeby jego prywatna wojna była rzeczywiście prywatną.

Niedługo potem Borys zadzwonił do mnie i poprosił o pomoc przy wyładunku dwóch ton kawioru, który miał przyjechać z Astrachania. Zaznaczył od razu, że jest to normalny legalny transport ze wszystkimi papierami. Pomocy nie odmówił także Zbyszek, kolega z Polski, który akurat przebywał u mnie w gościnie.

Borys przyjechał po nas wehikułem, który był skrzyżowaniem starego autobusu z jeszcze starszą ciężarówką. Towarzyszyła mu łada, w której siedziało czterech zdrowych byczków. Gdy ruszyliśmy, okazało się, że jedziemy czterdzieści kilometrów za Moskwę, gdyż niezależnie od wszystkiego, wyładunek zawsze winien się odbywać w ciszy i spokoju.

Na miejsce dotarliśmy około jedenastej wieczorem. Była to jakaś mała stacja rozrządowa, a właściwie plątanina torów przed stacją. Pociąg miał przyjechać za pół godziny, więc Borys nakazał wszystkim przycupnąć w krzakach i obserwować tory. Minęła jednak godzina i nic się nie wydarzyło. Minęła następna i ciągle nic. Po trzech godzinach byliśmy ze Zbyszkiem sztywni z zimna, bo nie wiedząc, co nas czeka, nie wzięliśmy ciepłych ubrań. Przytupywaliśmy więc i biegaliśmy pod płótem, a ja przeklinałem w duchu dzień, w którym tatuś Borysa uznał, że można ze mną robić interesy.

Pociąg pojawił się o piątej nad ranem i zatrzymał się, jakżeby inaczej, na najbardziej oddalonym od nas, chyba dwudziestym pierwszym torze. Jeśli zważyć, że rosyjskie tory są szersze od normalnych, to dzieliło nas od niego, myślę, ze sto metrów. Z wypatrzeniem właściwego wagonu nie mieliśmy kłopotu, ponieważ był to pociąg osobowy z doczepionym na końcu pojedynczym wagonem towarowym.

Borys dał znak i siedmiu chłopów, ustawionych w tyralierę, ruszyło sprintem przez torowisko. Gdy dobiegliśmy, drzwi wagonu otworzyły się od wewnątrz i jakiś człowiek, nie wydając z siebie ani słowa,

zaczął nam podsuwać skrzynki z kawiozem. Bieganie po kanciastych kamieniach z czterdziestoma kilogramami w rękach nie było łatwe. Jaki taki porządek i rytmiczność utrzymały się do trzeciego okrążenia. Przy czwartym i piątym wyglądało to już na beładną bieżnię pijanych tragarzy. Przy siódmym i ósmym przypominało ciężkie roboty w obozie karnym.

Kiedy załadowawszy już wszystko, skrajnie wyczerpani i spoceni usiedliśmy w lodowatym wehikule, Borys zapytał, czy w moim domu działają obydwie windy. Doszedł bowiem do wniosku, że skoro cały ten kawior i tak przeznaczony dla mnie, to wygodniej będzie zawieźć go do mnie od razu, a rozliczać mieliśmy się potem sukcesywnie. Nieco mnie to zaskoczyło, ale myśl była racjonalna.

Tak więc o siódmej rano, gdy mieszkańcy mojego bloku wychodzili do pracy albo po mleko, siedmiu brudnych, zarośniętych facetów wnosilo skrzynki z kawiozem i przez pół godziny blokowały windy. Gdy skończyliśmy, Zbyszek padł bez życia na łóżko, co, jak się później okazało, było krokiem nieroztropnym, bo obudził się po południu z wysoką gorączką. Ja natomiast wypilem najpierw setkę wódki i zjadłem pół kilograma kawioru. Wieczorem czulem się jak młody bóg.

Mieszkańcy mojego bloku byli w większości ludźmi zacnymi i kulturalnymi. I nie zmieniłem tego zdania, gdy następnego dnia odwiedził mnie delegat urzędu finansowego. Zobaczywszy zgromadzony w moim mieszkaniu kawior, aż gwizdnął z wrażenia, ale któż by na jego miejscu tego nie zrobił. Przeglądał moje papiery przez godzinę i nie znalazł najmniejszego nawet uchybienia. Miałem wszystko, łącznie z certyfikatem fabrycznego weterynarza, że białugi, z których ten kawior pochodził, były zdrowe jak ryby. Nie pozostawało więc nic innego, jak wyrazić mi swój podziw i uznanie. Wypiliśmy po kieliszeczku, a ponieważ skromny ten urzędnik znudzony już był kawiozem, bo za często go nim częstowano, zakąsiliśmy ogórkiem kwaszonym.

Bez względu na najtrudniejszym jednak etapem podróży kawioru po Rosji, przy którym nawet graniczne utarczki z celnikami wydawały się dziecinną igraszką, był załadunek do pociągu na Dworcu Białoruskim w Moskwie. Oczywiście do pociągu pasażerskiego, bo wysłanie kawioru pociągiem towarowym byłoby równoznaczne z wrzuceniem go do studni. Ten krótki odcinek, od samochodu na peron, wymagał solidnego przygotowania taktycznego.

Pierwszą przeszkodą była milicja drogowa, dla której okolice dworców stanowiły najwyżej cenione tereny łowieckie. Spotykało się tam głównie kapitanów i majorów. Służba pod dworcem była dla nich ostatnią szansą dorobienia się przed emeryturą albo przed awansem, po którym definitywnie przechodzi się do jałowych prac biurowo-organizacyjnych. Przydział takiego rewiru kosztował, w zależności od dworca, od dziesięciu do dwudziestu tysięcy dolarów. Cena ta może się wydać wygórowana, ale też służba w takim rewirze to były nieustające żniwa. Znaki zakazu wjazdu, ruchu, postoju i zatrzymywania się ustawiano w taki sposób, żeby popełnienie wykroczenia było absolutnie nieuchronne.

Kiedyś, gdy podjeżdżałem pod dworzec sporadycznie i milicjant udawał, że wyciąga białeczek mandatowy, a ja naprawdę wręczałem mu dwa albo trzy dolary, incydent kończył się w sympatycznej nawet atmosferze. Później jednak, gdy zacząłem bywać na dworcu dużo częściej, uciążliwość tych spotkań znacznie wzrosła. Zwłaszcza że milicyjne wyobrażenia o dobrym zarobku stały się najbardziej namacalnym wskaźnikiem ogólnego postępu. Można wręcz powiedzieć, że oficerowie z drogówki czuli się odpowiedzialni za propagowanie nastroju prosperity. Gdyby bowiem ich żądania usatkwowały się na niskim poziomie, ktoś mógłby odnieść wrażenie, że w Rosji zapanowała stagnacja.

Gdy spróbowałem kiedyś zakwestionować żadaną kwotę, opasły major zapytał najpierw niewinnie, o której mam pociąg, po czym wypisywał normalny mandat tak długo, żebym na pewno się na niego spóźnił. Jakikolwiek sprzeciw, awantura czy głośny protest spowodowałyby jedynie, że dostałbym się w ręce milicji właściwej, czyli tej, która dbała o ład i porządek. A wtedy straty finansowe byłyby bez porównania wyższe.

Strzeżenie ładu i porządku na dworcach i w ich okolicach polegało głównie na wyszukiwaniu osobników, którzy wyglądali na to, że mają przy sobie pieniądze. Na Dworcu Białoruskim, skąd odchodzą pociągi do Polski i dalej na Zachód, musieli je mieć, rzecz jasna, wszyscy. Pozostawało tylko pytanie, kto ma ich dużo i kto podzieli się nimi bez większego oporu. Na pierwszy ogień szli więc obładowani bagażami „czarni”, bo spełniali wszystkie wymogi naraz. Potem obcokrajowcy, ale tacy, którzy nie wyglądali na ambasadorów albo konsulów generalnych. Następnie prowincjusze i ludzie

młodzi. Na koniec, zgodnie z zasadami humanitaryzmu, kobiety, starcy i dzieci. Czasami zaś padało na tego, kto się milicjantom po prostu nie spodobał.

Gościłem kiedyś kolegę z Polski, Marka, który był grafikiem i przyjechał do Moskwy na swą wystawę. Ponieważ mieliśmy wracać tym samym pociągiem, a Marek był człowiekiem postawnym i odważnym, zabrałem ze sobą nie dwie, ale cztery walizki kawioru. Do wagonu dostaliśmy się tym razem bez przeszkód, więc humory nam dopisywały, a na dodatek w sąsiednim przedziale spotkałem dwie dziewczyny, z którymi łączyły mnie miłe wspomnienia. Mając jeszcze kwadrans do odjazdu, zostawiłem pod opieką dziewczyn moje walizy i poszedłem z Markiem do hali dworcowej, gdzie poprzedniego dnia zostawiłem w schowku kilka luźnych puszek kawioru. Mogły się teraz przydać, gdyż podróż zapowiadała się całkiem przyjemnie.

Zanim zdążyłem zamknąć drzwiczki od schowka, stanął przy nas milicjant i zapytał Marka tonem raczej bezpośrednim:

- Co masz w tej torbie plastikowej?

Marek, myśląc, że to żart, odparował natychmiast:

- Pół tony kawioru.

- Pół tony? - powtórzył milicjant. - Skoro pół tony, to będzie cię to kosztowało sto dolarów.

- Chętnie zapłaciłobyśmy pięćset, ale przed chwilą wydaliśmy wszystko na panienki - odrzekł Marek, rozkładając ręce.

- Nic nie macie? - zdziwił się milicjant zjadliwie. - To pożyczcie od znajomych Polaków - postanowił tonem rozkazującym.

Wyglądało na to, że szedł za nami od samego peronu, a może i wcześniej. Marek, zniecierpliwiony już trochę tą pogawędką, odpowiedział, że inni Polacy zrobili to samo, bo Rosjankom trudno się oprzeć. I ruszył z miejsca, dając tym samym do zrozumienia, że komedia skończona. W tym momencie milicjant podskoczył do niego i złapał go za rękę i za torbę. Marek, nie nawykły do takiego traktowania, szarpnął się energicznie, ale tak nieszczęśliwie, że milicjant się poślizgnął i przewrócił. Leżąc jeszcze, wyciągnął z kieszeni gwizdek i zaczął przeraźliwie gwizdać. W ciągu kilku sekund otoczyło nas pięciu czy sześciu milicjantów. Zrobiło się zaraz zbiegowisko, więc najstarszy stopniem, chyba kapitan, rzucił komendę: na komisariat!

Pod silną eskortą poprowadzono nas do sąsiadującego z dworcem kilkupiętrowego budynku. Gdy tylko zamknęły się za nami drzwi, dostaliśmy po kilka profilaktycznych uderzeń pałami przez plecy. Ja, znając obyczaje rosyjskiej milicji, zachowałem spokój, ale Marek klął i bronił się. Wepchnięto go więc do jakiegoś bocznego pomieszczenia i tam dopiero się przekonał, co to znaczy prawdziwe pałowanie. Przeglądający moje papiery oficer znał już dokładnie przebieg zdarzenia: zaatakowaliśmy milicjanta od tyłu, a naszym celem było prawdopodobnie zdobycie broni.

- Znamy takich ptaszków - podkreślił, patrząc mi prosto w oczy i sugerując tym spojrzeniem, że czekają nas co najmniej dwa lata ciężkich robót.

Odparłem, że wobec powagi zarzutów żądam powiadomienia polskiego konsula, i na dowód, że nie żartuję, wyrecytowałem numer telefonu do konsulatu, który mi się akurat, o dziwo, przypomniał.

- Dobrze się zastanówcie, co mówicie - poradził mi oficer i chcąc zapewnić mi potrzebny do rozmyślań spokój, nakazał odprowadzić mnie do celi.

Siedziałem w niej równo cztery godziny. Za współlokatora miałem przedstawiciela ciemnej nacji, ale nie dowiedziałem się nawet, jakiej konkretnie, gdyż w ogóle nie udzielał się on towarzysko. Przez cały ten czas tkwił na klęczkach i mamrotał jakieś litanie. Już po godzinie myślałem, że jak nie przestanie, to oszaleję.

Przypuszczam, że decyzję o zwolnieniu nas podjęto zaraz po tym, gdy ktoś wpadł na pomysł, żeby sprawdzić, czy podany przeze mnie numer jest prawdziwy. A skoro znałem go na pamięć, to znaczyło, że utrzymuję z konsulem zażyłe stosunki i mogę być kimś ważniejszym, niż to się na pozór wydawało. Przetrzymano nas jednak na wszelki wypadek te cztery godziny - do czasu, aż zmieni się załoga komisariatu - bo sądzono pewnie, że ukoi to nasze nerwy i zniechęci do podjęcia jakiejś oficjalnej procedury wyjaśniającej. Ci, którzy nas zwalniali, byli już bowiem uprzejmi, nie bardzo wiedzieli, o co tak naprawdę poszło, a Marek przekonywali, że nawet jeśli jakieś pałowanie miało miejsce, to z pewnością chodziło o masaż leczniczy. Ich kalkulacja okazała się słuszna - machnęliśmy

na wszystko ręką.

Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło. Dziewczyny, pod których opieką zostawiłem w przedziale cztery swoje walizy, nie mając pojęcia, co jest w środku, dowiozły je bez problemów do Warszawy. Opowiadały potem, że w ogóle ich nie skontrolowano, ponieważ w sąsiednim przedziale wybuchła awantura, która całkowicie pochłonęła celników: jakiś człowiek przewoził pięć puszek kawioru, a celnicy twierdzili, że można tylko dwie.

Różnych szukałem sposobów na zmniejszenie bezpośrednich i pośrednich strat, które wynikały ze spotkań z milicją dworcową. Raz uratowała mnie wizytówka znajomego Rosjanina, którego, po piętnastu latach niewidzenia, spotkałem przypadkowo na ulicy. Milicjanci, którym nie chciałem zapłacić pięćdziesięciu dolarów w trybie natychmiastowym, znaleźli ją w moim paszporcie. A kolega, jak się okazało, był jakimś dyrektorem w ministerstwie spraw zagranicznych. Nie tylko zwrócono mi wtedy paszport, ale i życzone szczęśliwej podróży.

Pomyślałem wówczas, że zrobię sobie wizytówki znanych rosyjskich polityków, a najlepiej prezydenta, i będę je nosił w każdej kieszeni po jednej. Gdy podzieliłem się tym pomysłem ze znajomymi Rosjanami, stanowczo odradzali mi jego realizację. Jeśli bowiem cała ta mistyfikacja się wyda, to zostanę oskarżony o fałszerstwo dokumentów. A ile za to grozi, to lepiej nie mówić.

Później wpadłem na pomysł, żeby jeździć samochodem do Wiaźmy. Była to pierwsza stacja, kilkadziesiąt kilometrów od Moskwy, na której zatrzymywał się pociąg jadący do Polski. Kilka razy rzeczywiście udało mi się tam załadować kawior do wagonu bez żadnych problemów. Zacząłem się nawet w związku z tym uważać za człowieka przebiegłego. Nie trwało to jednak długo. Równie pomysłowi okazali się handlowcy z innych branż i w ciągu kilku miesięcy spokojny i senny dworzec w Wiaźmie przekształcił się w ruchliwy ośrodek podróżniczo-załadowczy. Nie mogło to ujść uwadze kierowniczych gremiów milicji, które na co dzień analizowały dochodowość poszczególnych rewirów. Skoro zaś spadła ona na Dworcu Białoruskim, to znaczy, że musiała wzrosnąć gdzieś indziej. Do Wiaźmy rzucono więc takie siły i środki, że wycieczki towarowo-załadowcze na tamtejszy dworzec straciły wszelki sens.

Powstało pytanie: jeździć samochodem dalej, do następnej stacji, czy pozostać w Moskwie? Jechać dalej oznaczało nieznaną, ale na pewno dużą liczbę utarczek z milicją drogową. Znaków drogowych, jak to na szosie, nie było co prawda zbyt wiele, ale były za to wykorzystywane w sposób, można powiedzieć, twórczy.

Jechałem kiedyś z dozwoloną nawet szybkością i mimo to zostałem zatrzymany. Plutonowy, bo tylko na odludziu spotykało się takie niskie rangi, zapytał uprzejmie:

- Widzieliście znak „uwaga, śliska nawierzchnia”?

- Widziałem.

- To dlaczego nie uważaliście?

- Jak to nie uważałem? Uważałem.

- Dobrze widziałem, że nie uważaliście. Będzie mandat. Mógł też przy okazji zażyczyć sobie otwarcia bagażnika,

a wtedy, zobaczywszy kawior, jego wymagania gotówkowe z pewnością znacznie by wzrosły. Jeśli przyjąć ostrożnie, że takich kontroli można było mieć i kilkanaście, a u celu mogła już czekać milicja dworcową, wybór stał się prosty. Należało wracać do Moskwy i ułożyć się z milicją na Dworcu Białoruskim.

Problem polegał na tym, że zawarcie znajomości z jednym czy drugim zwykłym funkcjonariuszem niewiele dawało. Na dworcu posyłano bowiem coraz to nowe oddziały specjalne, które miały zapobiegać nieustannie grożącym zamachom terrorystycznym. Jeśli zdarzało się, że takiego zagrożenia akurat nie było, to w zastępstwie ogłaszano niepokojący wzrost przestępczości kryminalnej, którą też należało zwalczać nadzwyczajnymi sposobami. Tak czy owak, dowództwo oddziałów specjalnych nie mogło patrzeć spokojnie na bogacenie się zwykłych dworcowych milicjantów i też chciało dać zarobić swoim ludziom.

Podjechałem kiedyś z Griszą w umówione miejsce pod dworcem. Czekał tam już na nas znajomy milicjant w randze kapitana, który zainkasował sto dolarów i, jak zwykle, miał nas ochraniać przed swoimi kolegami w drodze na peron. Ponieważ mieliśmy ze sobą chyba trzysta puszek kawioru,

pomagał nam nawet ładować skrzynki na wózki bagażowe. Kończyliśmy już robotę, gdy nagle otoczyło nas trzech ubranych na czarno i uzbrojonych w broń automatyczną milicjantów z brygad specjalnych. Zza ich pleców wyłonili się po chwili dwaj oficerowie, pułkownik z majorem, i zarządzili kontrolę.

- Nu, ładna - westchnął pułkownik, widząc, że w skrzynkach jest kawior. - Drogo was to będzie kosztowało.

Nie wiedziałem, czy chodzi mu o pieniądze, czy o lata więzienia, więc żeby nie zamykać drogi do kompromisu, odrzekłem, że w razie czego mogę okazać wszystkie papiery handlowe.

- Znamy takie papiery - odparł pułkownik, dając tym samym do zrozumienia, że zwykły człowiek w żadnym wypadku nie może posiadać tyle kawioru legalnie.

Był to mój stały problem. Większość milicjantów nie chciała pogodzić się z faktem, że ścigany przez lata kawior stał się nagle wolnym ptaszkiem. Przyjęcie tego do wiadomości byłoby przecież dla nich równoznaczne z zawstydzającym umniejszeniem swej władzy i znaczenia. Jeśli więc ktoś, tak jak dawniej, krył się z posiadaniem kawioru i udawał przed nimi przestępcę, to znaczy, że ich szanował. A jeśli ich szanował, to tym samym mógł liczyć na pobłażliwość, czyli na opłatę, która wszystkim wydawała się akuratna. Jeśli zaś ktoś posiadał kawior ostentacyjnie, to zasługiwał na nauczkę podwójną.

Skorumpowany przeze mnie kapitan, który miał nas bronić przed bezprawiem przedstawicieli prawa, zachował się lojalnie. Próbował tłumaczyć, że nas zna, że nie pierwszy raz tu jesteśmy i rzeczywiście nasze papiery handlowe są w porządku. Szybko jednak został uciszony, bo brygada specjalna nie mogła sobie pozwolić na to, żeby jakiś prosty dworcowy kapitan sprzątnął jej zwierzynę sprzed nosa. Po krótkiej wymianie kąśliwych uwag major oznajmił, że zostajemy zatrzymani do wyjaśnienia. Ledwo ruszyliśmy w stronę komisariatu, pułkownik, sądząc pewnie, że jesteśmy już wystarczająco przestraszeni, podszedł do mnie i nieco ściszonej głosem powiedział, że pięćset dolarów załatwi całą sprawę. Mimo groźnie wyglądającej obstawy odpowiedziałem, że nie zamierzam zapłacić ani centa. Od tego momentu rozpoczęła się klasyczna wojna nerwów. Do komisariatu mieliśmy jakieś dwieście metrów i w tym czasie musiało się rozstrzygnąć, kto kogo przetrzyma. Ja ryzykowałem to, że jeśli nic nie zapłacę, to z czystej chęci zemsty milicjanci stwierdzą, że jakaś pieczętka w moich papierach jest niewyraźna, i zarekwirują mi kawior na dzień, na dwa, a może na tydzień albo miesiąc. Straty byłyby wtedy trudne nawet do oszacowania. Pułkownik z kolei ryzykował spisywanie protokołów, nadawanie biegu sprawie i być może tłumaczenie się przed przełożonymi, jeśli moje dokumenty okażą się autentyczne. Straciłby wiele czasu, który z powodzeniem mógł wykorzystać na bardziej intratne zatrzymania.

W połowie drogi do komisariatu opłata zmalała do czterystu dolarów, ale ja twardo podtrzymałem wersję o niepłaceniu ani centa. Gdy byliśmy już całkiem blisko, pułkownik zwolnił kroku, jakby chciał mi dać jeszcze trochę czasu do namysłu.

- Trzysta dolarów i do widzenia - powiedział tonem, który miał wskazywać, że stać go na łaskawość. Pewnie ktoś uznałby to za przesadną brawurę, ale ja ponownie odrzekłem, że o pieniądzach nie może być mowy. Gdy doszliśmy do budynku komisariatu, pułkownik, dosłownie już w drzwiach, zaproponował krótko i ostatecznie:

- Dwieście.

No i cóż mogłem w takiej sytuacji uczynić? Zapłaciłem.

Odprowadzając nas, wedle umowy, do wagonu, dworcowy kapitan kilkakrotnie powtarzał, że na własne oczy przekonaliśmy się, jak bardzo niebezpiecznym miejscem jest Dworzec Białoruski. Miało to oznaczać, że sto dolarów, które mu płaciłem, to w zasadzie jakiś psi grosz. Podwyższenia stawki jednak nie zażądał, co Grisza zaliczył mu na duży plus, bo prawdą jest, że nieźle się przecież chłop napocił.

Opóźniłem kiedyś ekspedycję kawioru, żeby poczekać do wypadającego akurat za dwa dni święta milicji. Liczyłem, że w tak uroczystym dniu wszelkie domniemane winy zostaną mi odpuszczone, a ewentualne kary darowane. Podjeżdżając wolno pod dworzec, nie zauważyliśmy żadnego munduru ani też żadnego osobnika, który wyglądałby na takiego, co to trzyma mundur w szafie.

- Wszyscy na akademiach i wszyscy wrócą z orderami za wzorową postawę - skomentował Grisza,

zatrzymując samochód od strony dworcowego zaplecza. Nie zdążył jeszcze wyłączyć silnika, gdy ktoś klepnął z tyłu w szybę. Odwróciliśmy się jak na komendę i zobaczyliśmy pięciu czy sześciu potężnych łobuzów, którzy w jednej sekundzie obsiedli cały samochód. Jeden z nich otworzył drzwiczki od mojej strony i zapytał jowialnie:

- No, cóż tam dzisiaj przywozimy, rzebiata?

Wiedziałem, że jeśli skłamię, a prawda wyjdzie na jaw, stawka zostanie co najmniej podwojona.

Wysiadłem więc spokojnie z samochodu, rozejrzałem się przeciągle i odparłem:

- Kawior, družja. Dużo kawioru.

Taka odpowiedź wzbudziła w nich chyba sympatię, bo nawet się uśmiechnęli i aprobująco pokiwali głowami. Dokładnie w tym momencie nadjechała ciężarówka z pralni i jej kierowca zatrąbił, gdyż blokowaliśmy mu wjazd na zaplecze dworca. Grisza wrzucił wsteczny bieg, a gdy bandyci rozstąpili się o krok, dodał gwałtownie gazu i zaczął uciekać tyłem. Wszyscy, w pierwszym odruchu, rzucili się za nim w pościg, ale Grisza pięknie lawirował między zaparkowanymi samochodami i widziałem, jak z piskiem opon wyskakuje na ulicę. Bandyci odwrócili się w moją stronę, ale ja też nie marnowałem czasu i byłem już daleko.

Gdy godzinę później spotkaliśmy się w moim mieszkaniu, Grisza, popijając wódeczkę, kłął na milicję za to, że zamiast pracować, świętuje sobie w najlepsze. Narzekał też na ogólny bałagan i anarchię. W porządnym państwie - przekonywał - powinno się z góry wiedzieć, komu, ile i za co się płaci.

Nie dość więc, że straciłem dwa dni, czekając na święto milicji, to teraz, według oceny Griszy, należało odczekać przynajmniej tydzień.

Nikogo chyba nie zdziwi, jeśli powiem, że coraz częściej zdarzało mi się myśleć o zbliżającym się terminie audiencji u dyrektora fabryki kawioru w Astrachaniu. Choć pierwsza wizyta nie dawała podstaw do nadziei, to jednak człowiek nie może oprzeć się marzeniom. A może te marzenia to po prostu dowód na to, że zacząłem się starzeć? W każdym razie myślałem już nie tylko o tym, żeby dzięki kontraktowi z fabryką pozbyć się podbijających ciągle cenę, dziwacznych pośredników, ale nawet wyobrażałem sobie, że fabryka weźmie na siebie ciężar przewożenia kawioru przez Rosję. A ja, leżąc na wygodnej kanapie w swoim warszawskim mieszkaniu, od czasu do czasu będę kwitował odbiór. Obraz tej sielanki był tak sugestywny, że gdy nadszedł w końcu ustalony z sekretarką termin, bez specjalnych ceregieli przyznałem sam sobie dwutygodniowy urlop. A skoro urlop, to należało całą tę wyprawę potraktować również w kategoriach krajoznawczych. Postanowiłem więc pojechać samochodem, gdyż przecieranie nowych szlaków od dzieciństwa było moim hobby.

Jechałem trzy dni i trzy noce, a rytm podróży wyznaczały mi polowania na paliwo. Nie mogłem być zanadto wybredny, więc wlewałem do baku różne proponowane mi płyny, co powodowało, że samochód często się krztusił, a czasami odmawiał posłuszeństwa. Przez milicję zostałem zatrzymany dwadzieścia siedem razy, co nie jest liczbą zbyt wielką, jeśli się zważy, że miałem do pokonania prawie dwa tysiące kilometrów, a przed i za każdym mijanym miastem i miasteczkiem ustawione były posterunki.

Straty finansowe zanotowałem niewielkie, gdyż prowincjonalna milicja nie była tak zmanierowana jak moskiewska. Zatrzymywano mnie głównie dlatego, że zainteresowanie wzbudzał mój stary, rozłożysty Citroën, podobny do tego, którym jeździł kiedyś Fantomas. Nawet gdy dla eksperymentu nie zatrzymałem się na dawany znak i milicjanci gonili mnie ładą przez dwadzieścia kilometrów, aż w końcu zwolniłem i poczekałem na nich, nie byli szczególnie rozsierdzeni. Podyskutowaliśmy o starych samochodach, a dziesięć dolarów dałem im właściwie sam z siebie.

Do Astrachania wjechałem w słoneczne popołudnie, ale nawet przy tak pięknej pogodzie trudno byłoby nazwać to miasto perłą Południa. Wieczorem wstąpiłem do hotelowej restauracji, doznając już na progu uczucia déjà vu: przy centralnym stoliku siedział jakiś cudzoziemiec, a reszta gości przekonywała go do kupna kawioru po fantastycznie niskiej cenie. Ku mojemu zdziwieniu zostałem rozpoznany i zaproszony do biesiady. Pierwszy wieczór upłynął mi zatem w upojonej atmosferze.

Na drugi dzień rano, zjadłszy śniadanie i wypiwszy dla kurażu jedno piwo, pojechałem do fabryki.

Po nadzwyczaj miłym przywitaniu sekretarka dyrektora handlowego poinformowała mnie ze smutkiem w oczach, że na liście audiencji zaszły duże przetasowania, a ja, nie kontrolując na bieżąco sytuacji w czołówce, znowu spadłem na odległą pozycję. Pamięć o perfumach marki Chanel, które jej

kiedyś podarowałem, okazała się jednak równie trwała jak ich zapach. Po chwili namysłu, upewniwszy się, że wziąłem dłuższy urlop, sekretarka zaproponowała, żebym przychodził codziennie i czekał, a ona postara się skojarzyć mnie z dyrektorem, jak tylko akurat wróci albo akurat będzie miał wolną chwilę. Plan ten natychmiast wprowadziliśmy w życie - wyszedłem na korytarz i usiadłem na krześle. Pierwszego dnia czekałem cztery godziny. Bez rezultatu.

W następnych dniach było podobnie. Oczywiście nie siedziałem cały czas na krześle pod gabinetem. Sekretarka informowała mnie rano o przewidywanych zajęciach dyrektora, w związku z czym miałem dużo wolnego czasu. W biurówcu trwał właśnie remont i z jakiegoś pokoju wyniesiono na korytarz mnóstwo książek. Zacząłem je z nudów wertować, a wyglądający na kierownika osobnik powiedział, że jeśli mnie one interesują, to mogę sobie kilka zabrać, bo i tak cała biblioteka nie zmieści się w nowym pomieszczeniu. Wybrałem cztery dziewiętnastowieczne tomy traktujące o metodach pozyskiwania kawioru i sposobach podawania go do stołu. Studiowałem je potem zawsze, ilekroć pragnąłem spojrzeć na kawior świeżym okiem.

Przechadzając się któregoś przedpołudnia po terenie fabryki, zauważyłem dziwne podniecenie. Szybciej niż zwykle spacerowano i częściej rozmawiano. W pierwszej chwili pomyślałem, że szykuje się jakaś uroczystość albo strajk. Zapytany o przyczynę tego zamieszania, Wania rzucił tylko jedno zdanie:

- Blachę przywieźli.

Każda jej dostawa była doniosłym wydarzeniem z tego prostego względu, że fabryka nie rozliczała się z moskiewską centralą z pozyskanego kawioru, ale właśnie z blachy. Wy-krajano z niej na miejscu puszek, wypełniano kawiozem i odsyłano z powrotem. Naczelnym dyrektorem fabryki był kimś w rodzaju namiestnika, którego jedynym właściwie zadaniem było baczenie, czy całkowita powierzchnia wysyłanych puszek zgadza się mniej więcej z powierzchnią przysyłanej blachy. Reszta - to już była wewnętrzna sprawa Tatarów. Na temat ilości kawioru, który pozostawał do ich dyspozycji, mówiono różne rzeczy, a niektórzy twierdzili nawet, że reszta to jest to, co wysyła się do metropolii.

W rosyjskich kręgach kawiorowych często zadawano sobie pytanie, skąd się bierze taka, a nie inna liczba obowiązkowych puszek. Ci, którzy mieli zacięcie ogólnointelektualne, odpowiadali, że w ilości wysyłanej do Astrachania blachy przejawia się rosyjska polityka narodowościowa. Łagodna, jeśli posyła się jej mniej, i twarda, jeśli więcej. Złośliwi z kolei uważali, że jeśli blachy posyła się mniej, to dlatego, że są kłopoty w przemyśle metalurgicznym, a jeśli więcej, to też są kłopoty, bo można by jeszcze więcej. Większość twierdziła jednak, że tak jak za wszystkim, tak i za liczbą obowiązkowych puszek kryją się jakieś układy. A układać mogli się właściwie wszyscy ze wszystkimi. Mówiono o najwyższych władzach, o potężnych tatarskich rodzinach, o Żydach, o Amerykanach, o armii, o mafiach, o służbach specjalnych i nadzwyczajnych, przy czym wszyscy bez wyjątku nie tylko wchodzili ze sobą w układy, ale też wzajemnie się przekupywali i oszukiwali, a większość kradła.

Zwykli pracownicy fabryki nie wnikali może tak głęboko w zawiłości poprzedzające kolejny transport blachy, ale wiedzieli jedno: jeśli będzie jej mniej niż zwykle, to kierownictwo fabryki na pewno będzie bardziej zadowolone. A z tego zadowolenia mogą wymknąć rozmaite wymierne skutki. Mogą być na przykład przyznane premie albo nagrody okolicznościowe, niektórzy pewnie dostaną podwyżki, a ktoś, kto liczył na awans, będzie mógł się go spodziewać właśnie teraz. Będzie można również z grubsza zaplanować, o ile więcej da się wynieść puszek kawioru, bo skoro zapanuje ogólne zadowolenie, to zwiększy się też ogólna tolerancja i skłonność do przymykania oka.

Zbyt ważne działały się więc w fabryce rzeczy, aby dyrektor handlowy znalazł dla mnie choćby pięć minut. W piątkowe przedpołudnie sekretarka przekazała mi poufną wiadomość, że rozpoczął on już intensywne konsultacje, które zajmą mu co najmniej cały weekend, w związku z czym mam wolne i mogę sobie odpocząć.

Wybrałem się samochodem zobaczyć, jak Wołga, nad którą leży Astrachań, wpada do Morza Kaspijskiego. Pamiętałem ze szkoły, że jest to morze wyjątkowo kontrowersyjne, gdyż tak naprawdę nie wiadomo, czy jest morzem, czy jeziorem. Nauczycielka geografii twierdziła, że skoro jest tak wielkie, to mimo tego, że zewsząd otacza je ląd, musi być morzem. Zapytana jednakże, czy jest ono słodkie, czy słone, wyraźnie, pamiętam, zaczerwieniła się i ze skruczą przyznała, że nigdy nie próbowała.

Mnie też nie udało się raz na zawsze tego rozstrzygnąć, gdyż Wołga tylko na szkolnej mapie rozdziela się na trzy kanały i regularnie wpada do wielkiej wody. W rzeczywistości jest to dzika i rozległa jak pół Belgii kraina, poprzecinana mnóstwem małych jak Wisła rzeczek i nie wiem ilu potężnych rzek, których drugiego brzegu nie widać, toteż nie sposób dociec, gdzie zaczyna się hipotetyczne morze. Granicę tę rozpoznają jednak białugi, które od niepamiętnych czasów składają ikrę właśnie w delcie Wołgi.

Określenie „od niepamiętnych czasów” jest tu jak najbardziej na miejscu, ponieważ uważa się, że dziwne te ryby są rówieśnikami dinozaurów. Jak więc na koleżanki prehistorycznych gadów przystało, mierzą one siedem albo i dziesięć metrów, ważą tonę albo i więcej, a żyją sto lat, jeśli nie dłużej. To, że jako gatunek przetrwały do naszych czasów, przypisuje się zbawiennym wpływom wielkiej ilości ropy pod dnem Morza Kaspijskiego. Do tego trzeba oczywiście dodać specyficzny klimat i głęboką wiarę tych, którzy tak twierdzą.

Za cara i za Związku Radzieckiego poławiano białugę w równym stopniu dla kawioru, co i dla pysznego rzeczywiście mięsa. Fabryka w Astrachaniu ma nawet w nazwie określenie „rybno-kawiorowa” - oznacza to, że produkcja konserw rybnych jest równie ważna, a w sensie ilościowym ważniejsza, co zresztą wynika z anatomii ryby. Zakładając, że z jednej białugi otrzymuje się sto kilogramów kawioru i pięćset kilogramów mięsa, można powiedzieć, że każda sztuka to pływający majątek. Nie ma drugiej takiej ryby, której złowienie zapewnia jednemu człowiekowi, przynajmniej teoretycznie, zakąskę na cały rok i nowy samochód. Tylko złota rybka mogłaby z nią ewentualnie konkurować.

Zasadą jednakże było, że odławiano białugi tylko w momencie, gdy wchodziły na tarło do północnych rzek, zwłaszcza do Wołgi. Najwięcej mają wtedy ikry, jej ziarna są najbardziej dojrzałe, a więc najsmaczniejsze. Nawet Iran, który z Morzem Kaspijskim graniczy, niestety, od południa, zrezygnował z połowów w nieodpowiednim momencie, a należą mu część kawioru otrzymywał z fabryki w Astrachaniu. Zważywszy, że oba te państwa charakteryzował podobny typ reakcji na wszelką niesubordynację, białugi, oprócz krótkich okresów tarła, mogły sobie pływać spokojnie. Potem i z nowej Rosji, i z nowo powstałych nadbrzeżnych państw ruszyła w morze piracka, rzekłbym, armada.

Nie doszło do tego, rzecz jasna, z dnia na dzień, bo o tym, że nastąpiła demokracja i wszystko już wolno, wiedzieli tylko dobrze poinformowani, a krążące wśród ludności plotki na ten temat wydawały się zrazu mało prawdopodobne. Sporo czasu wymagało zresztą zorganizowanie odpowiedniego sprzętu pływającego. Nie chodziło przy tym o pełnomorskie trawler-przetwórnice, ale o byle co: łajby, krypy, stare kutry i kajaki -wszystko, do czego można przymocować silnik, a mimo to nadał to coś będzie się unosiło na powierzchni i nie zostanie wyrócone przez pierwszą lepszą falę.

Rachunek ekonomiczny nakazywał, aby natychmiast po wodowaniu, niezależnie od pory roku i jakichś okresów ochronnych, z wielkim trudem zdobyty sprzęt od razu zaczął na siebie pracować. Fakt, że capnięte przez takich rybaków białugi nie mieściły się nawet na pokładzie, nie miał wielkiego znaczenia. Wypełnioną sieć holowano bowiem do brzegu i dopiero tam, w spokojnych zatoczkach, zabierano się do obróbki. Polegała ona na rozpruwaniu rybom brzucha, wybieraniu ikry i szybkim oddaleniu się z miejsca zdarzenia. Całą resztę zostawiano, bo takiej góry mięsa nie było nawet jak przetransportować, a zresztą dokąd i po co. Porzucone na brzegach rzek białugi wyglądały z daleka jak padłe od zarazy krowy i nie był to, zapewniam, widok aromatyczny.

Rybaczy zatrudnieni w państwowej flotyli, zorientowawszy się, co czynią ich pobratymcy, popadli najpierw w zazdrość, a następnie w zachłanność. Skutkiem tych zmian w nastawieniu do świata było to, że co piątą, a może co drugą białugę patroszyli oni natychmiast po złowieniu, a następnie z powrotem wrzucali do wody. Z przerzuceniem tak zdobytego kawioru na ląd nie było większego problemu, gdyż służby kontrolne to w końcu zwykli ludzie, którzy też cierpią na chroniczny brak gotówki.

Myli się więc każdy salonowy smakosz, jeśli sądzi, że na początku jest ryba, a potem od razu hermetyczna puszka. Niepoliczalne ilości kawioru pojawiają się również w torebkach plastikowych, słoikach, garnkach, wiadrach, baliach, kadziach i przeróżnych innych naczyniach. Leżakuje on w nich krócej lub dłużej, w cieple albo w zimnie, obsiadły muchami albo przykryty gazą - do czasu, aż zjawią

się ci, którzy potrafią go ładnie zapakować i wysłać w świat.

Wszystko to wymagało sprawnej organizacji i odważnych ludzi, bo na każdym kroku deptała im po piętach milicja, choć bynajmniej nie po to, żeby ich surowo za ten proceder ukarać, ale po to, żeby uczestniczyć w zyskach. I tylko starzy ludzie, patrząc na te nowe obyczaje i pomieszanie ról, kiwali posępnie głowami i z nostalgią wspominali czasy moralnego ładu i porządku, czyli Związek Radziecki. Mogłoby się wydawać, że pirackie połowy, które w sposób znaczny zwiększyły ilość kawioru w sprzedaży, spowodują tym samym obniżkę jego ceny. Tymczasem po raz kolejny, tradycyjnie już, okazało się, że wysokość cen kawioru nie ma żadnego związku z prawami ekonomii, lecz jest wynikiem spekulacji wyłącznie w sferze idei. Tym razem ceny poszły w górę na mocy jednego i powtarzanego przez wszystkich sprzedawców argumentu: kawior zdrożał, bo kłusownicy wybili wszystkie ryby. Towarzyszyła temu niezachwiana pewność, że w następnym roku będzie jeszcze droższy, bo te łotry znowu zrobią to samo. Bez zmruczenia oka powoływali się na ten argument również przedstawiciele samych kłusowniczych kooperatyw. Z tym tylko, że mieli wtedy na myśli kłusowników albo większych od siebie, albo innej narodowości.

Podobnie zaczął rozmowę dyrektor handlowy zakładu kawiorowego w Astrachaniu, kiedy znalazł w końcu dla mnie trochę czasu. W kilku zdaniach przedstawił fatalną sytuację w zaopatrzeniu i opisał kłopoty z siedzącymi mu na karku stałymi odbiorcami, z których każdy jest największy i najpotężniejszy. Tym krótkim wstępem dał mi więc do zrozumienia, żebym od razu porzucił wszelką nadzieję. I gdy już jasne się stało, że w zasadzie nie mamy o czym mówić, zaprosił mnie do stołu i tonem nieco mniej oficjalnym powiedział, że możemy porozmawiać.

Dyrektor nie ukrywał, że po relacji sekretarki' bardzo był ciekawy, jak wygląda człowiek, który tak po prostu, jak gdyby nigdy nic przychodzi i chce kupić kawior.

- Pierwszy raz widzę takiego dziwoląga - uśmiechnął się z pewną dozą sympatii.

Rozmowa potoczyła się jednakże po torach jak najbardziej profesjonalnych. Unikałem jedynie jakichkolwiek liczb, bo nie wiedziałem, czy na przykład jedna ciężarówka kawioru miesięcznie to będzie dla niego śmiesznie mało, czy podejrzanie dużo. Dyrektor wysłuchał mnie uważnie, zadał kilka dociekliwych pytań i ku mojemu zaskoczeniu stwierdził, że współpraca jest możliwa. Gdy jednak po chwili zastanowienia dodał, że w przyszłym roku powinniśmy się spotkać celem omówienia szczegółów, to nie bardzo wiedziałem, czy to krótki okres i wszystko jest na dobrej drodze, czy też o roku wspomina on wtedy, gdy chce się kogoś pozbyć raz na zawsze.

Mimo że wyjazd do Astrachania od początku traktowałem jako rodzaj urlopu, to jednak głupio było wracać z pustym bagażnikiem. Zagadnięty w tej sprawie, znany mi z hotelu, przedsiębiorca pogrzebowy westchnął tylko z ulgą: - Nareszcie...

Jeszcze tego samego dnia, mając w bagażniku czterdzieści półkilogramowych oryginalnych, fabrycznych puszek, ruszyłem w drogę powrotną. Na tylnym siedzeniu pluskała w dwóch kanistrach benzyna, którą równie błyskawicznie załatwił mi znajomy kelnera z hotelowej restauracji.

Nie zdążyłem się jeszcze dobrze usadowić i zebrać myśli, gdy na rogatkach miasta zatrzymała mnie milicja, zachowując się przy tym w taki sposób, jakby tylko na mnie czekała. Tym razem funkcjonariuszy nie zainteresował mój stary citroen, nie wspomnieli nawet o jakimkolwiek wykroczeniu drogowym ani nie zwrócili uwagi na niebezpieczny ładunek na tylnym siedzeniu. Padło tylko jedno pytanie:

- Ile macie kawioru?

Ich pewność siebie przywiodła mi od razu na myśl mojego hotelowego grabarza, ale dowodów żadnych nie miałem. Równie dobrze mogło być tak, że zatrzymywany jest każdy wyjeżdżający z Astrachania samochód na obcej rejestracji, bo po prostu musi być w nim kawior. Pytanie tylko: ile? Otworzyłem bagażnik i zaczęto się to, co wielu ludzi z pewnością nazwałoby męczarnią czy nawet gehenną, a co ja, dla spokoju ducha, wolałem nazywać pogawędką. Zażądano ode mnie kwitów fabrycznych, a gdy odpowiedziałem, że kupiłem ten kawior na targowisku, zapytano, na którym i u kogo. Odrzekłem, że nie legitymowałem sprzedawcy, na co odpowiedziano, że zostaną tam zawieziony i muszę go rozpoznać, bo inaczej będzie ze mną krucho. Odmówiłem, więc kazano mi jechać na komisariat.

Posadzono mnie tam na krześle i kazano czekać. Mijała godzina za godziną i nikt nie chciał mi

powiedzieć, na co właściwie mam czekać. Przez cały ten czas bzycały mi nad głową tłuste muchy, a mój kawior grzał się na niemiłosiernym w tym dniu słońcu. Byłem zmęczony, zniechęcony i cały lepki od potu, gdy przyszedł wreszcie jakiś oficer i w krótkich żołnierskich słowach spowodował, że zostaliśmy w pomieszczeniu sami. Przyjrzał mi się dokładnie i stwierdził, że sto dolarów wystarczy. Po krótkich targach dałem mu sześćdziesiąt i pojechałem dalej.

Gdy dotarłem do Moskwy, na krótką chwilę ogarnął mnie pesymistyczny nastrój. Nic właściwie w Astrachaniu nie załatwiłem, a te głupie czterdzieści puszek, które przywiozłem, trzeba było teraz ręcznie otwierać jedną po drugiej i sprawdzać, czy się w tym południowym słońcu nie zepsuły. Żmudne to, mozolne i okropne zajęcie. Żeby się jeszcze bardziej pogłębić, spojrzałem wstecz na całą tę swoją kawiorową działalność i jak to bywa w takich nastrojach, przypomniały mi się tylko najgorsze momenty. Wahałem się nawet przez chwilę, czy nie rzucić tego wszystkiego w diabły i nie wyjechać z Rosji na zawsze.

Kilka dni później, dzwoniąc do jednego ze swoich dostawców, niechcący włączyłem się w jego rozmowę z kimś innym, co zresztą zdarzało się w Moskwie dosyć często. Będzie mi chyba wybaczone, że nie odłożyłem od razu słuchawki: zorientowałem się natychmiast, że rozmowa dotyczy mojej osoby, i ciekawość zwyciężyła.

146

Znajomy dostawca przygotowywał swego rozmówcę do ewentualnego spotkania ze mną. Ostrzegał go, że jakiegokolwiek szwindle nie wchodzi w rachubę, bo na kawiorze znam się, jak mało kto. Wszystkie papiery muszą być w porządku, bo w innym wypadku w ogóle nie będę chciał rozmawiać. Dodał też, że nie ma sensu proponować mi jakichś kilkudziesięciu puszek, bo dla człowieka, który ma świetne kontakty z fabryką w Astrachaniu, taka ilość będzie po prostu śmieszna. No cóż? Wynikało z tego niedwuznacznie, że zostałem prawdziwym potentatem. Jeśli więc nawet z Rosji wyjadę - pomyślałem - to na pewno dobrze będę ją wspominał.

Marek Z. urodził się w roku 1955 w Makowie Mazowieckim. Jako licealista zarabiał na kieszonkowe grywając na wiejskich weselach. Brał też udział w szkolnych, powiatowych i wojewódzkich konkursach wiedzy: o łodziach podwodnych, o wilkach i niedźwiedziach, o Mikołaju Koperniku, o Bolesławie Leśmianie, o problemach antyalkoholowych i wielu, wielu innych. Wartość nagród rzeczowych zdobywanych przez niego comiesięcznie w tych konkursach przekraczała ówczesną średnią pensję. Uprawiał też sport: biathlon i biegi przełajowe. Równocześnie był ministrantem oraz działaczem ZHP i ZMW. Kiedy podjął studia na Wydziale Mechanicznym, Energetyki i Lotnictwa Politechniki Warszawskiej, od razu zaczął się udzielać jako stolarz w Centrum Klubowym „Riviera-Remont”. Na drugim roku został jego szefem organizacyjnym. Uroki życia bohemy artystycznej spowodowały, że studiów nie ukończył. W latach osiemdziesiątych pracował w Akademickim Biurze Kultury i Sztuki „Alma-Art”. Organizując występy polskich i zagranicznych artystów, wielokrotnie odwiedzał Związek Radziecki i inne kraje tzw. demokracji ludowej. Na początku lat dziewięćdziesiątych założył jednoosobową firmę handlową „X”, której głównym terenem działania była nowa Rosja.

Andrzej Wróblewski urodził się w 1954 roku w Warszawie. Ukończył Wydział Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego. Był również słuchaczem Podyplomowego Studium Dziennikarstwa - do czasu, gdy został dziennikarzem tygodnika „Kultura”. W latach osiemdziesiątych mieszkał w Paryżu, współpracując z polskimi wydawnictwami emigracyjnymi oraz francuskim radiem RFI. Na początku lat dziewięćdziesiątych powrócił do Warszawy i założył jednoosobową firmę handlową. Czasami powraca do dziennikarstwa i do pisania.

Spis treści

Ruskaja awiacja.....	2
Żelaznyje darogi.....	12
Interes drewniany.....	22
Interes instrumentalny.....	28
Wielki Handel SA.....	35
Wielkie pudło.....	41
Kawior.....	46

